

WIGILIA DNIA
ZMARŁYCH



FILIP ZAJĄC

Filip Zając

Wigilia Dnia Zmarłych



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Filip Zając
„Wigilia Dnia Zmarłych”

Copyright © by Filip Zając, 2018
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
2018

Redaktor prowadzący: Renata Grzeškowiak
Korekta: Marianna Umerle, Dominika Urbanik
Projekt okładki: Rafał Klaus
Ilustracje: Rafał Klaus
Skład epub, mobi, pdf: Kamil Skitek

ISBN: 978-83-8119-387-0

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Październik to dla mnie najsmętniejszy miesiąc w roku, a ten ostatni... No cóż, był najbardziej ponury ze wszystkich w moim życiu. Zaczął się od mojej małej, personalnej katastrofy. Otóż kobieta, z którą spędziłem kilka długich, nie zawsze pięknych i szczęśliwych lat, postanowiła zakończyć nasz związek. Uzasadniła to w bardzo prosty sposób:

– NIE MASZ JAJ! – Jej głos był podniesiony i dobitny. Przeciągała każde z tych trzech słów, zupełnie jakby zwracała się do kogoś upośledzonego. – No nie masz jaj, Oskar! Nie będę marnowała swojego życia na takiego nieudacznika. Ciepłą kluchę.

Cóż... Nie mogło nie zboleć.

Po naszym rozstaniu nostalgia zlepiona z tęsknoty i żalu dosłownie odebrała mi rozum. Balowałem jak nigdy wcześniej. Moje wspomnienia z tamtego okresu są zamglone przez alkohol, niejasne, ale jednak postanowiłem je tutaj przytoczyć.

Pamiętam, jak jednego wieczoru stałem przed lustrem i, wpatrując się w moje odbicie, zaglądałem w głąb swojej duszy, by wniknąć w nią moją świadomością. Wybrałem się w podróż w głąb siebie, a jej celem było odnaleźć tę część mnie, która odpowiada za miłość do mojej byłej. Miałem zamiar uśmiercić to uczucie, totalnie je spopielić. Przynajmniej tak to wspominam, ale byłem pijany. Moje myśli w tamtym momencie się zlewały

i rozmywały na przemian, przelewając się z jednej strony mojej czaszki na drugą, wraz z krwią nasączoną alkoholem. W każdym razie, zagłębiony w pijackie rozważania, wciąż krążyłem wokół śmiertelnych tematów i następnego poranka zbudziłem się na łące nieopodal lasu z kawałkiem sznura w ręce. Gdy się tylko ocknąłem, prócz kaca dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Zdawało mi się, że człowiek, zwłaszcza ten obdarzony pewną dozą intelektu, nie powinien doprowadzać się do tak podłego stanu.

~W~

Pewnego wieczoru po rozstaniu siedziałem cicho w kącie, skryty przez półmrok, w barze nieopodal rynku w dużym i tłocznym mieście, w którym żyję do dziś. Zasysałem drobnymi łyżkami ciemne piwo i obserwowałem otoczenie. Ponadto, poddałem się głębokiemu rozmyślaniu. Uznacie mnie za dziwaka, ale dostrzegałem niezwykle podobieństwo w relacjach społecznych ludzi do budowy związków chemicznych.

Dla przykładu, tamtego wieczoru skoncentrowałem się najpierw na pewnym typku w czerni. Przyszedł z dwiema dziewczynami, brunetką w czerwonej kreacji i rudą w czarnej. Obydwie były wpatrzone w niego jak w boga. Obydwie go dotykały. Łapały pod ramię.

Droczyły się. Nie krępowały się niczym. Dla mnie wyglądało to jak woda: dwa atomy wodoru spojone z jednym tlenem.

Stolik dalej siedziała parka. Facet w koszuli w kratę z bujną, elegancko przystrzyżoną brodą tulił i całował drobną, niewielką w porównaniu z nim, blondyneczkę. Drobną nie znaczy bez charakteru. Wprawdzie ubrała się niewyróżniająco – ot, koszula i dżinsy. Nie przeszkadzało jej to jednak w odsłanianiu dużego dekoltu. Gdy wrywali się z transu, pełnym zazdrości i zawiści wzrokiem taksowała dziewczyny w sukienkach albo spódnicach, które przechodziły obok. Moim zdaniem niesłusznie. Brodacz patrzył tylko na nią. Co mi przypominali? Byli jak dwa atomy azotu spojone potrójnym wiązaniem. Czy ktoś mógłby ich rozerwać? Owszem. Potrzebowałyby jednak wielu innych pierwiastków. Ale azot, jak to azot, nie lubi dodatków. Przy pierwszej lepszej okazji wyrwie się i ponownie wróci do swojej pary, dając wcześniej wybuchowy pokaz.

Niedaleko mnie siedziało dwóch facetów. Nosili bluzy jakiejś dziwnej marki powiązanej z gronem jakichś nieznanych mi raperów. Byli ogoleni na łyso. Wlewali w siebie piwo w zawrotnym tempie. Nie wyglądali na szczególnie zadowolonych ze swojego towarzystwa. W moim umyśle przypominali cząsteczkę chloru.

Zaraz przy przeciwległej do mnie ścianie znajdowała się łoża. Tam już mieliśmy obraz nieco bardziej skomplikowany, złożony z całkiem sporej grupki ludzi: sześciu facetów i sześciu dziewczyn. Mężczyźni zdawali się zżyci ze sobą. Na oko można by przypuścić, że wiele razem przeszli. Wymieniali się historyjkami, być może wspomnieniami. Śmiali się. Z kolei kobiety były trochę wykluczone z tej relacji, a każda wczepiała się w swojego towarzysza. Między paniami nie było żadnej więzi. Według mnie wyglądali jak typowy toluen. Aczkolwiek muszę przyznać, był to bardzo rzadki widok, pustka prowokuje bowiem reakcję. Prędzej czy później dziewczyny zaczną łączyć jakaś więź. Jaki związek wtedy się stworzy? Nie wiedziałem. Dlatego czekałem i obserwowałem.

Zobaczyłem, że dwóch facetów w bluzach, ze stolika opisanego wcześniej, wstaje i szuka nowego towarzystwa. Domyślałem się, że zależy im raczej na towarzyszkach. Chętnie bym poobserwował, co z tego wyniknie, ale akurat wtedy mój pęcherz dał o sobie znać. Wiadomo, jak to jest po kilku piwach.

W toalecie nie działo się nic ciekawego. Zwykła, rutynowa akcja toaletowa. Jednak po wyjściu, w lekko przyciemnionym korytarzu, stałem się świadkiem bardzo nietypowej sceny. Mianowicie panowie, o których wcześniej wspomniałem, napierali na rudą dziewczynę w czarnej kreacji. Nie byli mili i uprzejmi,

co to, to nie. Określiłbym ich zachowanie jako natarczywe, choć wciąż stanowiłoby to raczej niedomówienie.

Stała pod ścianą. Jeden był naprzeciw niej i opierał się ręką o ścianę tak, by blokować dziewczynie możliwość ucieczki w stronę łazienki. Drugi stał obok tak, by nie mogła pobiec do znajomych.

– Dobra, zawijaj do jej ziomków – mówił ten naprzeciwko rudej. – Ja sobie dam już radę, a ty ich zagadaj, bo się ogarną. Później się zmienimy. – Zacisnął drugą dłoń na jej ustach.

W oczach dziewczyny pojawił się strach.

Na ten widok usłyszałem w głowie głos mojej byłej: „NIE MASZ JAJ” i pomyślałem sobie, że jak to?! Ja nie mam?! Udowodnię zaraz, że mam!

Zrobiłem groźną minę. Podszedłem do nich szybkim, chwackim krokiem. Klepnałem jednego w ramię i najpoważniej, najgroźniej jak tylko umiałem, krzyknąłem:

– Zostawcie ją!

Wtedy ten przyszpilający rudą wykonał nagły obrót. Nie wiedziałem nawet, kiedy jego zaciśnięta pięść z siłą co najmniej rozpędzonego pociągu uderzyła mnie w skroń. Nie zwróciłem też uwagi, w którym momencie upadłem na kolana i zacząłem się podpierać na ramionach.

– Z czym do ludzi?! – powiedział jeden. Chyba ten od uderzenia.

Półprzytomny wymamrotałem tylko:

– Dziękuję, dobranoc.

– Szczym ryj! – usłyszałem.

Kolejna rzecz, jaką zauważyłem, to gumowy przód tenisówki, która z zawrotną prędkością zbliżała się do mojej twarzy. Owo obuwie posłało mnie w objęcia Morfeusza. Nastąpiła ciemność.

~W~

Po odzyskaniu przytomności wszystko, co zobaczyłem, było rozmazane, nieostre, w tym trzy twarze pochylone nade mną.

– Wstawaj – powiedział facet, chyba w czarnej koszuli i mocno pociągnął mnie za rękę.

Gdy znalazłem się w pionie, widziałem już nieco jaśniej, a świadomość powoli wracała na swoje miejsce, choć w głowie dalej mi szumiało.

– Oj, chłopaczku, dałeś ciała – powiedziała do mnie szatynka.

– No. – Mój stan nie pozwalał na żadną bardziej skomplikowaną konkluzję. Wzięłem kilka wdechów i dodałem: – Trochę mnie obili.

– Nie o to mi chodzi. – Szatynka machnęła ręką, po

czym wskazała rudą koleżankę.

Zacząłem zdawać sobie sprawę, że jeszcze przed chwilą trzymała moją głowę na kolanach.

– Berenice już ci chciała robić sztuczne oddychanie usta-usta, ale się obudziłeś.

– Uch! NICOL! – Berenice się zarumieniła, wstała i lekko pchnęła szatynkę.

– Dziewczyny, spokój! – Facet w czerni nie puścił mojego ramienia i wciąż lekko mnie podtrzymywał. – Zdążyłeś już się dowiedzieć, jak mają na imię dziewczyny, wypadaloby więc, bym również się przedstawił. Jestem Zozym.

– Miło mi poznać... Swoją drogą, ciekawe macie imiona... Ja jestem Oskar. Powiecie mi, co się stało?

– Narobiłeś trochę zamieszania – wyrwała się szatynka. – Zozym zwrócił na to uwagę i przyszedł tu sprawdzić, co się dzieje. Uratował ją. – Wskazała rudą, po czym oparła się ostentacyjnie na ramieniu bohatera wieczoru i pocałowała go w policzek.

– Ale ty też byłeś dzielny – dodała Berenice. – Ruszyłeś mi na ratunek... Byłeś jak rycerz pędzący na pomoc damie w opresji!

– Rycerz z bardzo krótką kopia – dodała Nicol.

Berenice skosiła ją wzrokiem.

– Wyjdiesz zapalić? – spytał Zozym.

– Czemu nie – odparłem wciąż na wpół przytomny.

Wyszliśmy więc. Chłodne powietrze nieco mnie oprzytomniło. Zozym wyjął papierosy.

– Ja nie palę – odpowiedziałem, świadomy już tego, co się dzieje.

– Nie ma problemu – odparł.

W tym momencie Berenice złapała mnie pod ramię. Spojrzała mi głęboko w oczy i powiedziała lekko przyciszonym głosem:

– No chodź, jednego na spółę.

Spojrzałem w błękit jej spojrzenia. Zabrzmiało to tak, jakby proponowała coś zupełnie innego, a ja nie byłem w stanie jej odmówić.

– W takim razie się skuszę. – To były jedyne słowa, jakie mogłem z siebie wykrztusić znajdując się pod naporem jej wejrzenia.

– Daj ogień – powiedziała Nicol do Zozyma.

Płomyczek zapalniczki Zippo zakręcił się między nami. Berenice puściła moje ramię. Ja wciąż patrzyłem na nią.

– To co powiesz o sobie, Oskarze? – spytał nasz towarzysz, wypuszczając dym nosem.

– Poza tym, że nie umiesz się bić, ale i tak pchasz się do bitki – dodała Nicol.

– W sumie nic ciekawego. Tak sobie siedzę i obserwuję... Dawno tu nie byłem i przyglądałem się ludziom w środku... Więc nic ciekawego.

– To co zobaczyłeś w Berenice? – spytała szatynka, zanim zdążył zareagować Zozym. Uśmiechnęła się zajadle i chyba stłumiła w sobie śmiech.

– Wybacz jej – powiedział Zozym, choć wcześniejsze pytanie też wywołało na jego twarzy uśmiech. – Po prostu już wcześniej o tobie dyskutowaliśmy.

Byłem zszokowany bezpośredniością moich nowych znajomych. W sumie wpadłem w osłupienie już trzeci raz tego wieczoru. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że w tym towarzystwie często będzie mi się to zdarzać. Zakrztusiłem się dymem i oddałem papierosa Berenice.

– O mnie? – spytałem z niedowierzaniem.

– A o tobie. – Nicol wystrzeliła pierwsza z odpowiedzią. Zacząłem się zastanawiać, czy nie leży to w jej zwyczaju. – Widzieliśmy, jak się na nas gapisz.

Zaniemówiłem.

– Nie przejmuj się nią. – Zozym próbował wyprowadzić mnie z osłupienia. – Ta dziewczyna po prostu lubi być dosadna. – Zaciągnął się. – Poza tym, nie mamy ci tego za złe. Ot, taki typ obserwatora z ciebie.

– Owszem. – Nieco się uspokoiłem. Jednak zaintrygowało mnie, jak wiele ci ludzie o mnie wiedzą.

– Wydaje mi się, że trafiłem na obserwatora równego sobie – dodałem ostrożnie. Po cichu liczyłem, że wyciągnę w ten sposób trochę więcej informacji o moich rozmówcach.

Zozym uśmiechnął się szeroko. Zaciągnął dymem i odparł:

– Taaak, można o mnie tak powiedzieć. Mam po prostu wieloletnie doświadczenie.

– A co się stało z tamtą dwójką? – spytałem z ciekawością. Wspomnienie oprawców Berenice wpadło do mojej głowy tak niespodziewanie, że po prostu musiałem zadać to pytanie.

– Uciekli – powiedział i wypuścił dym. Ja z kolei poczułem się lekko rozczarowany. Liczyłem na opowieść o zmaganiach z napastnikami, a tu... nic. Musiałem się nacieszyć zwykłym, krótkim „uciekli”.

– W popłochu – dodała Nicol. – Mój bohater upuścił im trochę krwi. – Uśmiechnęła się filuternie i znowu pocałowała Zozyma w policzek.

– Wiecie co? Ja się chyba będę zbierał – powiedziałem, widząc, że żar papierosa mojego i Berenice zbliża się do żółtego filtra. – Mam dość wrażeń jak na ten wieczór. Wybaczcie, ale naprawdę dopadło mnie zmęczenie.

Odsunąłem się od Berenice, lecz ona chwyciła mnie z powrotem za ramię.

– Zostań – powiedziała ściszym głosem kusicielki.

Ponownie wbiła mnie w ziemię. Starcie z hipnotyzującym błękitem jej oczu przekraczało moje możliwości. Byłem bezbronny wobec jej wdzięków.

– Chodź, postawię ci piwo – zaproponował Zozym. – Gdyby nie ty, nie zorientowałbym się, że Berenice ma kłopoty. Winny ci jestem przysługę.

– Ech. – Nijak mi było stać przy swoim. – Przekonaliście mnie.

Weszliśmy do baru. Zozym i Nicol poszli po piwo. Ja i Berenice zostaliśmy sami. Usiadłem na kanapie, a ona wcisnęła się między mnie a boczne oparcie. Odsunąłem się lekko. Była piękną kobietą i przez nieśmiałość trochę się jej obawiałem. Siedzieliśmy tak przez chwilę w ciszy.

– Jesteś bardzo małomówna – odezwałem się w końcu. Serce waliło mi jak dzwon.

– Trochę – odpowiedziała.

Moje myśli zaczęły pędzić jak oszalałe. „Co teraz? Jesteś beznadziejny! Jak sądzisz, co mogła odpowiedzieć?!”. Przez to swoje samobiczowanie, straciłem kompletnie odwagę i nie odezwałem się już więcej.

Siedzieliśmy więc, tak przez chwilę oplątani niezręczną ciszą. Jednak w końcu przyszło wsparcie, a wraz z nim wybawienie w postaci wiecznie

roztrajkotanej Nicol.

– Wróciliśmy, gołąbeczki! – krzyknęła.

Zozym postawił kufle z piwem przede mną i Berenice, po czym klapnął obok mnie.

– Nie przejmuj się – powiedział.

– Czym? – spytałem.

– Berenice.

Spojrzałem na nią. Zarumieniła się, a ja wciąż nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi.

– To bardzo nieśmiała dziewczyna, ale polubiła cię.

– Oj, nie podpowiadaj mu. – Nicol jak zwykle musiała dorzucić swoje trzy grosze. Strasznie lubiła zwracać na siebie uwagę. – To obserwator! On już wszystko o nas wie. – Roześmiała się.

– Niekoniecznie – odparłem. – Określiłem tylko, w jaki sposób funkcjonujecie w waszej relacji, ale na podstawie kilku sekund obserwacji ciężko ocenić czyjąś osobowość. To już wymaga interakcji.

– Zaciekawileś mnie. – Zozym oczami wwiercił się w moją duszę. – Możesz rozwinąć?

Przytoczyłem im mój sposób porównywania ludzi do pierwiastków i związków chemicznych. Nawet Nicol postanowiła mnie wysłuchać do końca, bez wtykania swoich komentarzy. Gdy zakończyłem, wziąłem głęboki wdech w oczekiwaniu na zimne wiadro krytyki.

– Powiem ci – rozmówca po mojej prawej pogłaskał

się po gładko ogolonej brodzie – że jest to bardzo ciekawa koncepcja. Może niekoniecznie słuszna albo niekoniecznie przydatna, ale ciekawa.

Wypuściłem powietrze.

– Mógłbyś rozwinąć?

– W pewnym sensie obrazuje relacje między ludźmi w danej zbiorowości. Jednak relacje międzyludzkie nie są statyczne ani stabilne. Zmieniają się. Dla przykładu: włączyłeś się do naszego grona. Jakim teraz jesteśmy związkiem?

– Ciężko mi powiedzieć. – Poczułem zakłopotanie. Z drugiej zaś strony, rzadko spotykałem godnego siebie rozmówcę. Zozym zdawał się naprawdę bystrym człowiekiem, więc zebrałem się w sobie i uporządkowałem myśli. Wziętem głęboki wdech i zacząłem wykladać. – By móc obiektywnie oceniać i określać zbiorowość, powinno się ją obserwować od zewnątrz. Nie będąc jej członkiem. Natomiast aby móc ją zmienić, trzeba stać się owej zbiorowości integralną częścią. Zmiana zaszła. Wątpię, bym był teraz w stanie opisać naszą relację... Przynajmniej obiektywnie.

– E, gadasz jak potłuczony. – Nicol nie mogła sobie darować. – To brzmi jak naukowy bełkot!

– Gratuluję przemyślenia. – Zozym nie zwrócił na nią uwagi. – Bardzo słuszne. Jednak spróbuj. Tak

czysto teoretycznie. Wyobraź sobie, że dalej siedzisz przy swoim stoliku i obserwujesz nas.

– Ech... – Zamyśliłem się. – Mógłby być to kwas chlorowy trzy albo azotowy trzy.

– O! Dokładnie. Układ nam się zmienił. Trafność odłożmy jak na razie na bok. – Poruszył rękoma tak, jakby coś przesuwiał. Był to tylko pretekst, by lekko połaskotać Nicol. Ta się zaśmiała, ale nic nie powiedziała. Zamiast tego przysunęła się i przełożyła swoje ramię przez jego ramiona. Tymczasem mówca kontynuował: – Chciałbym zauważyć, że w tym nowym układzie nie zgadzają nam się pierwiastki. W poprzednim związku ja byłem tlenem, dziewczyny wodorami. Ty nie mogłeś być wcześniej azotem czy chlorem, bo to atomy gazu, a te występują zawsze w parze. U nas zatem jeden wodór musiałby się zamienić w tlen. Wiesz już, Oskarze, o co mi chodzi? Przyznałbym twojej tezie pełną słuszność, gdyby nie to, że twoje pierwiastki zmieniają się ot tak. Owszem, dla opisanja jakiejś relacji w danym momencie może to mieć zastosowanie, jednak relacje są zbyt dynamiczne. Związki chemiczne są znacznie bardziej trwałe. No chyba że twoje opiniowanie nie jest do końca trafne... Ale jaki jest wtedy sens opiniowania?

Zwiesiłem głowę. Wygrał.

– Dupa nie obserwator.

– Nicol, zdziwiłabyś się. Z pewnością nie znalazł

najlepszej metody, jednak ma ona w sobie coś urokliwego. Oskarżę, pokaż jej, że się myli. Powiedz nam coś o osobowości Nicol, na pewno masz już pewien pogląd.

– Ech – ponownie westchnąłem. Zebrałem myśli i zacząłem swoją interpretację: – Nicol z pewnością lubi, gdy się jej poświęca uwagę. Bardzo potrzebuje cudzej uwagi. Stąd te jej komentarze i docinki. Może mieć zaniżone poczucie własnej wartości. Przypuszczam, że jej ojciec nie poświęcał jej dość uwagi, gdy była mała, ale to bardzo daleko idący wniosek... Poza tym jest naprawdę inteligentna. Woli to maskować. Chciałaby, aby ludzie odbierali ją jako głupiotkę ślicznotkę. Nie wiem czemu... Może by łatwiej było ich omotać? Nie mam pewności.

– No, no. – Zozym znów podrapał się po brodzie. – I co teraz powiesz, Nicol? Dalej myślisz, że kiepski z niego obserwator?

– Na pewno lepszy obserwator niż rycerz.

– Oj, nie bądź dla niego taka surowa. Zobacz, nasz kolega się przez ciebie zarumienił.

– A nie powinien. Jeszcze nie ma powodu. – W tym momencie pogładziła moje ramię ręką przewieszoną przez Zozyma. – No, może teraz już troszkę ma. – Na jej pochylonej twarzy pojawił się kokieteryjny uśmiezek.

Zarumieniłem się jeszcze bardziej.

W tym momencie Berenice, która wcześniej nie dawała znaków życia jak ta szara mysz, chwyciła mnie za drugie ramię i pociągnęła do siebie, jakby chciała mnie wydostać z zasięgu Nicol. Poczujęm się jak pluszowy miś rozciągany przez dwie małe dziewczynki. Nie zaprzeczę, było to miłe, ale jednocześnie bardzo obce mi uczucie. Nie przywykłem do takich sytuacji, nie miałem nawet okazji przywyknąć. Czułem się onieśmielony, a jednak w tym onieśmieleniu było coś radosnego.

W końcu Berenice wyłowiła mnie spod macek Nicol. Siedzieliśmy teraz bardzo blisko siebie. Już nie mogło być mowy o jakimś nieumyślnym otarciu. Byłem ja. Była ona. Byliśmy my.

Nicol nie opłakiwała straty. Zamiast tego namiętnie pocałowała swojego towarzysza. Jej duże, jędrne i kusicielskie udo wylądowało na jego kolanie.

– Przytulisz mnie? – spytała moja wybawicielka. – Mam ochotę na odrobinę czułości. – Znow wbiła we mnie swój wzrok.

Przytuliłem. Jedną rękę położyłem na jej ramieniu, drugą umieściłem na jej brzuchu. Ona położyła swoją główkę na mojej piersi i przywarła mocno. Swoimi pazurkami lekko skrobała mój brzuch. Już wiedziałem, że nie chcę jej wypuścić. Była niczym maść dla mojego serca. Pocałowałem czubek jej rudej czupryny

i mocno zaciągnąłem się zapachem jej włosów.

Ona musnęła ustami moją koszulę. Później spojrzała w górę, w kierunku mojej twarzy i pocałowała mnie w szyję. Był to delikatny, spokojny, jeszcze nieco nieśmiały pocałunek. Ja powtórzyłem swój, znów zanurzając twarz w jej rudych kędziorkach. Wtedy ona nieznacznie szarpnęła za moją koszulę, tak jak mała dziewczynka szarpie za nogawkę spodni ojca, gdy chce, by ten na nią spojrzał. Więc spojrzałem. Lekko się podniosła i delikatnie musnęła moje usta swoimi, po czym znów się we mnie wtuliła. Schowała się jak mysz w norce.

Uśmiechnąłem się.

- Jesteś bardzo przyjemna.
- Ty też. - Nie podniosła głowy.
- Lubisz się przytulać?

Pokiwała głową. Pochyliłem się lekko.

- To dobrze, bo ja też - szepnąłem i pocałowałem po raz trzeci jej czuprynę tak, jakbym stawiał kropkę na końcu zdania.

Ona wtuliła się mocniej. Ja skupiłem się na jej ciepłe. Na jej miękkości. Na nasycaniu moich zmysłów, dłoni, policzków jej bliskością.

Tak, na szeptach i przytulaniu, minęło nam kilka godzin.

~W~

– Idziecie zapalić? – Z naszego stanu boskiego zawieszenia wyrwał nas Zozym, machając papierośnicą.

– Ja dziękuję. – Spojrzałem na telefon. Była już trzecia. – Chyba będę się zbierać.

Berenice spojrzała na mnie z lekkim żalem.

– Naprawdę muszę już iść – dodałem.

– Wiesz co, to nie taki głupi pomysł – rzucił Zozym.

– Dziewczyny! My chyba też się będziemy zbierać. Późno już.

Nie odpowiedziały. Po prostu zaczęły zakładać swoje płaszczyki. Od razu było widać, kto tu dowodzi. Postanowiłem zostać z nimi jeszcze chwilę, poczekać, aż wypalą papierosy. Chciałem też odprowadzić moją rudowłosą towarzyszkę. Jednak w momencie, gdy zasugerowałem wyjście, odskoczyła ode mnie. Miałem wrażenie, że specjalnie mnie unika. Nie Ignęła już do mnie. Najwyraźniej poczuła się obrażona.

Staliśmy więc. Oni palili. Ja, senny i zmęczony, przysłuchiwałem się rozmowie Zozyma i Nicol na temat jakichś gości czy przebrań i o jakimś balu, który miał mieć wkrótce miejsce. Wtedy nie było to dla mnie istotne. Nie wiedziałem jeszcze, że ten bal odmieni moje życie.

– Idziemy wrzucić coś na ząb. Chcesz dołączyć? – spytał.

– Oj, ja bym cię wrzuciła – dodała szatynka i mrugnęła do mnie.

Berenice kiwnęła głową na nie.

– Opuść – zdecydowałem. – Na noc wolę się nie przejadać.

– Niech tak będzie. – Zozym wzruszył ramionami. – Wiesz co? Jesteś spoko. Daj nam swój numer, jutro też gdzieś wyskoczmy, Co ty na to? – Zgasił butem niedopałek.

– Z miłą chęcią.

Wymieniliśmy się numerami.

– No, to będziemy lecieć. Miłej nocy, Oskarze.

Podeszła do mnie Berenice. Przytuliła się mocno. Była ode mnie niższa prawie o głowę. Szarpnęła delikatnie moją kurtkę. Doświadczony wiedziałem, że mam się pochylić.

Pocałowała mnie. Namiętnie. Bardzo namiętnie.

– Chodź, Berenice, jeszcze jutro się nim nacieszysz.
– W głosie Nicol dało się słyszeć zażenowanie.

Wtedy mnie zaskoczyła. Pod sam koniec ugryzła mnie w język. Mocno. Bardzo mocno. Poczułem smak krwi. Odskokczyłem od niej jak oparzony.

– Auć! – krzyknąłem i dotknąłem miejsca, w które mnie ukąsiła. Na palcach miałem krew.

- Oj, przepraszam – odpowiedziała sprawczyni i w podskoku pocałowała mnie w policzek. – Na pocieszenie ci powiem, że słodki jesteś! – Po tych słowach zwiesiła głowę i wierciła swoją stópką jak mała dziewczynka złapana na psocie.

Spojrzałem na nią. Nie byłem w stanie się na nią złościć.

- Ty też. Ale proszę, nie przesadzaj, dobrze?

- Dobrze.

- Berenice! – Zozym i Nicol zawołali ją z ciemnej uliczki. Oddalali się.

- Pa. – Na pożegnanie pocałowałem ją w czoło.

- Pa, pa – odpowiedziała miękko, przyciszonym głosem i pobiegła w ich kierunku.

Ja, głupek, który naoglądał się romansideł, stałem tak jeszcze chwilę i patrzyłem, jak się oddala. Nie obróciła się.

Poszedłem w swoją stronę. Do domu.

~W~

Z pewnością wzbudzi to w was śmiech, lecz byłem zauroczony. Berenice mnie zahipnotyzowała, wręcz zniewoliła mój umysł, który tak bardzo pragnął kochać i czuć się kochany.

Następnego dnia siedziałem w swoim pokoiku. Nie

należał do dużych – mieściło się w nim łóżko, biurko, szafa i jeden człowiek. Choć w tamtym momencie byłem raczej tylko skrawkiem człowieczka. Targany wspomnieniami i marzeniami, stałem się maleńki pod przygniatającymi mnie uczuciami. Rozmyślałem. Rozczulałem się. Moje myśli wiecznie wracały do rudowłosej piękności.

Niejednokrotnie wcześniej przypisywano mi nadwrażliwość. Teraz ta cecha przyszpilała mnie do łóżka.

Tuliłem, pieściłem, wręcz molestowałem poduszkę przy tęsknym wspomnianiu Berenice. Moje zmysły oszalały. Wtulając się w pościel, czułem zapach jej włosów. Ściskając poduszki, miałem wrażenie, że czuję ciepło bijące z jej ciała. Niejednokrotnie w półsennym amoku szukałem jej ust i z rozżaleniem otwierałem oczy, gdy napotykałem tylko pustkę. Miotalem się w tę i we w tę po pościeli, ale znajdowałem jedynie fragmenty poduszek i kołdry.

W końcu zebrałem wszystkie siły zdrowego rozsądku i postanowiłem wstać. Nie zaprzeczę, głód również posłużył mi za motywator. Swoją drogą bardzo skuteczny.

Na zewnątrz panował już półmrok. Przez okno w kuchni zobaczyłem tylko wąż, czerwoną łunę tnącą ostrzami promieni gęste chmury. Słońce łapało ostatnie sekundy dnia. Ja tymczasem postanowiłem

złapać coś do jedzenia.

Nie pomogło. Wspomnienia o Berenice nie dawały za wygraną. Przez cały czas miałem wrażenie, że jest gdzieś blisko. Czułem jej obecność. Gdy kroilem warzywa, kątem oka złapałem jakiś ruch za oknem. Tak jakby przemknęła tam jakaś postać. Było to co najmniej niemożliwe, bo mieszkam na czwartym piętrze. Gdy podniosłem wzrok, nie zobaczyłem tam nic. Wróciłem do przygotowywania jedzenia.

Jednak dziwne przeczucia mnie nie opuszczały. Jakąś chwilę później, gdy odwróciłem się od kuchenki z talerzem, zobaczyłem ją w oknie! Ją! Piękną Berenice! Talerz wypadł mi z ręki, a gdy schyliłem się, by go podnieść, zjawa musiała rozwiać się, bo gdy wstałem, dostrzegłem za oknem tylko mrok nocy.

Zjawa, mara, złudzenie wygłodniałego umysłu – tak sobie to tłumaczyłem. Mimo jaskółczego serca mam przecież również rozum, jestem skłonny do trzeźwego myślenia. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Gdy kończyłem posiłek, odezwał się telefon.

– Witaj, Oskarze! – Przypuszczam, że Zozym musiał palić w trakcie naszej rozmowy. Dźwięk wypuszczanego dymu rozniósł się w słuchawce. – Co porabiasz?

– Miło cię słyszeć – odparłem. – Właśnie kończę jeść. A ty co porabiasz?

– Ano właśnie wybrałem się na spacer po mieście. Za jakiś czas mam się spotkać z dziewczynami. Chcesz się dołączyć?

– Pewnie. – Wręcz podskoczyłem. – Gdzie się spotykamy?

– Umówmy się na rynku. Za ile będziesz?

– Daj mi godzinę. – Biegłem już do łazienki. – Muszę się przygotować i od razu jadę do was.

– Świetnie. Będę na ciebie czekał. Pod pręgierzem będzie ci pasowało?

– Oczywiście. Do zobaczenia.

Odrzuciłem telefon. Naprędce zacząłem się myć. W głowie nie miałem nic, od ścianek czaszki odbijało się tylko echo imienia: „Berenice, Berenice, Berenice”.

~W~

Deszcz, jak na złość, postanowił nas nawiedzić. Lekkimi uderzeniami zaznaczał swoją senną obecność. Szybkim krokiem pokonywałem główne ulice rynku, by dotrzeć na sam jego środek. Latarnie skrzyły się żółto-pomarańczowym światłem, czyniąc wszystko wokół równie połyskliwie żółto-pomarańczowe. Iskry żarówek odbijały się od ścian starych i znużonych swym żywotem budynków. Od wyszlifowanych butami ponemieckich kamieni, którymi były wyłożone ulice.

Od żebraków stłoczonych pod zadaszeniami, przemoczonych, zapuszczonych i wynędzniałych.

Jeden szczególnie przykuł moją uwagę. Na oko był już w podeszłym wieku. Gęste, długie włosy, poszarzałe przez życie, opadały w nieładzie na jego ramiona. Równie gęsta i poszarzała broda, zlepiona kwaśnym deszczem, przylepiała się do płachty zrobionej z worka na śmieci. Klęczał tak w deszczu, wkomponowany między latarnię a śmietnik, z ręką wyciągniętą przed siebie. Jego ciało znaczyły liczne zmarszczki, a skóra wyglądała na twardą i zużytą.

Gdy go tylko ujrzałem, musiałem na chwilę przystanąć. Musiałem mu się przyjrzeć. Wejrzałem w niego. Uderzyły we mnie wizje zagubionego we współczesności człowieka. Była to osoba, która powoli wszystko traci. Straty mogły postępować powolutku i niezauważalnie, stopniowo i skutecznie pogłębiając go w nędzy niezrozumianego przezeń świata. Mógł też wieść dobre życie. Przynajmniej do czasu jakiejś klęski. Wyniszczającej, wypalającej klęski.

Choć niezwykle zastanawiała mnie droga, która przywiodła go w to miejsce, nie odważyłem się podejść i spytać, jak było naprawdę. Z jednej strony gdzieś z tyłu głowy tkwiła mi Berenice, a z drugiej nie mogłem się uwolnić od obserwowania tego człowieka. Odnajdowałem w nim po części siebie. Byłem tak samo jak on zagubiony w świecie szalonych

technologii i w sobie samym. Ja przecież też zebrałem. Nie tak jak on, lecz podobnie. Ja zebrałem o ludzką uwagę dla mojego poplątanego wewnętrznie świata, on - prosił o chwilę uwagi i idącymi za tą uwagą paroma drobnymi. Zarówno on, jak i ja byliśmy wytrwali i niezłomni w swym zebraniu.

W końcu się ocknąłem. Podszedłem, wyjąłem z kieszeni drobne i wręczyłem je do wyciągniętej ręki. Spojrzałem mu w oczy. On w moje. Uśmiechnął się. Upuścił pieniądze i chwycił mnie za moją zastygłą w bezruchu dłoń. Wycelował we mnie palec wskazujący drugiej dłoni i rzekł:

- Umrzesz! - Nie było w jego głosie smutku czy przeraźliwej doniosłości. Powiedział to wręcz z radością. - A teraz biegnij, bo przemokniesz. - Puścił mnie i schylił się po pieniądze.

Odskoczyłem i pobiegłem ku pręgierzowi. Szczęśliwe i uśmiechnięte „umrzesz” kołatało mi się w głowie, tak jak to wcześniej robiło „Berenice”. Wiedziałem, że słowa te nie miały żadnego znaczenia. Przypuszczałem, że chciał mi się jakoś odwdzięczyć za drobny gest dobroci. Jedyna wróżba, jaką mógł mi sprzedać, pewna, że się spełni, to właśnie „umrzesz”. Kolejne zdanie zresztą potwierdzało jego brak złych intencji. Świadczyło o trosce.

Zdyszany wbiegłem na rynek. Koło pręgierza stała tylko jedna osoba. Zozym. Palił papierosa, zakrywając

go dłonią przed niepożądanym deszczem.

Wówczas po raz pierwszy zwróciłem więcej uwagi na jego ubiór. W stylu Zozyma dominowała czerń, a podkreślała ją czerwień. Na jego głowie spoczywał melonik. W jednej ręce wiecznie skrzył się papieros, w drugiej trzymał czarną laskę, którą wieńczyła kula, a nie uchwyt.

– Witaj, Oskarze – przywitał się z oddali i skierował w moją stronę. – Nie zmokłeś za bardzo?

– Może trochę, a ty?

– Nie czyni mi to szczególnej różnicy. To tylko woda. – Uścisnął mi dłoń i wyciągnął papierośnicę. – Chcesz?

– Nie, dzięki.

– Nie szkodzi. – Zozym przyglądał się mojej twarzy przez sekundę. – Czyżbym widział zażenowanie?

– Nie, ależ skąd!

– A teraz i skrępowanie! Domyślam się, o co chodzi, przyjacielu! – Chwyił mnie w tym momencie za ramię. – Dziewczyny jeszcze do nas dołączą. Spokojnie.

– To co teraz robimy?

– Najzwyczajniej w świecie poczekamy na nasz środek transportu. Proponowałbym pod tym zadaszeniem. – Wskazał laską kierunek.

W ciszy pokonaliśmy dystans dzielący nas od suchej

przystani, a gdy byliśmy już we względnie bezdeszczowej ostoi, spytał:

– Nie sądzisz, że to nawet zabawny widok?

– Mianowicie?

– Mamy tu centrum żywienia pod złotymi łukami, zaraz naprzeciwko pręgierza. Zderzenie przeszłości i teraźniejszości. Zestawienie miejsca średniowiecznej kaźni ku uciechu gawiedzi i współczesnego miejsca obżarstwa. – Tu przerwał, by wciągnąć nieco dymu. – Również ku uciechu gawiedzi. Dwa końce, a kij jakby ten sam.

– Ciekawe spostrzeżenie, nie zaprzeczę. Choć dodałbym jeszcze miejsce spotkań, jeżeli mamy być dokładni.

– A jakże! Otóż to! Gwoli ścisłości, moglibyśmy pokusić się nawet o miejsce upodleń i katowań. Jedyna różnica polega na tym, że na pręgierz ludzie szli w łańcuchach, a do złotych łuków lgną sami. Takie rozważanie podsunęło mi nawet dalej idącą myśl. Muszę sprawdzić, czy w Oświęcimiu mamy podobne zestawienie... Można by je przedstawiać na obrazach zatytułowanych „Obozy zagłady kiedyś i dziś”!

Naprawdę byłem pod wrażeniem ekscentryzmu Zozyma. Był jakby nie z tej ziemi, a jednak jego niecodzienne spojrzenie ukazywało jakieś dziwne piękno świata.

– Trafne! – odparłem i poczułem nieprzepartą chęć podzielenia się z nim myślą, która mi się bardzo nasuwała. – A nie sądzisz, że należałoby poszerzyć nieco kadr?

– O co dokładniej?

– O palacza malującego taki obraz. Lub zestawić obóz zagłady z fabryką papierosów.

Zozym uśmiechnął się szeroko i wypuścił gęsty obłok dymu.

– Rozumiem, do czego pijesz! Byłoby to również trafne. Mielibyśmy nawet piękne zestawienie bardzo bliskich i pokrewnych metod zgładzania ludzkich istnień. Jednak palono przed obozami, w trakcie i po nich. Odważę się nawet stwierdzić, że ludzie wciąż palić będą. Więc zestawienie „kiedyś i dziś” byłoby tu mało trafne... Jednak doceniam inwencję! A teraz chodź, nasz pojazd właśnie podjechał.

Z początku go nie zrozumiałem. „Gdzie on widział ten swój pojazd?” – krążyło mi po głowie. Olśnienie przyszło nagle. Oto stała na uboczu mała bryczka z zadaszeniem. Jak się później dowiedziałem od Zozyma, poprawna nazwa dla takiego pojazdu to „kabriolet”.

Podeszliśmy więc niespiesznie do naszego zaprzęgu. Mój towarzysz wręcz z dziecięcą radością wdrapał się do środka. Przepęłniała go euforia. Przypominał

dziecko uradowane nową zabawką lub starca, któremu w ręce wpadła ulubiona zabawka z czasów dzieciństwa. Mnie wdrapanie się do naszego kabrioletu przysporzyło nieco trudności. Na szczęście palacz podał mi pomocną dłoń.

– Woźnico! Na wieżę! – zakrzyknął, gdy ja już byłem usadowiony. Woźnica nie odpowiedział. Strzelił tylko lejcami. Poczułem, jak lekkie przyspieszenie delikatnie pociąga mnie w tył. Tymczasem mój towarzysz odpalił kolejnego papierosa.

Spojrzałem na niego z nutką niedowierzania. Domyślił się, o co mi chodzi.

– A co będę sobie żałował? – skwitował.

– Zozymie, mogę się o coś spytać? Trochę to niedyskretne, a jednak to pytanie nie daje mi spokoju.

– Nie krępuj się! – Uśmiechnął się szczerze.

– Skąd ty masz tę dorożkę? Nie łatwiej byłoby nam wziąć taksówkę?

– No cóż, to są dwa pytania. – Zaciągnął się. – Ale i tak odpowiem. Otóż „dorożkę” wynająłem sobie na ten wieczór. Natomiast taksówka może byłaby szybsza, być może nawet wygodniejsza, ale co poradzisz. – Znowu przerwał, by się zaciągnąć. – Dawno nie jeździłem ani konno, ani „dorożką”, więc pozwoliłem sobie na taki kaprys. Poza tym, takie szczególiki uprzyjemniają moje bytowanie na tym łoż

padole. Nadają mu smak.

- Rozumiem... Ale teraz nasunęło mi się kolejne pytanie...

- Z pewnością chodzi ci o pieniądze - wypuścić smużkę dymu za okienko - a dokładniej, skąd je mam?

- Dokładnie! Przecież te „przyjemności”, jak je nazwałeś, do tanich nie należą.

- To, czy należą, czy też nie, jest kwestią względną! Co dla jednych jest drogą i zbędną ekstrawagancją, dla innych może być przyjemnością, która prawie nic nie kosztuje. - Zaciągnął się po raz kolejny. - A pieniądze mam i jest ich sporo. Powiedzmy, że płynie we mnie krew wybitnych i majątnych ludzi. Oto, skąd je mam.

Później dyskutowaliśmy o tej względności, o majątności i czym się ona cechowała w innych czasach, aż dotarliśmy do celu naszej podróży. Wieża, o której wspomniał Zozym, była niczym innym jak drapaczem chmur, jedynym w naszym mieście. Dziewczyny czekały już na nas przy wejściu. Okazało się, że cały punkt widokowy na szczycie budynku został zarezerwowany tylko dla nas.

~W~



Zozym stał odwrócony do mnie plecami. Jego twarz odbijała się w szybie, którą miał tuż przed sobą. Jedną nogę wsparł na barierce, a laskę odchylił lekko w bok. Przed nim roztaczał się widok na gęste, ciężkie od siarki chmury. Gdzieś między nimi rozbłyskiwały światła lamp i budynków, leżących daleko pod nami.

Jego twarz zdradzała przygnębienie. Niemal dało się dostrzec skłębione myśli na jego czole. Cała dziecięca euforia gdzieś się ulotniła. Pozostało tylko dojrzałe, a nawet starcze zmartwienie.

– Oto stoimy na szczycie wieży Babel – powiedział w końcu głosem ciężkim od smutku. – Do czego to dochodzi w ostatnich czasach? Tylko patrzeć, jak ludzkość ściągnie na siebie katastrofę pokroju tej biblijnej – westchnął.

– Ale cię wzięło.

Zozym tylko zmierzył Nicol wzrokiem. Nie zamierzał odpowiadać na jej docinki.

Dziewczyny stały z boku, kawałeczek od nas. Berenice czasem spoglądała na mnie. Dostrzegałem w jej twarzy coś na kształt poczucia wstydu i lekkiego podniecenia. Wnioskowałem to po rumieńcach czy niepewności, które tego wieczoru stale jej towarzyszyły. Mnie z kolei zabrakło śmiałości, by otwarcie rozwijać naszą relację od miejsca, w którym skończyliśmy wczoraj. Po wyjściu z dorożki nie

potrafiłem powiedzieć do niej nic prócz pustego „cześć”, na co ona odparła tym samym i zwiesiła wzrok. Tak więc trwaliśmy w zawieszeniu między wspomnieniem, osłupieniem i wstydem. Bez odwagi, by wykonać pierwszy krok.

– Świat zmierza ku ruinie. Ku przepaści – odpowiedział sam sobie Zozym. – Jeszcze chwilę, jeszcze trochę, a ludzkość sama skaże siebie na wymarcie. Jeżeli nie skazimy ziemi do cna, nie wyjałowimy jej w całości, to zawsze znajdzie się kretyn, którego paluszki będą świerzbic i naciśnie ten zakazany, czerwony guziczek, a wtedy... Bum! I wszystko pokryje atomowa mgiełka. Ci, którzy nie stopią się w jej blasku, będą wpieprzać karaluchy z piaskiem. I tak oto nastanie koniec.

– No, dla smaku dodam, że będą jeszcze grzybki! – Tym razem Nicol odczekała pięć sekund, by nie narażać się mówcy. – Zawsze to jakieś urozmaicenie.

– No to ludzie przyszłości będą wpieprzać karaluchy z poatomowymi grzybkami! – parsknął w odwecie. – Zaiste, pocieszająca wizja. No, ale cóż, zawsze to jakieś urozmaicenie... Ech... Chcę zapalić.

– Nie podzielam twojego zdania, Zozymie – odezwał się w końcu. – Ludzkość nigdy nie wymrze.

Obrócił się ku mnie. Jego wzrok zagłębił się w moich oczach. Chciał usłyszeć więcej. Odrobinę mnie

przestraszył. Oto raz stoi z pochmurną miną, dywaguje nad ludzkim losem, a następnie wlepia we mnie gniewne, choć ciekawe spojrzenie. Mimo to zebrałem się w sobie i zacząłem rozwijać swoją myśl.

- Ludzkość, jaką możemy dziś obserwować, nie przykładą zbyt wiele uwagi do przyszłości. Przynajmniej w dalszej perspektywie. Gdybym był malarzem, zobrazowałbym współczesność przy pomocy człowieka wpatrzonemu w telefon i stojącego nad przepaścią. Wkrótce poczynimy kolejny krok w przód i nie będzie już odwrotu. Otchłań nas pochłonie. Wystarczy, by ludzkość spojrziała trochę dalej. Wyjrzała przed siebie. Nie robi tego. Mam wrażenie, że część ludzi nawet przeczuwa, że coś jest nie tak. Jednak brak im odwagi, by spojrzeć w mroczną przestrzeń przed sobą. Ci, którzy są dość śmiali... Ci, którzy w nią zerkną choćby raz... zmieniają się. Otchłań wpada w nich. Wchłania od środka. Im bardziej próbujemy uciec, tym więcej z nas pozostawiamy na żer przepaści. Nie ma sposobu, by przed nią czmychnąć, Zozymie. Otchłań wejrzała w ciebie. Żyje w tobie. Wciąga cię. Możesz szukać wyjścia. Gubić pieniądze. Gubić czas. Gubić samego siebie. Możesz, nikt ci nie zabroni. Uciekanie przed stratą jest cechą ludzką. - Nie skomentowałem. Nie przerywałem. Wiedziałem, że trafiłem w sedno. - Rozumiem już, czemu ciągnie cię tak do bryczek, do ekstrawaganckich, staroświeckich

ubrań. Po prostu w obawie przed wizją przyszłości, biegniesz z rzewną nostalgią w przeszłość. Nie muszę ci chyba mówić, że twój cel jest nieosiągalny?

– To co? Mam ulec? – spytał w końcu. – Nawet nie próbować nic zmienić? Poddać się?

– Nie rozumiem twojego strachu – odparłem. – Ta wielka katastrofa, której się obawiasz raczej nie dotknie naszego pokolenia. O przyszłe też bym się nie martwił. Niech wkroczą w przyszłość nawet, gdyby miała być mroczna. Ty się boisz klęski! Ja uważam, że jest nam potrzebna. Upadek zmusza do powstania. Upodlenie wzbudza w człowieku chęć uwznioślenia. Trzeba być biednym, by marzyć o bogactwie. Trzeba umierać, by marzyć o życiu. Od marzeń już niedaleko do tworzenia planów. Od planów do działania. Od działania do ziszczenia. Pozwól ludzkości, niech się garbi nad telefonem i w swej ślepcie wkroczy w przepaść. Upadek zaboli, a przez to zapatrzenie w odciągający uwagę telefonik zaboli tym bardziej. Bo ugodzi nie tylko w ciało, ale i w dumę. Więc ludzkość znów zacznie marzyć o rzeczach wielkich. Znajdą się setki, które wysnują plany. Dziesiątki zaczną owe plany realizować. Być może będzie tylko jeden, któremu się uda plan ziścić. Lecz jeden wystarczy. Stworzy nowy, piękniejszy świat na zgłiszczach starego. Nasza cywilizacja obumiera. Gnijemy. W swoim nieróbstwie i naiwnym dążeniu do

wzbogacenia, zapatrzonego w siebie i tylko swój byt, oddawania się rozkoszom. Pozwól nam i sobie na klęskę. Niech nas ugodzi i oswobodzi z okowów umierającej cywilizacji. Niech nas zmusi do patrzenia dalej. Do myślenia.

– Optymista z ciebie, Oskarze... Niech i tak będzie! Sprawdzimy twoją tezę! Upodlimy się dziś do granic możliwości! A teraz na dół, naprawdę chcę zapalić!

~W~

– Optymista po stokroć! – Zaciągał się dymem, nie osłaniał już papierosa ręką. W końcu przestało padać.
– Ale nie zaprzeczę, jest coś w tej twojej wizji. Choć nie chce mi się wierzyć w uwznioślenie całej ludzkości... Jakoś wydaje mi się to strasznie naiwne.

– A czy ja mówiłem o całej? – spytałem. – Sądzę, że świat się podzieli. Na ludzi zniekształconych upodleniem, słabych, którzy nie podnieśli się z klęczek i będą nosić klęskę w sobie aż do końca swych dni. Oraz na drugich. Tych, którzy podejmą walkę z rzeczywistością. Pierwsi wymrą. Drudzy stworzą nowy świat. Świat ludzi silnych. Ludzi z wizją. Ludzi dobrych. Mówiłeś dziś o wieży Babel, prawda? Pozwól więc, że podtrzymam ten biblijny kontekst. Pozwólmy Ewie zerwać jabłko! Niech ludzkość straci Eden. Bez

tego nie stanie się samodzielna. Nie zacznie się rozwijać. Nie wzniesie wieży, która sięgnie z powrotem do raj. Pomyśl, Zozymie... Jaki Eden jest więcej wart? Podany na tacy? Darowany? Czy wywalczony? Zdobyty? Im więcej będzie nas kosztować powrót do bram niebios, tym bardziej będziemy je szanować. Nie popełnimy już tego samego błędu. Zamiast marnować zasoby świata, ludzkość będzie je celebrować.

– No pięknie, pięknie. – Zaciągnął się. – Ale wieża upadła... Pamiętasz? Kolejna klęska.

– No cóż, takie jest życie. Upadamy i wznosimy się. Za każdym jednak razem wchodzimy wyżej. W końcu dobijemy się do celu...

– Przestań marzyć o rajszych bramach i ogrodach!
– Nicol w końcu straciła cierpliwość. – Jedne bramy już stoją przed tobą otworem! A żyzne łąki czekają na zaoranie! – To powiedziawszy, szybkim ruchem podciągnęła sukienkę Berenice, ujawniając czerwoną barwę jej koronkowej bielizny.

Ta skwitowała to rumieńcem. Zsunęła ją szybko na dół i szturchnęła mocno Nicol. Szatynka nie pozostała obojętna. Odpowiedziała tym samym. Nie minęło pięć sekund, a w ruch poszły szpony.

– Dziewczyny, uspokójcie się. – Zozym ze stoickim spokojem wszedł między jedną a drugą. – Nicol, powstrzymaj czasem swój język... albo znajdź lepsze

dla niego zastosowanie. – Mrugnął do niej znacząco. – A ty, Berenice, przestań się tak oburzać. Znasz Nicol nie od dziś. Naucz się w końcu ją znosić. – Zrobił krótką pauzę. – Zrobimy eksperyment! Jak już wcześniej mówiłem, upodlimy się dziś do granic możliwości! Zobaczymy, czy to nas uwzniośli! – Uśmiechnął się do siebie. Piękno przypadkowego rymu wywołało w nim cichy chichot.

~W~



Wyobraźcie sobie uliczkę pełną klubów. Neony, powietrze gęste od wszechobecnego, kakofonicznego huku muzycznej mieszanki. Ludzi stłoczonych na tej uliczce. Młodziutkie dziewczęta w kusych spódniczkach, splątane z prostymi lub wręcz prostackimi mięśniakami o kwadratowych szczękach i myślach.

A teraz wyobraźcie sobie, że wjeżdża w ten zgiełk karoca. Tłum wpada w szok. Zmieszanie. Poprzez muzykę przebijają się głosy. Męskie wołające „patrz na pajaców” i kobiece „te, weź mnie na przejażdżkę”.

Ogólnie nasz przyjazd został okraszony falą wulgaryzmów. Ja zatopiłem swą głowę w dłoniach, myśląc: „o Boże, co my tu robimy”, lecz Zozym był w swoim żywiole. Wyskoczył z powozu. Ukłonił się, zdejmując melonik i zamiótł nim bruk.

– Witam państwa! – przekrzykiwał huk.

Zaraz po tym podał rękę Nicol, by jej pomóc w zejściu z powozu. Ta z radosnym piskiem wskoczyła mu na rękę. W reakcji moja głowa jeszcze bardziej zaczęła się topić w dłoniach, szukając skrycia przed przerastającą ją rzeczywistością.

– Pomożesz mi? – zapytała Berenice.

Spojrzałem na nią. Szybko spuściła wzrok. Ja poczułem w tym momencie żal. Lubiłem patrzeć w jej oczy. Wspominałem o tym, jakie były piękne? Choć

muszę wyznać, że nawet gdy spętana skrępowaniem bała się na mnie skierować swoje spojrzenie, wyglądała olśniewająco. Właśnie w tamtym momencie, tamtego wieczoru, skrycie w głębi duszy, podziwiałem piękno jej lekko zarumienionych bladziutkich policzków.

– Oczywiście – odparłem.

Zszedłem więc. Obróciłem się i wyciągnąłem ku niej dłoń. Chwyliła ją mocno. Zainspirowana wyczynem Nicol, też chciała zeskoczyć w moje ramiona. Zrobiła to jednak bardzo nieporadnie lub ja byłem bardzo nieporadnym łapaczem. Nie wiem, czy się potknęła, czy to kwestia niepewności moich ruchów, ale nie wyszło nam to najlepiej. Na szczęście zdążyłem ją jeszcze złapać w pasie, nim opadła na bruk. Powoli opuściłem ją na ziemię. Berenice odwzajemniła mój uścisk. Gdy już stała na ziemi, trwaliśmy w nim przez chwilę. Nie chciałem jej wypuścić. Ona nie chciała, bym ją wypuszczał. Świat wokół tracił na znaczeniu.

– No, gołąbeczki! Pogruchacie sobie później! – Nicol lekko pociągnęła nas za sobą. – Teraz idziemy się zabawić!

Puściłem Berenice i magia prysła. Szliśmy już ramię przy ramieniu za Nicol i Zozymem. Oni z kolei kierowali się do klubu, w którym muzyka była najgłośniejsza.

Zacząłem się przyglądać otoczeniu. Widziałem

młode dziewczynki eksponujące swoje wdzięki w wyzywających kreacjach. Mężczyzn opętanych przez alkohol i chuć. One pragnęły tych mężczyzn, bo symbolizowali prawdziwą męskość, brutalność, siłę i dojrzałość. Oni pragnęli młodych ciał dziewczyn, bo dzięki nim będą mogli zaspokoić swoje żądze. One szukały w nich silnego ramienia, które będzie ich bronić. Szukały uśmiechu, który ich zabawi. Szaleństwa, które doda ich życiu krztyny ekscytacji. Oni zaś mieli silne ramiona, które przygniotą je, gdy zaczną protestować. Fałszywy uśmiech, który je omota. Mieli też szaleństwo, dużo szaleństwa, które chce je przebijać, łechtać i gdy w konwulsjach wyciśnie się z nich resztką ekscytacji, porzucą je. Dziewczyny te stanowiły dla nich źródło jednorazowej uciechy. Po wszystkim zostawiają je zużyte, potargane, oszołomione, często nieświadome tego, że posłużyły im tylko jako zabawki.

Nie mówię o wszystkich. Bo przecież wszędzie znajdują się miłe i nieśmiałe kobiety. Wszędzie da się znaleźć lekko nieśmiałych i spokojnych mężczyzn. Oni też tam gdzieś byli. Dojrzałe kobiety, nie dziewczynki. Prawdziwi mężczyźni, nie chutliwi chłopcy. Kobiety z odrobiną gracji. Mężczyźni z odrobiną elegancji.

Oczywiście że byli tam oni wszyscy. Jednak gubili się w tle oszalałych krzyków. Ginęli w rozjuszonym rzeszy prostych i nieskomplikowanych umysłów.

A może sami chcieli się uprościć, upodlić, ogłupić? Może oni też byli świadomi gnijącej codzienności i chcieli zgubić tę świadomość? Kobiety z rozmysłem dawały się szarpać, by odnaleźć ekstazę w bólu. Mężczyźni wlewali w siebie odwagę i niepamięć, by dać upust dzikim instynktom. Być może.

W każdym razie nie odnajdowałem się najlepiej w tej zbieraninie. Nie byłem jednym z nich. Mimo że uświadamiałem sobie, jak podłe jest życie, że nasza kultura gnije i pożera samą siebie, nie chciałem się ogłupiać. Nie szukałem ucieczki. Pragnąłem upadku dziś, by jutro cierpieć, a pojutrze żyć w nowym, lepszym świecie. Niszczyć, by budować na nowo. Bo tylko wtedy będzie miejsce na nową budowlę.

Jednak nie mogłem stawiać nowego świata i doprowadzało mnie to na skraj szaleństwa. Bo z im większą gorliwością wyczekiwałem katastrofy, z tym większą gorliwością nie nadchodziła. Więc stałem i obserwowałem gnicie i rozpad. Rozpad i gnicie. I choć bałem się to powiedzieć na głos, miałem przeczucie... Okropne przeczucie. Moja klęska nie polega bowiem na braku gotowości i przygotowania na nadchodzący kataklizm. Moja klęska polega na tym, że ów kataklizm nigdy nie nadejdzie. Oto mój najskrytszy lęk.

Musiałem zatem nosić w sobie tę katastrofę, jej pragnienie i żal do niej. Pogrążałem się coraz głębiej

w wizji otchłani, a otchłań zagłębiała się we mnie. Moja katastrofa, klęska, upadek żyły we mnie, a nie w Zozymie. Po prostu chciałem... odnaleźć kogoś takiego jak ja, choćbym miał to podobieństwo najpierw wmówić tej osobie. Ech... W końcu to z siebie wykrztusiłem. Cóż, dajmy spokój moim czułym rozmyślaniom. Wracajmy do drugiego wieczoru, jaki spędziłem z Berenice.

Wepchnęliśmy się do zatłoczonego klubu. Nasz przewodnik jakimś cudem znalazł nam stolik.

– To co? Wódeczka? – spytał.

– Wódeczka! – odparła Nicol.

Nie miałem ochoty pić. Wódka nie leżała zupełnie w moich gustach. Moja mina musiała zdradzić tę niechęć.

– No, Oskarze, nie bądź taki. – Nicol spojrzała na mnie z miną kusicielki.

– Nie chcesz sprawdzić swojej tezy? – dołożył Zozym.

W dodatku znalazłem się pod ostrzałem wzroku Berenice. Odmowa w tej sytuacji stanowiła luksus, na który mnie nie było stać.

I zaczęło się. Oto ja - samotnik, człowiek wyobcowany, wygodny siedziałem w głośnym klubie otoczony szumem podłej muzyki i podłych ludzi, piłem podłe alkohole i dyskutowałem o jak najbardziej

podłych i przyziemnych rzeczach z ludźmi, których ledwo znam.

Gdzieś pomiędzy jedną a drugą butelką, Nicol zaczęła ciągnąć nas do tańca. Zozym się podniosłem bez najmniejszych oporów. Jednak ja wolałem zostać w swoim małym skrawku względnie bezpiecznego i zbadanego miejsca. W kącie, który już zdążyłem poznać. W powietrzu snuły się teksty bez treści i melodie nietworzące pieśni, jakby to powiedział pewien klasyk. W skrócie: zabawa w tym wynaturzonym środowisku nie była moim żywiołem.

Pewnie bym został na miejscu, nie podniosłem się, gdyby nie piękna, rudowłosa Berenice. Najpierw spojrzała na mnie, imitując kusicielski wzrok Nicol. W odpowiedzi pokiwałem przecząco głową. Wtedy się podniosła i wyciągnęła do mnie dłoń. Po raz kolejny tego wieczoru schowałem głowę w swoich dłoniach, a właściwie w jednej. Drugą wyciągnąłem w kierunku mojej tancerki.

Poszliśmy. Minęła nas Nicol.

– No, no, żeby Berenice pierwsza wyłamała się ze swojej skorupki... Nieładnie, Oskarku, nieładnie – wyszeptała mi tylko do ucha.

Oszołomiony alkoholem i wdziękiem towarzyski, ogłuszony hukiem muzyki sprostałem zadaniu narzuconemu mi przez króla palaczy. Zrzuciłem pętające mnie okowy twardych i ciężkich myśli.

Tańczyłem jak szalony. Kiedyś duma by mi nie pozwoliła się przyznać, lecz dziś będę z wami szczerzy: bawiłem się świetnie. Poczułem się prawdziwie wolny. Byłem prawdziwie wolny. Otchłań, która ziała z mego umysłu, w tamtym momencie skryła się w najciaśniejszy kąt mojej czaszki. Nie miała nawet szans z tą rudą pięknością.

Nie tylko ja się wyswobodziłem z krępujących manier. Jak to trafnie określiła Nicol, Berenice wyłamała się ze skorupy. W tańcu wirowała, zbliżała na odległość szeptu tylko po to, by odskoczyć. Ściągała mnie wzrokiem, a ja – wierny jak satelita – krążyłem wokół niej.

Zgubiliśmy gdzieś naszych towarzyszy, jednak w niczym nam to nie przeszkadzało. Istnieliśmy już tylko dla siebie. Byliśmy sobą ponownie odurzeni, tak jak poprzedniego wieczoru. Powoli zlewaliśmy się w jedną duszę. Niewiele brakło, a zlalibyśmy się pewnie i w jedno ciało.

W pewnym momencie zaparło nam dech w piersiach. Mięśnie zaczęły się robić ciężkie i obolałe. Wróciliśmy więc do stolika, by się ponownie odurzyć, podtrzymać pulsujący przyjemnym gorącym stan ogłupienia.

Nasza butelka wciąż stała na stoliku i, zanurzona w wiaderku lodu, chłodziła swe namiętnie grzejące wnętrze. Jednak nasi towarzysze gdzieś zaginęli.

Uzupełniliśmy więc niedobór odwagi i wpadliśmy w swoje sidła. Berenice usiadła bokiem na moich kolanach i zlepiliśmy się, tworząc jedno ciało. Oczywiście za sprawą pocałunku.

- Gdzie oni się podzieli? - Braki w towarzystwie powoli dawały się we znaki mojej tancerce.

- Jeżeli chcesz znaleźć Zozyma, spróbowałbym na zewnątrz. Z pewnością pali.

- Trafnie - powiedziała i figlarnie drapnęła mój nos. Zmrużyłem oczy. Musnęła moje wargi swoimi. - Chodź, sprawdzimy.

Chwyciła moją dłoń i pociągnęła ku wyjściu. Uległem. W tamtych czasach miałem zwyczaj ulegać. Nie byłem typem inicjującym działania. Tamtego wieczoru Berenice musiała się o tym mocno przekonać, bo później zwykle to ona mnie prowadziła lub nakierowywała na właściwy trop. Jej nieśmiałość prysła. Zrzuciła krępujący ją skafander i dawała upust swoim zachciankom, fruując jak frywolny motyl.

Znaleźliśmy Zozyma. Nie myliłem się, palił na zewnątrz, lecz jego towarzystwo troszkę mnie zdziwiło. Otaczał go wianuszek ludzi raczej zróżnicowanych, jednak kwadratogłowe półgłówki i młodziutki ekscytantki stanowiły w niej mniejszość. Nasz znajomy bawił towarzystwo jakimiś żartobliwymi historyjkami. Grzechem byłoby nie przyznać, że miał dar prowadzenia monologów. Jego głos przebijał się

przez huk i gwałt tylko przy akompaniamencie radosnych szczebiotów i pełnych życia, głębokich śmiechów.

Co w tym dziwnego? No cóż, w tym jeszcze nic. Zadziwiający był fakt, że wtulała się w niego naprawdę zgrabna i raczej młodziutka blondyneczka. Była wpatrzona w niego jak w posąg Apollina. Jej dłonie pożądliwie wędrowały po jego koszuli, a i on nie pozostawał jej dłużny.

– Gdzie w takim razie Nicol? – zastanawiała się głośno trzeźwiej myśląca Berenice.

– Spytam.

I miałem nawet ku temu sposobność. Z głosu Zozyma dało się wyczytać, że jego historyjka właśnie uwieczniona została puentą i zawtórowały mu ożywione reakcje tłumu. Podszedłem więc, a Berenice trzymała się u mego boku.

– O! A oto i moi przyjaciele – przywitał nas. – Jak się bawicie?

– Całkiem dobrze – odparłem.

– Pozwolisz na chwilkę? – spytała Berenice z za mojego ramienia.

– Czemu nie? – zwrócił się do nas, po czym przemówił do swoich nowych kompanów, a zwłaszcza do nowej towarzyszki. – Pozwólcie, że się ulotnię, zaraz wracam.

Skierowaliśmy się na pobocze. Tam przyszpiliła go Berenice.

– Gdzie się podziewa Nicol?

– Nie wiem, zaczęła tańczyć z jakimś facetem. Czemu pytasz?

– Ech nic, już nic. – Na twarzy Berenice pokazało się znużenie. – Dasz mi fajkę?

– Ależ oczywiście! – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Nie sądzisz, że to trochę przesada? – Kiwnięciem głowy wskazałem blondynkę wytrwale czekającą na swojego bawidamka w przeciwieństwie do reszty z grona słuchaczy.

– Niby czemu? – Zapalił kolejnego i wypuścił dym. – Mieliśmy się zabawić, upodlić... Po prostu realizuję plan z pełną pieczołowitością. Nicol zresztą też.

– Zozym, nie sądzisz, że właśnie Nicol bardziej zasługuje na twoje upadlające występki? – spytałem.

– Przecież ta tam – znów posłużyłem się głową jak wskaźnikiem – trochę od ciebie odstaje. Poza tym, może być trochę za młoda. Nie sądzisz?

– No cóż, pozwól, że odniosę się trochę do kuchni. – Zaciągnął się. – Dobrze?

Kiwnąłem przyzwalająco.

– Nicol jest jak kawior. Świetnie trafia w moje wysmakowane podniebienie, jednak jak długo można

jeść tylko kawior? Czasem ma się ochotę na kawał krwistego, świeżego steku. Cóż w tym złego? No i oczywiście świetnie wpisuje się to w plan wieczoru.

– Pozostanę w tej dziedzinie – odparłem. – Pamiętaj, że nie da się zrobić omletu bez rozbicia kilku jaj.

Mój rozmówca zaciągnął się i wypuścił gęstą smugę dymu.

– Nie zaprzeczę. Jednak, o ile jajka Fabergé dobrze wyglądają, to najeść się nimi może być trudno. – Odwrócił się na pięcie i skierował się ku swojej wybrance. – Bawcie się dobrze. Bo ja będę z pewnością.

– Ech, Berenice, i co my teraz zrobimy?

– Spalimy do końca. – Strzepnęła popiół z cygaretki. – A później pójdziemy szukać Nicol. Może zostanie z nami na dłużej. Bo na niego – kiwnęła w kierunku Zozyma – nie ma już co liczyć. Przynajmniej tego wieczoru.

Obróciłem się w jego kierunku. Nasz przyjaciel właśnie szedł ku wyjściu z zatłoczonej uliczki. Pokiwałem głową.

– Buszka? – spytała Berenice.

– Czemu nie...

Zaciągnąłem się raz. Wypuściłem dym i oddałem jej papierosa, a ona rzuciła się na mnie i pocałowała.

I tak tkwiliśmy w pocałunku. Ja, ona. Ona, ja. Mówiłem już, że w takich sytuacjach świat wokół przestawał istnieć, zacierał się? Tak było i tym razem, przynajmniej do pewnego momentu.

– Marnujecie dobro faje! – usłyszeliśmy mamrot za naszymi plecami.

Chwilę później Nicol już wisiała na nas. Nie była w stanie stać sama na nogach. Usta i kawałek policzka miała umazane czerwienią, włosy w nieładzie, a sukienkę zadartą. Wyglądała bardzo sugestywnie.

– No i znalazła się nasza zguba. – Tym razem to ja pokusiłem się o komentarz.

– Co zguba? Jaka zguba?! – oburzyła się. Próbowwała usiąść na krawężniku, ale wychodziło jej to bardzo koślawo. Mało brakowało, a roztrzaskałaby sobie potylicę o płytę chodnikową. Chwyciłem ją w ostatnim momencie. – No proszę! Jagchi czentelmen!

– Nicol, coś ty ze sobą zrobiła? – Berenice skrzyżowała ramiona na piersiach i pokręciła głową. – Było warto?

– Było, było, było... Jest! Musze psynać, był, kurwa, dobry... Baaadzo dobry.

– Kto? – dociekałem naiwnie.

– No ten... no... kurwa, jak on miał?

Berenice uniosła brew. Widziałem, jak wzbiera w niej gniew.

– No, ten słodziaszek. – Nicol uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Przesadzasz! – Berenice była wściekła.

Nie do końca rozumiałem, o co jej chodzi. Stałem się częścią ich paczki ledwo poprzedniego dnia. Choć może było zbyt wcześnie, by tak to określić, jednak zdążyłem się już poznać na Zozymie i Nicol. Prezentowali dość specyficzne typy. Lubili się zabawić, szczególnie nasza pijaczka. Bez swojego palacza straciła hamulec, który trzymałby ją w granicach dobrego smaku. Stan, do którego się doprowadziła, nie był niczym nieprzewidywalnym. Berenice znała ich od dawana, a jednak jej furia wzięła nad nią górę. Zaczęło mnie to naprawdę zastanawiać, choć nie miałem zamiaru wtrącać się w ich sprzeczkę.

– Przesazasz... Przesazasz... Bla, bla, bla. Zluzuj gacie, maleńka.

– Nicol!

– So, ptaszynko? Że niby szemu mam sobie nie poewolić? Jak pan fajeszka sobie poszedł, to i chyba mnie wolno się zabawić? A pro po. – Sięgnęła do torebki i wyciągnęła jednego pogiętego papierosa. Odpaliła. Zaciągnęła się. Wypuściła smugę prosto w twarz Berenice, która właśnie pochylała się tuż nad nią. – Ty też powinnaś sobie zaszaleć... Se swoim Oskarkiem... Smakowity s ciebie kosek, wiesz, Oskar? No, a ty jak nie masz ochoty, to mozesz mi go

odstąpić... Ja tam mam jeszcze apetyt. – Jej ręka zawędrowała między uda. – I to sąłkiem spory. – Przygryzła język.

– Przesadziłaś, zmij! – Berenice uderzyła ją prosto w twarz. Plask przebił się nawet przez otaczający nas jazgot, a Nicol odrzuciło głowę w bok.

– No, no, no! Ja wisę, sze ktoś tu naprawdę szesadza! Ty mała dziwko, szekaj, niech stane. – Próbowała się podnieść. Nie wyszło jej. Odruchowo złapałem ją za ramię, gdy upadała i powolutku usadowiłem z powrotem na bezpiecznym chodniku. – Albo wiesz co... chyba jednak sobie posiedze... Dziś si odpuszczam. Snaj mojo łaske!

– Zostaw ją! – krzyknęła Berenice do mnie.

Byłem lekko skonsternowany. Zdawałem sobie sprawę z tego, że relacja między dziewczynami jest dość napięta. Z drugiej zaś strony, nie uważałem, bym zrobił cokolwiek złego. Poczulem dziwną obawę, że dziewczyny zaraz skoczą sobie do gardeł i że będę stanowił tego przyczynek.

– Wyluzuj – odpowiedziałem najspokojniej, jak tylko umiałem. – To nie ona, to wódka mówi przez nią. – Wstałem. Spojrzałem w niebieskie oczy Berenice. Przytuliłem się do niej. Ucałowałem jej rude kędziorki. – Spokojnie – dodałem, gładząc jej plecy.

– O! Jak słodko! – Nicol nie dawała o sobie

zapomnieć.

Berenice aż się wzdrygnęła.

– Cśś. – Głaskałem ją dalej. – Lepiej?

– Tak.

– No to chodź, trzeba się nią zaopiekować.

– Masz rację. Ale zrobię to sama, dobrze? Muszę z nią poważnie porozmawiać.

Spojrzałem na nią badawczo.

– Nie martw się, tylko porozmawiać.

– No dobra, wierzę ci.

– Chodź, odprowadzimy cię do taksówki. A ja już się później nią zaopiekuję. – Zrobiła głęboki wdech, a w jej głosie dało się wyczuć zażenowanie.

Wzięliśmy Nicol pod ramię.

– Sześć, czystojniaczkę... Ej, ronszki przy sobie... Choć wiesz co, siebie jeszcze rozumiem, ale Berenice?

– Cicho, Nicol, cicho.

Poprowadziliśmy ją do wyjścia. Potem postawiliśmy ją opartą o ścianę. Poszedłem razem z Berenice łapać taksówkę.

– Jesteś pewna, że sobie z nią poradzisz? – spytałem, patrząc na sześćdziesiąt kilo nieszczęścia, które właśnie zsuwało się po ścianie za nami.

– Na pewno, nie martw się. – Pocałowała mnie w policzek.

– Nie zadźgacie się?

Berenice się uśmiechnęła.

– Możesz być spokojny... Naprawdę.

– No dobrze. – Pocałowałem ją.

– Paneczku! Taksóweczkę? – Kierowca wychylił się przez uchylone okno pojazdu.

– Och! – Berenice zrobiła smutną minę.

– Taki los – powiedziałem do niej. – Tak, biorę! – odkrzyknąłem taksówkarzowi. – Jeszcze jeden i uciekam. – Wróciłem do niej. Wróciłem do jej ust. Syciłem się jej zapachem, jej smakiem, jej ciepłem.

– No, paneczku! Nie mam całego wieczoru! Weź koleżaneczkę ze sobą i dokończycie w chałupie!

– Idź! – Oderwała się ode mnie.

– Pa.

– Pa. – Zrobiliśmy jeszcze kilka kroków. – Zadzwoń do mnie czasem! – dodała, gdy wchodziłem do taksówki.

– Zadzwonię! – odkrzyknąłem i zamknąłem drzwi.
– Jedziemy.

~W~

Przyszedł następny dzień, a wraz z nim ból głowy. Gdy tylko się wyprostowałem, poczułem pulsowanie

w moich skroniach. Prędko, jak na mój ówczesny stan, przyszedł mi do głowy żart pewnego komika. Tak więc i mnie tamtejszego poranka dźwięk spadającej monety potrafił przysporzyć sporo bólu. Tak! Miałem straszego kaca.

Gdyby nie pragnienie, nie wyściubiłbym nosa z łóżka. Nie miałem jednak innego wyjścia. Wyposażony w butlę wody, wróciłem do swej oazy spokoju i pogrążyłem się we śnie.

Tego dnia nawiedziły mnie trzy sny niczym trzy zmory. Zwykłe i conocne rojenia nijak się miały do tamtej trójcy. Wszelkie barwy były przejaskrawione. Żarzyły się, jakby Bóg dopiero co wyciągnął je z pieca. Mimo to każdy ze snów zdawał mi się absolutnie realny. Były pełne prawdziwego życia.

Pierwszy wiązał się z Zozymem. Znajdowaliśmy się w dużym salonie spowitym przez półmrok. Oczywiście dla mnie było, że to późny wieczór. Otaczali nas starcy i staruszki. Ludzie pomarszczeni i posiwiali. Nadgryzieni zębem czasu. Za źródło światła mieliśmy świece i telewizor. Wisiał na suficie w kącie i był stary jak nasi towarzysze. Leciał w nim jakiś czarno-biały film o rycerzu. Zbyttno się na nim nie skupiałem. Mówiono w nim jakimś dziwnym językiem. Może był to dialekt któregoś ze skandynawskich narodów. Telewizor śnieżył i trzeszczał, lecz większość seniorów zastygła z utkwionym wzrokiem w tym pudle. Zozym

siedział przy dużym okrągłym stole razem z kilkoma panami w trzecim wieku. Grali w karty.

Ja siedziałem z boku i obserwowałem. Moją uwagę, nie wiadomo dlaczego, przykuła postać na bujanym fotelu. Była obrócona do mnie tyłem. Widziałem tylko ramię tej tajemniczej osoby. Było odziane w czarną luźną szatę, a spod jej rękawa wysuwała się dłoń. Miała pomarszczoną, suchą i niezdrowo zabarwioną na pomarańczowo skórę, przez co przypominała osobę zmarłą. Nie mogłem oderwać się od słuchania powolnych ruchów bujanego fotela. Zahipnotyzowała mnie muzyka starego mebla.

Fotel skrzypiał. Telewizor trzeszczał mu do rytmu. Karty ślizgały się po stole i trzeszczały w trakcie tasowania. Z każdym kolejnym ruchem starego mebla w pomieszczeniu zostawało coraz mniej światła. Świece jedna po drugiej gasły. Fotel bujał się dalej. Starcy ginęli w mroku. Skrzypienie nie ustawało. W końcu jeden z seniorów przy stole podniósł głos:

– A niech cię! – Wstał i zaczął wymachiwać ręką przed twarzą Zozy. – Znowu wygrałeś, szachraju!

W tym momencie telewizor zaśniewał po raz ostatni. Sypnęły z niego iskry i w tym błysku mogłem dostrzec przez chwilę resztę moich towarzyszy. Siedzieli powykręceni na krzesłach albo leżeli pod nimi. Zastygli jak we śnie. Dziwnym trafem wiedziałem, że ich sen będzie trwał całą wieczność. W końcu jedynym

źródłem światła stały się świece przy stole hazardowym. Resztę pomieszczenia spowił nieprzenikalny mrok.

Bujany fotel przestał skrzypieć, a ja zacząłem wpatrywać się w ciemność, w miejsce, w którym powinien się znajdować nasz ostatni towarzysz. Usłyszałem jego kroki na drewnianej posadzce, która, jak wszystko w tym śnie, skrzypiała starością. Tajemnicza postać wyłoniła się z ciemności. Odziana w długi, czarny płaszcz z kapturem, nadnaturalnie wysoka przemierzała salon. Powolnym krokiem zbliżała się do stołu. Wstępowała coraz głębiej w światło. Im była bliżej swego celu, tym ja coraz mocniej dygotałem z zimna.

Zozym siedział sam. Reszta jego towarzyszy rozviała się, znikła. Kostucha zajęła miejsce naprzeciwko niego. Zagrali razem. W rękach hochsztaplera karty świszczały i poruszały się w niezwykłym tempie. Mój przyjaciel miał bardzo pewne ruchy. Tasował z niezwykłą gracją i wprawą. Rozdał po dwie karty. Wyłożył trzy na stół.

Kostucha kiwnęła ręką. Zozym dołożył jedną. Ponury żniwiarz kiwnął drugi raz. Palacz dołożył. Śmierć kiwnęła po raz trzeci. Trzecia karta wylądowała na stole.

Przyszedł moment, w którym musieli pokazać, co mieli w dłoniach. Zakapturzona postać nachyliła się

lekko. Wróciła do swojej pozycji. Potem spojrzała na mnie. Nie mogłem się ruszyć. Nie byłem w stanie nic zrobić. Kostucha odsunęła swój fotel. Z jej dłoni zwisał sznur zawiązany w pętlę. Kostucha wstała. Ja siedziałem. Ruszyła w moim kierunku. Ja tkwiłem jak zamrożony. Pętla w jej ręce się bujała. Lewo, prawo, lewo, prawo. Lewa stopa w przód, pętla w lewo. Prawa stopa w przód, pętla w prawo.

Zozym siedział przy stole na bujanym fotelu.

Skrzyp. Pętla w lewo. Skrzyp. Pętla w prawo.

Stanęła nade mną. Chwyciła mnie za podbródek. Uniosła moją twarz. Spojrzałem w mrok kaptura. Dostrzegłem tam dwa czerwone punkciki. Cały mój świat ograniczył się do ciemności i tych dwóch kropek.

Zawiesiła mi na szyi sznur.

Usłyszałem rechot w ciemności.

Obudziłem się zziębnięty i mokry. Siedziałem na łóżku. Słońce przebijało się do mojego pokoju znad dachu budynku przed moim blokiem. Wisiało już wysoko nad widnokręgiem.

Poczułem, że moje skronie wciąż pulsują. Wziąłem kilka łyków wody. Obróciłem się na drugi bok. Zamknąłem oczy.

Gdy je otworzyłem, stałem na wieży. Na szczycie wieżowca. Spiralnie zwężał się pod moimi stopami. Widziałem ludzi krzątających się jak mrówki po tej

budowli. Uderzali młotami, wciągali cegły i stalowe pręty. Wieża wciąż rosła. Wynosiła mnie ku niebu.

Nade mną widniały gwiazdy. Skrzyły się. Spalały niczym żelazo. Panowała noc. Na niebie nie było ani jednej chmury, ale księżyc również. Byłem tam tylko ja i gwiazdy. Wciąż się wznosiłem. Im wyższa stawała się wieża, tym węższy był jej szczyt. Chciałem sięgnąć choćby jednej gwiazdy. Wyciągałem w ich kierunku dłonie.

– Oskar! – usłyszałem wołanie z dołu.

Spojrzałem, a tam, tuż przede mną, na niższym piętrze stała Nicol. Wyciągnąłem ku niej dłoń. Chciała mnie ściągnąć w dół, a ja próbowałem wciągnąć ją na górę.

Wieża wciąż rosła i zwężała się. Powoli zaczynało mi brakować miejsca na szczycie.

– Schodź! – krzyczała Nicol.

Nie słuchałem jej. Próbowałem się oswobodzić z krępującego mnie uścisku, lecz trzymała zbyt mocno. Wyciągnąłem drugą dłoń i znów próbowałem chwycić jedną z gwiazd. Wciąż były za daleko. Wiedziałem jednak, że są coraz bliżej. Bliziotko. Czułem, że dam radę.

Wieża zaczęła być naprawdę wąska. Moje stopy się z niej ześlizgiwały. W dłoni poczułem ciepło gwiazdy. Już prawie ją miałem. Wtedy Nicol mnie szarpnęła.

Ściągnęła w dół.

Zacząłem spadać, a ona spadała wraz ze mną, wciąż trzymając mnie za dłoń. Po prawej widziałem szklane ściany wieżowca. Nicol się śmiała, lot stanowił dla niej tylko kolejną zabawę. Ja chciałem krzyknąć, ale pęd dusił słowa w mojej krtani. Obejrzałem się za siebie. Widziałem, zaostrzony czubek wieży, pusty, niezdobyty, nieosiągalny. Widziałem gwiazdy, które znajdowały się na wyciągnięcie ręki ze szczytu budowli.

Przestałem obserwować szczyt. Moje spojrzenie przykuła wieża. Zaczęła się zmieniać. Coraz mniej było w niej szkła, coraz więcej betonu. Potem mój wzrok powędrował na Nicol, rozszczebiotaną i radosną.

– To cudowne! – krzyczała.

Wieża znów zaczęła zmieniać swoje kształty. Teraz nie było w niej ani szkła, ani betonu, jedynie stalowy stelaż na kształt arcydzieła Eiffla.

– Oskar! Ciesz się! Lecimy! – wołała.

Budowla wciąż się zmieniała. Przypominała wieżę kościelną, pełną zdobień i zawijasów, pełną przepychu i złoceń w stylu rococo.

– Jakie to piękne! – Nicol również zwróciła na nie uwagę.

Lecz to już znalazło się za nami. Teraz mijaliśmy

kolejne kondygnacje. Przypominały wieżę kościelną pełną witraży, z której wystawały łuki wspierających ją żeber. A chwilę potem stała się gładka i pusta. Witraże ustąpiły miejsca cienkim, podłużnym okiennicom.

Wciąż nabierałem prędkości. Obok kolejnych segmentów budowli przelatywałem coraz szybciej i szybciej. W końcu jej elementy zaczynały się zlewać.

– Pa, pa, Oskar! – Nicol pomachała mi i wzleciała ku górze.

A ja spadałem dalej. Mijałem greckie kolumny i potem stożkowo ułożone bloki piaskowców. Dalej była już tylko glina, kamienie, patyki. Znajdowałem się naprawdę blisko podłoża. W końcu strach stał się potężniejszy niż pęd powietrza. Krzyk wyrwał mi się z rozdygotanej piersi. Zamknąłem oczy w obawie przed spotkaniem z ziemią.

Gdy je otworzyłem, leżałem z powrotem w swoim łóżku. Słońce przesunęło się na horyzoncie. Było już południe albo popołudnie. Tym razem nie zamierzałem kłaść się ponownie. Nie dlatego, że czułem się wypoczęty – przeciwnie. Głowa dalej mi ciążyła, choć już trochę mniej. Czułem głód.

Wypiłem resztki wody i ruszyłem do kuchni. Przyrządziłem sobie coś do jedzenia. Zacząłem rozmyślać nad moimi dziwnymi i przerażającymi snami. Zgłębiałem je w poszukiwaniu sensu.

Sądziłem, że moja podświadomość po prostu przetrawia weekend pełen wrażeń.

Wtedy poczułem, że syty i wciąż zmęczony opadam z powrotem w objęcia Morfeusza. Powieki same mi się zamykały. Do łóżka nie miałem nawet zamiaru wracać. Obawiałem się, że znów przytrafi mi się dziwny, żeby nie powiedzieć chory, sen. Usadawiłem się więc na kanapie. Liczyłem, że w nieco mniej wygodnym miejscu sny mnie nie nawiedzą. Było to niezwykle naiwne podejście.

Zamknąłem oczy i pogrążyłem się w ciemnościach. Gdy je otworzyłem, był wieczór. Słońce chyliło się ku zachodowi, a ja stałem przed dużą, ceglana bramą. Jej portal tworzył łuk. Nad łukiem znajdowała się niewielka wnęka, w której stał krzyż. Nad bramą widniał napis: „St. Laurentium”. Zauważyłem niewielką tabliczkę, a przed nią pewnego starca. Za cały jego ubiór starczało kilka szmat pozszywanych ze sobą w parodię spodni i koszulki. Ramiona osłaniała mu płachta zrobiona ze starego, czarnego worka na śmieci.

– Ech, taka młoda – zachrypiał bezdomny.

Podszedłem do tabliczki z nekrologami.

– Kto?

– No popatrz pan – chrypiał dalej. – Taka młoda dziewczyna! Panie, jaka ona była śliczna! Ech, szkoda.

Szkoda.

– Rzeczywiście szkoda – odparłem. – A gdzie ją pochowano?

– Panie! Jakże pochowano?! – Żebrak zaczął żywo wymachiwać rękoma. – Biedaczki nawet nie ma kto pochować! Ani rodziny! Ani znajomych! Nic! Nikogo! Leży w trumnie! Na widoku! Idź pan sam zobacz! To tam, na końcu. – Wskazał mi kierunek.

Poszedłem. Poczulem, jak drobne krople deszczu opadają na moją twarz i ramiona. Na końcu cmentarza, przy murze, znajdowało się stare, martwe drzewo. Jego gruby pień i bezlistne gałęzie wpisywały się idealnie w cmentarny krajobraz. Pod martwym drzewem leżała trumna. Była otwarta. Czarna sukienka, biedna i zwykła, skrywała jej szczupłe, młode ciało. Była blada jak papier. Jej rude włosy kontrastowały z cerą. W trumnie leżała Berenice.

Rozdziawiłem szeroko usta. W moim umyśle zaczęły się plątać myśli.

– Nie! – wykrzyknąłem do nagrobków. – Nie, nie, nie, nie!

Deszcz lunął strumieniem. Słońce skryło się za horyzontem. Na niebie widniała już tylko pomarańczowa łuna. Upadłem na kolana. Płakałem. Moje łzy mieszały się ze łzami niebios. Padłem przed trumną. Złapałem ją za dłonie. Łkałem, bełkotałem

jakieś niezrozumiałe słowa. Po chwili, przemoczony do cna, otrząsnąłem się.

– Nie wykopali ci nawet dołu – powiedziałem drżącym głosem.

Padłem na ziemię i dłońmi drążyłem w namokłej, miękkiej glebie. Moje oczy wciąż były pełne łez. Skończyłem późną nocą. Nad moją głową na martwej gałęzi bujała się latarnia. Wątlym pomarańczowym światłem rozrzedzała mrok. Skąd się tam wzięła? Nie wiem. Lecz jedno z prawideł snów mówi, że doszukiwanie się w nich logiki jest nielogiczne.

Rozczulony wstałem, spojrzałem na nią, moją piękną Berenice. Chciałem się z nią pożegnać. Po raz ostatni pocałować. Po raz ostatni poczuć jej bliskość. Przesiąknięty solą łez i siarką deszczu pochyliłem się nad nią. Zbliżyłem moje usta do jej bladych i zimnych. Przedłużałem pocałunek, wdmuchując w jej usta powietrze tak, jakbym chciał jej wrócić życie. Nic z tego.

Uniosłem się. Wybuchłem jeszcze większym płaczem, a chmury wybuchły kolejną falą deszczu. Wtedy poczułem wibracje w mojej kieszeni. Mój telefon zaryczał dziko. W tym samym momencie oczy Berenice się otworzyły. Zerwała się z letargu nagłym, szybkim ruchem.

Podskoczyłem na kanapie. Telefon w kieszeni grał również w rzeczywistości. Wygrzebałem go.

Przesunąłem zieloną słuchawkę.

– Halo? – Mój głos był zaspany.

– Hej, Oskar! – usłyszałem głos Zozyma. – Ty jeszcze śpisz?

– Nie! Nie... Tak tylko się zdrzemnąłem.

– Spokojnie. – Zaciągnął się dymem. – Co powiesz na małą przejażdżkę?

– Znowu chcesz pić? Facet, jutro idę do pracy.

– Nie, nie, spokojnie. Dziś bez napojów wysokowych. Chciałem tylko pogadać.

– No dobra, czemu nie. Nie powinno mi zaszkodzić...
To gdzie się widzimy?

– Tak jak ostatnio? Pręgierz?

– No dobra... Daj mi godzinę.

– Świetnie. To do zobaczenia.

~W~

Drogę do punktu spotkania odbyłem bez zbytnych ekscesów. Tego wieczoru na szczęście nie padało. Bezdomny, którego spotkałem dzień wcześniej, gdzieś zaginął. Prawdopodobnie zmienił miejsce żerowania. To łowisko było ubogie w żebracki przysmak, czyli altruistów.

Zozym stał centralnie pod pręgierzem. Znow miał

na sobie czarno-czerwoną kreację, jednak ani jeden element z wczorajszej się nie powtórzył. Nawet laskę, zamiast kuli, wieńczyła czaszka ze szkła lub kryształu. Nie odważyłem się spytać.

– Witaj!

– Witaj, Oskarze. – Poklepał mnie po ramieniu. – Dobrze, że jesteś! Chodź, idziemy!

– Znowu do wieżowca?

– Oskarze, uwłaczasz mi teraz! Czyż zachodzenie co dzień w jedno i to samo miejsce nie zakrawałoby o nudę? Na dzisiejszy wieczór zaplanowałem coś całkowicie odmiennego! Chodź! Kabriolet już czeka!

– No dobrze.

– Chociaż! – Uniósł dłoń z wyciągniętym palcem wskazującym i sięgnął do wewnętrznej części płaszcza. – Najpierw zapalę! – Skierował papierośnicę w moim kierunku.

– Nie, dziękuję. – Nie dałem mu wyartykułować oczywistego pytania.

– Jak wolisz! Ja tam się uraczę! – Wyciągnął jednego i odpalił. – A teraz w drogę!

Na jednej z uliczek wychodzących z rynku czekała już nasza dorożka.

Zaraz po tym, jak wsiedliśmy, palacz zwrócił się do woźnicy:

– No, Janku! Do parku!

– Tak jest, panie Zozymie!

– Ale rymujesz – skomentowałem.

– Ot, tak się jakoś złożyło.

– Swoją drogą... Widzę, że spodobało ci się jeżdżenie kabrioletem... Jednak nie wydaje ci się, że naszemu drogiemu woźnicy może być lekko nieprzyjemnie zaspokajać kaprysy bogacza? Zwłaszcza... „Janku do parku”?

– Oj, być może! Jednak lekko nieuprzejme byłoby, gdybym wyrażał się za naszego drogiego Janka. Tak więc, nasz drogi, co ty o tym sądzisz? Uwłacza ci ta praca?

– Gdzie tam, psze panów. Ja prosty chłopak jestem. Mój tatula, zwykły rolnik z pokolenia na pokolenie, krowy ma i pole uprawia. Mój brat to i owszem, lubi się babrać w gównie, ale mnie jakoś nigdy do tego nie ciągnęło. Konie za to! O! To już co innego. Jakoś zawsze lubiałem te zwierzaki. Toć i się cieszę, że ludzie dorożkę moją najmują. Jak sobie to umyśliłem, to się ze mnie brat z ojcem śmiali. Mówili, że jak mi gówniany interes upadnie, to i gówno krów polubię. Nie mam więc na co narzekać. A i miłych ludzi można poznać. Ciekawych! Jak pan Zozym dla przykładu. A cóż to złego, że mi mówi, gdzie jechać mam? To on mnie płaci. A Janek to moje imię, więc jak inaczej miałyby się do mnie zwracać?

– Dziękuję za szczerość, Janku!

– Proszę bardzo!

– Jak widzisz, Oskarze, naszemu woźnicy nie dość, że nie przykrzy się wożenie nas po mieście – zaciągnął się i wypuścił dym – to jeszcze sprawia mu gro przyjemności. Tak już jest ułożony ten świat, Oskarze. Nie ma się co dąsać. Może nikt ci tego nie powie wprost, ale żyjemy w społeczeństwie hierarchicznym. Im się jest bogatszym, tym wyżej się w hierarchii stoi. A kupowanie usług, jak w tym przypadku, nie uwłacza nikomu, bo obie strony się na taki stan rzeczy godzą: ja na cenę, Janek na pracę.

– Może Janek chciałby zarobić więcej za taką usługę?

– Proszę pana, nie chciałby! Pan Zozym do hojnych należy – odezwał się woźnica.

– Widzisz, Oskarze! I wszyscy są szczęśliwi.

– No dobra, ale ktoś musi na ciebie pracować, pieniądze same z siebie się nie biorą.

– Tu racja. Choć zasada ta sama jak przed chwilą.

– Przerwał, by nasycić się dymem. – Moi podwładni godzą się na świadczenie mi usługi, a ja na żadaną przez nich cenę. Jednak widzę, do czego zmierzasz, więc pozwól, że ci trochę rozjaśnię zasady rządzące światem. To, do czego dążysz, to nic innego jak socjalizm. Pogląd dobry, choć – wykorzystał miejsce

pauzy na zaciągnięcie się – tylko z pozoru. Światu potrzebni są przedsiębiorcy, pieniądze i hierarchia. Ludzie dzielą się na dwa rodzaje. Na tych, którzy potrafią myśleć i ryzykować, oraz na tych, którzy potrafią słuchać i wykonywać polecenia. Ja ryzykuję. Daję innym zarobić dzięki temu, że sam mam pieniądze. Oni zarabiają i je wydają, może nie na takie rozrywki jak ja, ale na takie, które im sprawiają przyjemność. A jak się komuś nie podoba, zawsze może odejść. Nie funkcjonujemy w społeczeństwie opartym na niewolnictwie. Tak więc, cytując Goethego: „Jam częścią tych sił drobną, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro”..

– Dobrze, niech ci będzie – odparłem. – W jakim celu się dziś spotkaliśmy? Co chciałeś przedyskutować?

– Po prostu szukałem zajęcia na ten wieczór, a dyskusja z tobą wydaje mi się dobrym pomysłem, Oskarze. Poza tym, jestem ciekaw, czy się uwzniośliłeś poprzez wczorajsze upodlenie. Po cichu liczę, że tak... Ech, tak szczerze to mam kilka zagwozdek. Chciałbym dać upust swojej nowo nabytej wzniosłości i rozważyć dręczące mnie zagadnienia.

– O! Mianowicie jakie?

– O tym później. Najpierw odpowiedz mi, czy eksperyment się udał?

– To zależy... Nie wiem, co można uznać za

uwznioślenie. Jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, że mój umysł płata mi dziś figle, to owszem, uwzniośliłem się jak cholera.

– No proszę. – Zozym odpalił kolejną fajkę. – Możesz rozwinąć?

– Owszem, czemu nie.

Przytoczyłem mu fabułę moich trzech snów. Słuchając mnie, podnosił brwi i zaciągał się dymem. Nic poza tym. Odezwał się dopiero, gdy skończyłem.

– No proszę. – Skierował swój wzrok za okienko kabrioletu. Wpatrywał się w dal w głębokim zadumaniu, po czym zaciągnął się, strzepnął popiół i rozpoczął swój wywód: – Nie zaprzeczę, ciekawe... Ciekawe. No cóż, ze snami tak już bywa. Ponoć jest to swego rodzaju efekt trawienia nowych informacji przez umysł. Jednak aż kusi, by się doszukiwać w tych snach innego znaczenia. Oczywiście na skutek swojego ego najbardziej zainteresował mnie sen o mnie. Ograć śmierć w karty... Co to może oznaczać...? Hmm... No cóż, Oskarze, zostawmy to na razie. Jesteśmy u celu podróży.

Dorożka zatrzymała się. Wysiedliśmy. Zozym podziękował Jankowi i poprosił go, by poczekał na nas. Uprzedził przy tym, że trochę czasu może upłynąć, nim wrócimy. Ruszyliśmy przed siebie.

Byliśmy w ogromnym parku, a przed nami roztaczał

się baldachim drzew gęsto splecionych gałęziami. Co kilka metrów stały latarnie. Długie, czarne, żeliwne słupy ozdobione były zawitymi płaskorzeźbami. Przedstawiały twarze wplecione w winorośl lub jakieś inne krzewy. Na szczycie słupów umiejscowiono solidne lampy. Wyglądem przywodziły jeszcze te z zamierzchłych czasów – rozpalane gazem przez latarników.

– Gdzie my jesteśmy? – spytałem, będąc pod wrażeniem rozciągających się przed nami widoków.

– W parku.

– No strasznie jesteś szczegółowy.

– A po cóż ci więcej wiedzieć? Chodź! To jeszcze nie jest cel naszej wycieczki.

Zagłębił się więc w roztaczający się przed nami zagajnik. Szliśmy szeroką ścieżką między baldachimem drzew, gdzie latarnie ewidentnie przegrywały walkę z mrokiem. Przy lampach znajdowały się ławki na żeliwnych, ciężkich ramach. Większość była pusta, jednak gdzieś tam siedzieli ludzie. Były tam pary zakochanych. Były tam towarzystwa bardziej szemrane. Pijaczki przyssane do butelek z tanim winem. Wszyscy kryli się w tym mrocznym, intymnym świątku przed wzrokiem ciekawskich oczu. Przed szumem plotkarskich słów. Przed wstydem i zawstydzeniem. Przed odrzuceniem. Czułem się jak wśród swoich.

- Uwielbiam jesienne wieczory - przerwał ciszę Zozym.

- Czemu? - Domyśliłem się, że chciał, bym zadał to pytanie.

- Bo są długie, a ja, od kiedy tylko pamiętam, byłem nocnym markiem. Świat skrywa się przed światłem. Pokrywa cieniem. Wieczorami szczególnie miasta wyglądają zupełnie inaczej. W latarnianych łunach parki i kręte uliczki ukazują zupełnie inny wymiar, oddają zupełnie inny nastrój, kuszą swym urokiem. Mrok z kolei kusi tajemnicą, lekkim dreszczem, mocniejszym uderzeniem serca, choć przyznam - naiwnym. Ech... Tyle już lat chodzę po ziemi, a jeszcze nic złego nie spotkało mnie w mroku.

- Uśmiechnął się. Wyciągnął papierosa. Odpalił. Wypuścił dym. - Wręcz przeciwnie... Wiele miłych rzeczy.

- Skoro tak bardzo lubisz długie wieczory, czy nie powinna ci bardziej odpowiadać zima? Noce są dłuższe, a takie zaśnieżone krajobrazy też mają swój urok. A latarnie! Gdy pada śnieg, wyglądają uroczo. Nic, tylko stać pod nimi i obserwować opadające płatki.

- Cóż, temu ostatniemu nie zaprzeczę. Jednak nie przepadam za zimami. Z prozaicznego powodu. Po prostu jest zimno. Ludzie się tłoczą w ciasnych i ciepłych pomieszczeniach. Łatwo o zaduch. Do tego

ten odór potu. Nie chwaliłem się wcześniej, Oskarze, bo i nie było ku temu okazji, ale – wypuścił dym – dysponuję niezwykle czułym zmysłem powonienia. Jest to jednocześnie dar i brzemię.

– To czemu palisz? Nie przeszkadza ci ten odór?

– Oj nie! Po pierwsze bardzo lubię zapach palonego tytoniu. Wręcz mnie odurza! Po drugie świetnie maskuje zapachy, których wolałbym unikać.

– Rozumiem. Przepraszam, bo wtrąciłem ci się...

– Na czym to ja skończyłem? Ach, zimą ludzie śmierdzą! A jesienią pełno jest zapachów pięknych i przyjemnych. Pomijając już to, że w miejscu tego typu można spotkać ludzi zbłąkanych w życiu, pełnych romantycznych uczuć. Mało jest przyjemniejszych rzeczy od spotkania bratniej duszy w takim miejscu i uraczenia się dyskusją. Aż chce się żyć!

– Cóż, jak wolisz, Zozymie, jak wolisz. Przyznam ci się, że w sporej części podzielam twój pogląd.

– Domyśliłem się. – Przystanął na chwilę. Staliśmy na rozdrożu. Wskazał ścieżkę prostopadłą do naszej. – Nasz cel już widać.

Na końcu ścieżki wznosiła się katedra, oświetlona z każdej strony. Jej czerwone kamienie były już naznaczone zmęczeniem i zużyciem, musiała więc być bardzo stara. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym wyraźniejsze stawały się płaskorzeźby zdobiące jej

bramę i ściany. Jednak wiele zdążyło się już wytrzeć, skruszyć. Z boków świątyni, niczym ze szkieletu, wychodziły żebra. Wznosiły się i wspierały zadaszenie. Były zdobione, jednak w tym półmroku nie mogłem powiedzieć, co owe zdobienia przedstawiały. Dla mnie całość przypominała rozkładające się ciało, z którego zwisają paciorki gnijącego mięsa.

Były jeszcze dwie rzeczy, które przykuwały mój wzrok – rzygacze przedstawiające demoniczne postacie i szerniała, osmolona wieża. Miała odsłoniętą dzwonnice, a jej czerń była głębsza niż nocne niebo. Wszystko przez te cholerne latarnie. Zamarzyło mi się wtedy, by w jakąś gwiazdzistą noc wejść na tę dzwonnice. Wyobrażałem sobie, jaki rozciąga się z niej widok... Tylko te latarnie... Przed wiekami krajobraz rozciągający się z góry musiał robić niesamowite wrażenie. Zapierać dech w piersiach.

Przystanęliśmy na chwilę i w ciszy podziwialiśmy piękno budowli sakralnej.

– Musiało to wyglądać niesamowicie – odezwał się Zozym.

– Co dokładnie? – Byłem lekko zaniepokojony. Przez chwilę miałem wrażenie, że czyta mi w myślach.

– Płomienny gotyk w ogniu! Kiedyś w wieżę uderzył piorun i zaprószył ogień.

– Rzeczywiście, to tłumaczy barwę – odparłem

uspokojony.

– Usiądźmy. Chcę cię trochę powypytywać, Oskarze.

– W końcu się dowiem, co ci tak ciąży? – zapytałem, kierując się ku ławce.

– Dowiesz się. Jednak po raz kolejny zaznaczam, że najbardziej zależy mi na twoich przemyśleniach. Bo moje... Cóż, nie są w żaden sposób pocieszające. – Zaciągnął się. – I nie zaprzeczę... Mam pewien interes w związku z tą dyskusją.

– Powiedz mi jaki, a ja się z tobą chętnie podzielę swoimi rozważaniami. Tylko zdradź w końcu temat! Jesteś dziś strasznie enigmatyczny.

– Ech. – Wziął głęboki tytoniowy wdech. – Zaczniemy od początku. Więc w przyszły weekend odbywa się pewne zebranie... pewnego... – Zaciągnął się ponownie, ale nie dla przyjemności. Szukał odpowiedniego słowa, a papieros dawał mu odrobinę więcej czasu do namysłu. – Pewnego klubu. Jestem znaczącym członkiem w tym zgrupowaniu. W tym roku mam wygłosić przemówienie...

– Boisz się przemowy? O to ci chodzi? Ty, Zozymie, boisz się przemawiać przed ludźmi?

– Nie! Daj mi dokończyć! Przemawianie samo w sobie jest w porządku. Gorzej z pomysłem na to przemówienie... Choć w pewnym sensie już otarliśmy

się o motyw przewodni, który mam poruszyć.

– Chodzi ci o naszą dyskusję na wieżowcu?

– Dokładnie, Oskarze. Dokładnie. Muszę się wypowiedzieć na temat przyszłości. Na temat przeludnienia, beznadziejności czasów nam współczesnych, głodu, który nam zagraża. Głównie głodu. No i poszukać rozwiązania. Prezes naszego klubu oczekuje, że znajdę rozwiązanie.

– Altruistycznie!

– Ależ skąd! Gdy się jest na tonącym okręcie, odruchowo wylewa się wodę za burtę - sprawa oczywista jak oddychanie. To, że przy okazji ratuje się innych pasażerów, to już drugorzędna kwestia. Jak widzisz, pobudka jest czysto egoistyczna. Jednak ta analogia uświadomiła mi pewną rzecz. - Wciągnął dym. - Choć może „uświadomiło” to za duże słowo. Raczej zaostrzyło pewną myśl. Otóż, jak dotąd nasz klub ratuje świat po swojemu. Świadomi, że ten okręt tonie, wylewamy wodę za burtę. Mam natomiast wrażenie, że cała ludzkość, nieumyślnie co prawda, wlewa ją z powrotem.

– I chcesz poznać mój pogląd... laika?

– Owszem. Sądzę, że twoje nowatorskie spojrzenie może nie wystarczyć jako rozwiązanie, ale może, opierając się na nim, wysnuję jakiś sensowny plan.

– Nie ma problemu, Zozymie. Z wielką chęcią

podzielę się swoim poglądem... Ech, od czego tu zacząć...?

- Od klęski, Oskarze. Twierdzisz, że będzie zbawienna. Przyniesie nam nową, lepszą epokę. Rozmyślałem trochę nad tym i dziś już nie podchodzę to tej tezy z takim entuzjazmem. Wydaje mi się, że następna klęska może być tą ostatnią. Nieodwołalną, absolutną klęską. Boję się atomówek, które zdmuchną ludzkość z powierzchni ziemi.

- Hmm... Więc to cię nie zadowoli?

- Absolutnie nie.

- No cóż... Ratunek dla ludzkości... W takim wypadku potrzebny nam dyktator lub ogólnie dyktatura. - Zozym otworzył szeroko oczy. Nie przerwał, więc kontynuowałem: - Wiesz, często ludzie starszej daty mówią, że za komuny było lepiej... Nic nie było, a wszyscy wszystko mieli... Było to spowodowane moim zdaniem tym, że ludzie się bardziej szanowali i bardziej wspierali. Oczywiście w mniejszych społecznościach, bo wszyscy bali się donosicieli, ale jednak wspierali się bardziej. Widzisz, nasza współczesność to jeden wielki hołd dla wolności. Co robimy z tą wolnością? Ano, trwonimy ją! Wielkie umysły tego świata, genialni inżynierowie, zamiast marszczyć swe czoła nad rozwiązywaniem wielkich problemów ludzkości, takich jak ten rzeźzony głód, szukają sposobów, by słodkie zdjęcia kotów i dzieci

jak najszybciej mogły opłynąć cały świat. Przez tę ukochaną wolność spada na nas wielka odpowiedzialność, na każdego z osobna, i nie radzimy sobie z nią najlepiej. Uciekamy przed nią. Uciekamy przed konsekwencjami. Ba, zaciekle się przed nimi bronimy. A to właśnie konsekwencje nadają naszym decyzjom wartość. Ludzie więc lgną do decyzji pozbawionych tychże konsekwencji lub starają się je maksymalnie umniejszać. A jak już nie można tego robić, to przynajmniej zbagatelizować, wiesz, tak, by łatwiej było żyć. Chcesz mieć swój dom? Nie ma problemu, weź kredyt, nie musisz na niego ciężko pracować. Chcesz sobie pobzykać? Proszę bardzo, masz dziesiątki rodzajów antykoncepcji. No, a jak w przypiływie emocji zdarzy ci się zapomnieć o gumie, to też się nie przejmuj, zawsze jest jeszcze aborcja. Chcesz się napić? Nie ma problemu, weź pigułkę i możesz chlać na umór bez kaca. Starzy rodzice ci ciążyą? Nie ma problemu, oddaj ich do domu starców. Można tak wyliczać w nieskończoność. Poza tym, jeżeli świat ma być zjednoczony, to nie widzę innej opcji niż poprzez dyktaturę właśnie. Jakoś nie wydaje mi się, by demokracja doprowadziła w końcu do pokojowego zjednoczenia się wszystkich nacji globu. Dyktatura, Zozymie, dyktatura... Zła, okrutna, niemoralna, owszem, ale jedyna możliwie skuteczna. Potrzebny byłby nam ktoś pokroju księcia z powieści

Machiavellego. Dość zły, byśmy mogli się go bać i po cichu nienawidzić. Ktoś, kto ukierunkowałby świat. Choć jak znam życie, ktoś taki nadużywałby władzy. Władza deprawuje, a władza absolutna...

- Deprawuje absolutnie...

- Dokładnie. Patrząc na to tak z dystansu... Taka dyktatura wpisałaby się w klęskę. Byłaby to jednak klęska kontrolowana... Ech, nie wiem, czy ci pomogłem. Jest to jakaś koncepcja. Możesz ją przedstawić w tym swoim klubie, ale nie sądzę, by był w stanie wcielić ją w życie.

Zozym uśmiechnął się.

- Oj, Oskarze, zdziwiłbyś się. Nasze zgrupowanie to same szuchy. Bardzo potężne i wpływowe osoby... No, może prawie wszyscy. Jakiś tam nacisk możemy wyrzeć... ale... ale zawsze jest cholerne „ale”...

- Tak?

- Nasz prezes jest potężną osobą... Niezwykle potężną, a przy tym bardzo zachowawczą. Nasz klub ma kilka zasad, starych i już nie do końca praktycznych. A twoja propozycja wymagałaby złamania właśnie tych reguł. Prezes się na to nie zgodzi.

- Rozumiem, że zmiana prezesa nie wchodzi w grę?

- Nie może być o tym mowy. Jest to niemożliwe. -

Zaciągnął się. – Prawie – dodał szeptem, ale bardziej do siebie niż do mnie. – No nic... pomogłeś mi, Oskarze! Mam pewien pomysł! A raczej jego załączki, jednak jest to już coś, jakiś punkt zaczepienia.

– Dziękuję.

Potem siedzieliśmy jeszcze przez dłuższą chwilę w ciszy. Wpatrywaliśmy się w katedrę. Podziwialiśmy ją i rozmyślaliśmy. W końcu Zozym wstał.

– Chodź, Oskarze, jutro musisz iść do pracy, więc trochę nadużywam twojej grzeczności. Odwieziemy cię pod dom.

– Dziękuję.

Szliśmy więc z powrotem ścieżką. Na ławkach pozostali już tylko szemrani pijaczkowie, zakochani gdzieś umknęli. Z pewnością sycili się w tamtym momencie swoimi ciałami w jakimś jeszcze bardziej intymnym miejscu. Opadali w miłosną błogość. Mogli też się rozejść. Po prostu, zwyczajnie każde w swoim mieszkaniu rozmyślało nad swoim towarzystwem. Takie rozmyślenia natchnęły mnie, by zagaić Zozyma o pewną kwestię.

– Co tam u Nicol?

– Raczej powinno być w porządku. – Zaciągnął się.

– Z tego, co wiem, posprzeczały się z Berenice. Jak zwykle zresztą. Norma.

– Nie ma ci nic za złe? – drażyłem.

- Nie ma czego. Nicol doskonale zna moje pobudki, jeżeli pytasz o tamtą dziewczynę. Jeżeli jest zła... No to cóż, głupi to gniew. A właśnie, jak tam Berenice?

- Dobrze. Bardzo dobrze. Muszę się z nią umówić.

- O proszę! To rzeczywiście dobrze. - Zrobił przerwę, by się głęboko zaciągnąć. Zacząłem już zauważać, że takie przerwy robił celowo. Ponownie potrzebował czasu, by dobrać odpowiednie słowa. - Mam do ciebie prośbę.

- Słucham.

- Jeżeli zaprosi cię na bal... Ten, na którym będę przemawiał... Odmów.

- Czemu?

- Uwierz mi na słowo! Nie wyniknie z tego nic dobrego... Nic dobrego.

Szliśmy dalej w milczeniu. Wsiedliśmy do naszego kabrioletu i odjechaliśmy. Poza pożegnaniem nie wymieniliśmy już ani słowa.

~W~

Po powrocie do domu uznałem, że jest trochę za późno, by kłopotać Berenice. Zadzwoiłem do niej następnego dnia po pracy. Umówiliśmy się na kolejny wieczór. Oto, jak wyglądało nasze spotkanie.

Czekałem niecierpliwie pod wejściem. Chodziłem

w tę i we w tę. Była spóźniona. Nie jakoś strasznie, ale już od dziesięciu minut dreptałem targany wizjami wypadków albo obawami, że się mną znudziła i nawet nie dała znać, że nie przyjdzie. W skrócie: byłem zaniepokojony.

W końcu, po jakichś piętnastu minutach, zobaczyłem ją. Ona również mnie zobaczyła. Uśmiechnęła się i zaczęła biec. Wskoczyła na mnie. Z zaskoczenia straciłem na chwilę równowagę i prawie wpadłem na szybę za moimi plecami. Opanowałem się jednak i odwzajemniłem jej uścisk. Wtedy mnie pocałowała. Świat dookoła zawirował. Zanurzyliśmy się w bańce mydlanej. Bez czasu. Bez zmartwień. Bez ludzi. Byliśmy tylko ja i ona. Ona i ja. Cały świat opływał wokół, pozostawiając nas nietkniętymi, niewzruszonymi, nierozzerwalnymi. Dałbym się zabić, by ten moment trwał wiecznie. Ale nie trwał.

W końcu oderwaliśmy się od siebie. Uśmiechnęła się jeszcze piękniej niż wcześniej.

– Cześć! – powiedziała.

Wybuchłem śmiechem.

– Cześć – odpowiedziałem.

I tak staliśmy przez chwilę w ciszy, trzymając się za ręce. Nie potrzeba nam było nic więcej.

– Wchodzimy? – spytała w końcu.

Wyrwałem się z osłupienia. Poczułem się lekko

zawstydzony, bo obnażyła moje zauroczenie.

– Tak, tak, oczywiście, że tak.

Otworzyłem przed nią drzwi i weszliśmy do środka. Kilkoma spojrzeniami omiotła salę. Namierzyła wieszak i poszła zdjąć płaszcz. Ruszyłem za nią. Gdy powiesiła okrycie, wpadłem w podziw na widok jej kreacji. Prosta i ciasna sukienka owijała jej ponętne ciało, uwydatniając każdą krągłość. Kończyła się w połowie uda, czym podkreślała ich gibkość. Krwistoczerwone włosy opadały kaskadowo na jej drobne ramiona. Na jej długiej, łabędziej szyi wisiał złoty wisiołek. Zwieńczony był zawieszka w kształcie pająka, który spokojnie leżał między jej krągłymi piersiami.

Trochę za dużo uwagi przykułem do tej zawieszki i nie umknęło to mojej towarzyszce. Spojrzała na mnie z lekkim zaciekawieniem.

– Coś się stało? – spytała, wybijając mnie z osłupienia.

– Nie, nic.

W tym momencie zrozumiała, gdzie dokładnie utkwiał mój wzrok. Cicho pisnęła. Jedną rękę przyłożyła do zawieszki, drugą szturchnęła mnie w ramię.

– Zboczuch z ciebie!

– Może trochę. – Uśmiechnąłem się głupio.

Chwyciłem ją za ramię, przysunąłem do siebie i pocałowałem w czoło. – Przeszkadza ci to?

– Już nie. – Przytuliła mnie.

– Chodź, zamówimy coś. – Powiesiłem płaszcz, chwyciłem za jej dłoń i skierowaliśmy się ku obsłudze.

– Co polecasz?

– Nie wiem, nie byłem tu nigdy.

W odpowiedzi założyła ręce na biodra i przybrała nieco zagniewaną minę.

– No to pięknie! Czyli idziemy na żywioł?

– Raczej tak.

Podeszliśmy do kontuaru i złożyliśmy nasze zamówienia.

– Nie za późno na kawę? – skomentowałem jej wybór.

– Nie, spokojnie, noc jest jeszcze młoda. – Uśmiechnęła się. – I wiesz... takie rzeczy na mnie raczej nie działają. A z ciebie taki miłośnik herbaty? Czy boisz się, że po kawie nie zaśniesz?

– I jedno, i drugie.

Poczekaliśmy chwilę na nasze zamówienie. Potem podeszliśmy do stolika. Pierwsza na kanapie usiadła Berenice. Postawiła filiżankę, ułożyła się i, poklepując poduszkę obok, wskazała mi miejsce. Wywołało to we mnie mały uśmiech. Tak czy siak przysiadłbym się, ale teraz był to gest posłuszeństwa i nie widziałem w tym

nic złego. Byłem gotów uczynnie służyć mojej pięknej pani. Tym bardziej, że jej zachcianki bardzo mocno zbiegały się z moimi.

– No to o czym porozmawiamy? – zagailem.

– Hmm, nie wiem – odparła.

Siedzieliśmy jakiś czas w ciszy. Naraz poczułem, jak jej dłoń dotyka mojej. Odwzajemniłem jej czułość. Pogładziłem wierzch jej dłoni kciukiem. Uwielbiałem pieścić kobiety. Dotykać ich delikatnej skóry, lekko muskać, powoli ocierać.

– Lubię to – powiedziała.

– Co dokładnie?

– To, jak mnie dotykasz.

– A ja lubię cię dotykać.

Uśmiechnęła się.

– Lubię też, jak mnie całujesz.

– A ja lubię... jak mnie nie gryziesz.

Parsknęła.

– Oj tam, oj tam, biedny, mały Oskarek.

Przysunęła się do mnie z zamiarem pogłaskania mnie po czuprynie. Nie zdążyła. Złapałem ją w tali i pocałowałem.

– Zrobiłeś się odważny!

– Może troszkę.

I znów pozostaliśmy zasklepieni usta w usta.

Później, gdy się rozłączyliśmy, nastąpiła cisza.

– Hmm, może mi opowiesz, jak poznałaś Zozyma?

– zacząłem nowy wątek.

– Mogę, ale to nieciekawa historia, nic szczególnego.

– Nie szkodzi. Nalegam.

– Oj... no skoro tak ci zależy, to proszę bardzo. To było jakieś dwa lata temu. Byłam z koleżankami w klubie i sobie tańczyłyśmy. Później przyszedł on. Wyciągnął mnie od nich i... no tak już zostało. Dobrze się razem bawiliśmy. No wiesz, jaki on jest. Przykuwa uwagę.

– I? – przeciągnąłem trochę. – Co było dalej?

– O co pytasz?

– Było między wami coś więcej?

– A, o to! Oj... Jeżeli mam być szczerą, to... Ech... No troszkę zakosztował.

Byłem trochę zmieszany. Igiełki zazdrości wbiły się w moje serce i przeszły je na wylot. Po głowie kręciły mi się myśli w stylu: „I co teraz? Jak ja mam przebić Zozyma?”. Z drugiej strony takie przelotne romanse, nawet krótkie, kończą się wielką aferą i byli miłośnicy wolą się trzymać na dystans. Lecz nie w tym wypadku. Moja czysta, obserwatorska ciekawość chciała zgłębić temat, jednak wszystkie części mnie, odpowiedzialne za miłość, wołały pozostawić tę

kwestię bez rozwinięcia.

– Oskar, wszystko okej? – spytała, widząc jak wyraz mojej twarzy się zmienia.

– Wszystko w porządku. Tylko wytłumacz mi jedno... Czy on nadal... cię kosztuje?

– Nie! Oczywiście, że nie. Czemu tak sądzisz?

– No jak was pierwszy raz zobaczyłem, to zarówno ty, jak i Nicol... Byłyście bardzo z nim zżyte.

– No tak... Ale spokojnie, on woli Nicol, poza tym, teraz to już jest między nami trochę inaczej.

– Czyli? – Ciekawość zwyciężyła.

– Jest dla mnie jak ojciec, najlepszy przyjaciel. Lubię z nim spędzać czas. Wciąż się razem dobrze bawimy. No i zawsze mogę się mu wyżalić, szanuję go. O tym, że widział mnie kiedyś nago, po prostu nie myślę.

– Rozumiem.

– A ty?

– Przecież byłaś obecna przy tym, jak go poznałem.

– Och! Chodzi mi o to, żebyś coś o sobie powiedział. Jak dotąd mówiłaś wiele, ale nie o sobie.

– No bo nie ma zbyt wiele do mówienia. Ot, taki sobie ze mnie zwykły, szary człowiek. W tygodniu chodzę do pracy, w weekendy odpoczywam. Lubię trochę poczytać. Jakoś nigdy nie byłem typem towarzyskim. Po prostu sobie siadałem

i obserwowałem.

– A jakieś szczegóły? Na przykład gdzie pracujesz? Co robisz?

– E! Takie tam... Przerzucam jedną stertę papierów na drugą. Nic ciekawego. Zwykła mozolna robota. Mówiłem ci, nie ma tego zbyt wiele.

– Moim zdaniem jest. Oskar, ciekawy z ciebie człowiek. Masz niezwykle przemyślenia. Niecodzienne spojrzenie na świat.

– Bo dużo czytam i dużo obserwuję, a potem rozmyślam. Nic niezwykłego.

– A co czytasz? Pochwal się.

– Kilku filozofów... Czasem jakiś wiersz.

– No domyśliłam się, że raczej nie czytasz romansów czy książek pokroju „Zmierzch”.

Poczułem się lekko zażenowany. Oczywiście jest, że ta książka zebrała ogromne pokłosie i wiele młodych dziewczyn rozkochało się tej lekturze. We mnie wywoływała co najmniej zniesmaczenie. Była to naiwna historyjka przez którą współczesne kobiety nabierały złych wzorców. Gdzieś w głębi duszy liczyłem, że Berenice jest ponad to. Właśnie stąd wynikło moje rozczarowanie.

– Lubisz „Zmierzch”? – spytałem. Niestety, nie byłem typem aktora, więc mimowolnie krzywiłem się, wymawiając ten tytuł.

– To trochę skomplikowane – odparła. Najwyraźniej zauważyła moją minę i domyśliła się, co sędzę o tej powieści.

– Czyli?

– Czyli, jak byłam młodsza, to uwielbiałam tę książkę...

– A dziś?

– Dziś już trochę dojrzałam. Wiesz, łezka w oku mi się kręci, gdy pomyślę, że czasy, kiedy wszystko było prostsze, gdy byłam dzieckiem, już nie wrócą. Tak, ta książka jest bardzo mocno powiązana ze wspomnieniami z tamtych czasów. Ale dojrzałam. Zmienił mi się punkt widzenia.

– Uff! Już się bałam, że będziesz chciała, bym przebierał się za Edwarda!

– A to nie jest wcale wykluczone! Mój wampirku!

Zwiesiłem głowę. Wiedziałem, że walka z tym przewiskiem nic mi nie przyniesie. „Rzym został zdobyty!” – rozbrzmiało mi pod kopułą czaszki.

– Oj, nie martw się, jakoś to przeżyjesz. – Pogładziła mój policzek. Mimo że jej głos był pełny troski, wiedziałem, że to tylko żart.

– Jupi! – odparłem nosowo.

– Oj, wampirku, nie smuć się! A teraz zmieniamy temat. Hmm... Tylko o czym by tu porozmawiać... Wiesz co? Tak szczerze mówiąc, liczyłam, że jakoś

lepiej zorganizujesz nasze spotkanie! Wiesz, o co mi chodzi... Że będziesz miał jakiś romantyczny plan! Albo coś w tym stylu.

- A ty? Miałaś jakiś pomysł? Chciałaś spędzić ten wieczór w jakiś szczególny sposób?

- No nie bardzo. Liczyłam, że to ty coś wymyślisz.

- Ech, romantyk to ze mnie średni. Choć mam pewną ideę. Może to nic wielkiego, ale zawsze.

- Cóż takiego?

- Romantyczny spacer wzdłuż rzeki – powiedziałam ściszym, niskim głosem.

- Uuu, jak oryginalnie! – Również ściszyła głos.

- Lecz to potem, najpierw wypijmy.

- Tak jest... wampirku. – Uśmiechnęła się.

~W~

W kawiarni spędziliśmy jeszcze godzinę. Nie rozmawialiśmy o niczym szczególnym, wymieniliśmy kilka zdań o książkach i filmach. Słowa nie miały dla nas znaczenia. Chcieliśmy przede wszystkim być razem. Nacieszyć się swoją obecnością. Syciliśmy się swoim dotykiem.

Od słowa do słowa dotarliśmy do mojego spotkania z Zozymem pod katedrą. Gdy kończyliśmy już swoje napoje, przeszliśmy do tematu moich przedziwnych

snów.

– A niby taki kiepski z ciebie romantyk – skwitowała sen, w którym brała udział.

– Może nieświadomie jakiś tam ze mnie jest.

– Być może, być może... – W jej głosie dało się słyszeć nutkę rozmarzenia. – Choć wiesz... Muszę ci się do czegoś przyznać...

– Do czego?

– Kiepska ze mnie Królowna Śnieżka!

Roześmiałem się.

– No rzeczywiście. Gdyby nie mój telefon, to byś się nie obudziła! Niedobra ty – dodałem dziecięcym głosem. – Ale dość leniuchowania, idziemy.

– Jej! Spacererek! – Naśladowanie dziecięcego zachowania musiało się jej spodobać. Cieszyło mnie to, bo moje wewnętrzne dziecko niejednokrotnie dawało mi o sobie znać. Zwykle pozwalałem mu na krótki moment przejąć nade mną kontrolę. Może się wydać wam to bardzo dziwne, więc na swoją obronę powiem, że nie uważam hamowania naturalnych odruchów za coś słusznego. Szczególnie, gdy nikogo nie krzywdzą.

– Chodź. – Pocałowałem ją.

Nagle, w połowie mojej językowej pieśczoły, oderwała się ode mnie. Byłem zaskoczony. Zastanawiałem się, czy czasem nie zrobiłem czegoś

złego, lecz ona uśmiechnęła się.

– Idę – powiedziała ściszym, erotycznym głosem i znów zwarła swoje usta z moimi.

Ach, jak ona uwielbiała się ze mną droczyć!

Chwilę później byliśmy już na zewnątrz. Wyznaczyłem kierunek, a Berenice chwyciła moją rękę. Nie wyobrażała sobie nawet, jak taki prosty gest wiele dla mnie znaczył. Przez moją wrodzoną nieśmiałość i poczucie niższości potrzebowałem ciągłego utwierdzania w fakcie, że jestem kochany, lubiany, czy w jakikolwiek sposób ceniony. Każda pochwała, a nawet maleńki gest sprawiały, że rosłem. Przepęłniało mnie szczęście. Tym bardziej, że tak piękna kobieta łaknęła mojego towarzystwa, mojej czułości i bliskości. Fakt, że była wcześniej z Zozymem, tylko mnie uskrzydlał. Oto zyskałem na wartości, byłem cenniejszy niż ekstrawagancki bogacz. Wiem, że to egoistyczne, ale cóż, po prostu tak się czułem.

Skierowałem nasze kroki ku rzece, a potem ruszyliśmy wzdłuż jej brzegu. Piękno, jakie nam wtedy towarzyszyło, urzekiło mnie, wnikało w głąb duszy i już się z wami nim dzielę!

Żółte światła lamp odbijały się w wolno płynącym nurcie pod nami. Lśniły na pomarszczonej i ciemnej jak atrament tafli wody. Z drzew opadały liście, żółte i czerwone. Były niczym farbki. Malowały nasz szlak,

jakby niesione leniwym ruchem pędzla, prześlizgującego się to w lewo, to w prawo. Część z nich rozpościerała się na rzecznym pośłaniu. Ciągnięte przez połyskliwy nurt, sunęły obok nas. Towarzyszyły nam w spacerze.

Nie rozmawialiśmy. Nie musieliśmy. Świat nas chłonał, a my chłoniliśmy świat. Wtedy jeden z liści wplątał się we włosy mojej pięknej Berenice. W mgnieniu oka, oczyma wyobraźni, dostrzegłem obraz. Żałowałem, że nie umiem go namalować. Pragnąłem stworzyć jej portret. Oddać urzekający urok jej rudych kędziorków z dziesiątkami żółtych liści. Takich jak ten jeden, który spadł przed chwilą.

Przystanąłem naprzeciwko Berenice. Pogładziłem ją po włosach i schowałem liść do kieszeni.

– Na pamiątkę – powiedziałem szeptem.

Uśmiechnęła się, a potem podniosła się na palcach i lekko musnęła moje usta...

Tak, wiem, dużo tych pocałunków. Jednak lubię odtwarzać tamten moment i pieścić się każdym jego elementem. Wszystkie te wspomnienia obracam w swej głowie niczym kryształek w dłoni, podświetlam i karmię wygłodniałą duszę łunami błyszczącymi na ścianach mojej czaszki.

Nie da się jednak przeciągać nawet tych najpiękniejszych momentów w życiu

w nieskończoność. Odprowadziłem ją na przystanek. Czekaliśmy tam jeszcze chwilę na jej tramwaj i jakoś tak wyszło, że zaczęliśmy znów rozmawiać o Zozymie. Tym razem tematem przewodnim stała się jego przemowa.

– A tak w ogóle, to co robisz w ten weekend? – spytała.

– Nic szczególnego. Pewnie znowu będę się włóczyć po barach.

– Przestań! Chyba nie myślisz, że zostawię cię samego? Co to, to nie! Włóczyć to ty się nie będziesz.

– O! To miło z twojej strony, miło, miło...

Wzięła głęboki wdech.

– Wiesz, nie tylko Zozym się stresuje... Ja, tak po prawdzie... też...

– Będziesz przemawiać?

– Oj nie! Co to, to nie, ale... No wiesz. – Wbiła swój wzrok w kolana. – Nie mam z kim pójść i... – Spojrzała na mnie. Zwykle uważałem, że jej jasnoblękitne oczy są piękne, lecz w tamtym momencie oniemiałem. Spojrzała na mnie jak mała dziewczynka, która prosi o kolejnego cukierka. Ta dziewczyna potrafiła mnie zaskoczyć swoją urodą. W jednym momencie wydawało mi się, że zobaczyłem już wszystkie jej grymasy i żaden nie jest w stanie mnie uwieść swą nowością. W drugim byłem już uwiedziony, bo oto

poznawałem kolejny jeszcze nie zbadany przeze mnie aspekt jej piękna.

– I? – przekomarzałem się z nią.

– I byłabym – przywarła do mnie, by szeptem kontynuować – bardzo wdzięczna – zrobiła pauzę, a ja dostałem wręcz gęziej skórki. W powietrzu dało się wyczuć gęstą atmosferę erotyzmu – gdybyś ze mną poszedł. – W jej głosie dało się usłyszeć lekko mrukliwą nutkę. – Mocno bym ci się odwdzięczyła...

Cóż, jak widać podłapała kilka sztuczek od Nicol. Ba! Nauczyła się grać swoją kusicielską rolę bez krztyny sztuczności.

– Ja, ja... – Z przyływu emocji i onieśmienia zacząłem się jąkać, a ślina zatkała mi gardło. – Chętnie, ale... – Przerwałem na chwilę. Przed oczami miałem Zozyma i jego słowa: „Nic dobrego”. W jego głosie było słychać zmartwienie, bardzo dogłębne i wnikające w podświadomość. „Nic dobrego”.

– Ale? – napierała dalej szeptem.

Poczułem, jak jej dłoń wędruje po moim ciele. Wkrada się pod płaszcz. Delikatnie gładzi moją koszulę i schodzi powoli nieco niżej.

– Pójdę! – nie wytrzymałem napięcia.

– Super! – pisnęła i wtuliła się w moje ciało, a następnie wystrzelił z niej niekontrolowany potok słów, w którym nie pozostało już nic z erotyzującej

aury, jaką rozsiała wcześniej. – Tylko pamiętaj, to bal przebierańców... Musimy ci wymyślić jakiś strój, powinieneś do mnie pasować... Albo nie! Zaskocz mnie!

Czułem się nieswojo. Z jednej strony wciąż chodził mi po głowie Zozym, z drugiej byłem szczęśliwy, z trzeciej nagle się dowiedziałem, że muszę się za kogoś przebrać, a nie miałem pojęcia, za kogo.

– Dobra, kończymy! – Podskoczyła, zrywając się z ławeczki na widok tramwaju. – Jeszcze się zgadamy, powiem ci wszystko, co musisz wiedzieć! – Pocałowała mnie w policzek. – A teraz znikam!

Przytuliłem ją jeszcze, ucałowałem na pożegnanie jej rude loczki, a potem patrzyłem, jak odjeżdża. Znowu mój naiwny romantyzm dał o sobie znać i wyczekiwałem, czy się odwróci, czy nie.

Tym razem tak. Przesłała mi przez szkło kolejnego, już ostatniego całusa tego wieczoru i pomachała na pożegnanie. Później tylko malała wraz tramwajem, aż w końcu znikła całkowicie za ścianą jednego z bloków.

Dopiero wtedy się odwróciłem i poszedłem w swoją stronę. Pogoda zaczęła się psuć. Zerwał się wiatr i gnał przed sobą ciężkie, jesienne, deszczowe chmury. Nasi liściaści towarzysze uciekali w pośpiechu przed nadciągającą nawałnicą. Wsłuchiwałem się w wiatr, który świszczwał wśród lekko jeszcze opierzonych drzew. Szelest przywodził mi na myśl

szepty. Po zaułkach parku niosły się słowa Zozyma: „Nic dobrego... Nic”.

~W~

Kilka następnych dni spędziłem na przygotowaniach do balu. Przypomniało mi się, że kiedyś, kilka lat wcześniej, przebrałem się za Draculę na Halloween. Swoją drogą byłem wtedy z moją byłą. Była to nasza pierwsza wspólna impreza. Wspomnienie to było dla mnie jak sztylet wbity w plecy. Lecz cóż... Co się stało, już się nie odstanie. Upchnąłem wszystkie uczucia związane z byłą do jednej szufladki w mojej głowie, a następnie opatrzyłem ją nalepką z napisem: „Obojętność”.

Tymczasem w realnym świecie szperałem w realnej szafie. O dziwo, znalazłem mój stary strój w całkiem niezłym stanie. Przymierzyłem. Stałem przed lustrem. O! Wyglądałem niemal jak żywy Bela Lugosi! Musiałem oczywiście zanieść go do pralni i znaleźć nową chustę, którą powinienem wypchać kołnierz. Jednak najtrudniejsze miałem już za sobą.

Poza tym, bal odbywał się w niedzielę, dzień przed Dniem Zmarłych, co stanowiło drugi powód, dla którego przebrałem się właśnie za Draculę – bądź co bądź był to wieczór duchów. Wcielenie się w jedno

z kultowych straszyleł wydawało się jak najbardziej na miejscu.

Był jeszcze trzeci powód, akurat najbardziej prozaiczny. Jeżeli miałem być „wampirkiem” Berenice, to przynajmniej „wampirkiem” z klasą, a nie jakimś bawinastolatkiem! Podsumowując – jak wygrzebałem ten stary kostium i zobaczyłem, że nadaje się do używania, kamień spadł mi z serca.

Dobrze, skoro już strój miałem odhaczony, skupiłem się na kwestiach organizacyjnych. Chciałem ustalić, gdzie się odbywa ów tajemniczy bal, jak się tam dostaniemy i tym podobne. Oczywiście całą uroczystość spowijała mgiełka tajemnicy. Czemu, spytacie? Otóż ani Berenice, ani Zozym nie chcieli mi zdradzić, gdzie ma miejsce cała ta zabawa. Nie powiedzieli, jak się nazywa klub, który organizuje tę całą imprezę. Strzępki informacji, które mi zdradzili, tak czy siak miałem trzymać w tajemnicy. Mianowicie, że impreza odbędzie się w zamku należącym do jednego z członków klubu, że zjeżdżają się do niego tuzy z całego świata. Miało tam być kilku milionerów, a nawet miliarderów, kilku polityków z górnej półki, ogólnie rzecz ujmując – śmietanka towarzyska.

Zresztą, nasz palacz w pierwszym momencie nieszczególnie był zachwycony moim udziałem w tym przedsięwzięciu. Szybko się jednak rozchmurzył ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i zachowywał się nader

zwyczajnie, oczywiście w jego skali zwyczajności. Tym niemniej miałem dziwne poczucie, że wcale się nie cieszy. Bardzo skrycie, ale jednak czuł do mnie pewną dozę żalu i rozczarowania, a jednocześnie dużą troskę i zmartwienie. Gdy go poinformowałem o tym, że jednak dałem się namówić Berenice, skwitował to bardzo prostymi słowami:

– No to pięknie. – W tym momencie westchnął lub zaciągnął się dymem, nie mam pewności, bo rozmawialiśmy przez telefon. – Czyli jednak... No cóż, to ja się biorę do pracy. Będę musiał teraz załatwić kilka spraw. Oskarze, usiądziesz obok mnie tak blisko, jak to tylko możliwe! Zarówno z sympatii, jak i niepokoju. Przyznam, że trochę się o ciebie boję. Musisz zdawać sobie sprawę, że w tamtym towarzystwie trzeba być bardzo ostrożnym na to, co się robi i mówi, więc będę musiał się tobą zaopiekować, tak żebyś czasem nieumyślnie nie naraził się na nieprzyjemności.

Wszzechobecna tajemniczość i splendor okalały ten cały bal. Zarówno Zozym, jak i Berenice podchodzili do tego tematu pełni pietyzmu. Myśl o niezwykłych bogaczach, czy ludziach u władzy i mnie wplątanego w to towarzystwo napełniały obawą. Owszem, byłem bardzo wdzięczny Zozymowi za jego troskę, a jednocześnie czułem się zażenowany. Byłem dla niego trochę jak dziecko, którym musiał się teraz

zaopiekować. Oto stałem się kolejnym problemem na jego głowie, a i tak miał już dużo zmartwień; przynajmniej tak wnioskowałem po jego zachowaniu. Nigdy jednak nawet słowem nie napomknął o ewentualności zmiany przeze mnie zdania.

Gdy w okolicy piątkowego wieczoru wspomniałem mu o moich wątpliwościach i obawach, wręcz kategorycznie zabronił mi zrezygnować.

- Uwierz mi, Oskarze, teraz nie ma już odwrotu. Byłoby to bardzo niegrzeczne z twojej strony, to po pierwsze, a po drugie: gwarantuję ci, że ten wieczór odmieni całe twoje życie.

Byłem lekko skonsternowany nagłą odmianą Zozyma, bo wcześniej próbował mnie odstręczyć od wydarzenia, tworząc wokół niego, co prawda delikatnie, aurę grozy. Teraz mnie wręcz namawiał. Pogubiłem się sam w tym wszystkim. Nie wiedziałem już, co mam czuć. Moje emocje stanowiły teraz wachlarz. Rozwinęły się do granic możliwości, ukazując pełną paletę barw, a mój umysł płynnie przechodził z jednego uczucia w drugie.

W sobotę rano nie wytrzymałem tego napięcia. Zadzwoiłem do Berenice. Zwierzyłem się jej z moich wszystkich rozterek, z rozstroju emocjonalnego.

- Och, wampirku - westchnęła jednym tchem, jednym impulsem w słuchawce. - Nie chcesz, to nie musisz przychodzić... Wykombinuję coś innego, ale

naprawdę to nie byłoby fajne z twojej strony.

W tym momencie konie mojego umysłu wyskoczyły z boksów. Zaczęły nachodzić mnie wizje obcego mi natręta obłąpiającego Berenice. Widziałem, jak się śmieje z jego kiepskich żarcików. Widziałem jak się w niego wpatruje tym samym spojrzeniem, którym obdarowywała wcześniej mnie. Ten natręt nie miał nawet facjaty, był bezkształtny, a jednak groźny, bo mógł odebrać mi moją rudowłosą piękność.

– Nie, Berenice... Pójdę z tobą na ten bal, tylko... trochę się tym denerwuję. To wszystko. Chciałem się uspokoić i...

– Zacząłeś szukać u mnie wsparcia? – Tu znów zrobiła przerwę na westchnienie. – Wampirku, nie przejmuj się... Wszystko będzie w porządku. Szczerze mówiąc, też strasznie przeżywałam pierwszy klubowy bal, ale naprawdę nie było źle... No, może nie do końca, ale przeżyłam go.

Zamurowało mnie. To znaczyło, że jednak powinienem się trochę obawiać.

– A jakby ktoś cię zaczepiał – kontynuowała – zawsze możesz się schować za moją sukienką i złapać mojej nogi. – Lekko się zaśmiała i nie zaprzeczę, ten żarcik też wywołał u mnie niewielki uśmiech.

– To co poszło nie tak na tym twoim pierwszym balu?

– Po prostu nie umiałam się odnaleźć i zachować, jak należy. Wiesz, to dość... Hmm... Nietypowa zgraja dziwnych osób. Ble! Wyszło mi masło maślane! Ale wiesz, o co mi chodzi?

– Tak, rozumiem.

– Uff. To dobrze. No i powiem ci, że się nie popisałam za bardzo przed nimi. Nawet udało mi się obrazić kilku gości moim zachowaniem... Ale ty się nie masz czego bać. Dla nich będziesz tylko ciekawym punkcikiem w całym tym zamieszaniu. To na mnie spoczywa zachowanie etykiety, w końcu należę do ich klubu. A ty słuchaj się mnie, Zozyma i Nicol, a wszystko będzie dobrze.

– Nie wydaje mi się, by Nicol dała mi jakąś dobrą radę, raczej specjalnie będzie próbowała zrobić ze mnie pośmiewisko.

– No w sumie to prawda. Ech... W takim razie słuchaj tylko mnie i Zozyma. I nie martw się!

– No dobrze, nie będę.

– To świetnie, wampirku kochany, ja muszę się związać. Odezwę się wieczorem, okej?

– Oczywiście! Do usłyszenia! I ty też się nie martw!

– Nie będę. Pa!

Odłożyła słuchawkę, a ja byłem już trochę spokojniejszy. Nie powiem, że całkiem spokojny, ale spokojniejszy. Cały dzień upłynął mi na przymierzaniu

stroju, snuciu planów i wizji, co mnie czeka i jak mam się zachować. Żaden ze zmyślonych scenariuszy nie przygotował mnie nawet w kawałku na wydarzenia następnego wieczoru.

Gdy ponownie zdzwoniliśmy się z Berenice jeszcze w sobotę, ustaliliśmy plan na następny dzień. Ona, Nicol i Zozym mieli wcześniej wziąć udział w zebraniu. Oczywiście tylko dla członków klubu. Z tego powodu musiałem sam podjechać we wskazane przez nią miejsce. Oczywiście nie mogła mi powiedzieć dokładnie, gdzie się odbędzie klubowa impreza. Położenie zamku miało pozostać dla mnie i wszystkich uczestników spoza klubu tajemnicą. Naprawdę miałem coraz to gorsze przeczucia związane z całą tą sytuacją.

Bal miał się odbywać w niewielkiej mieścinie, a raczej w jej okolicy. Berenice opowiedziała mi o barze na rynku w tej miejscowości. Chciała, byśmy spotkali się właśnie pod tym barem. Uzgodniliśmy też czas. Na koniec przeprosiła mnie, że nie możemy razem podjechać bezpośrednio pod zamek, jednak inna konfiguracja nie była możliwa.

– Przynajmniej tym razem – dodała.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Jeżeli będziesz grzeczny, tooo... – przedłużyła „o”, by podnieść napięcie – włączymy cię do naszego klubu.

– O, dziękuję! Nie do końca wiem, jak zareagować. Naprawdę sądzisz, że się nadaję? – odpowiedziałem żartobliwie dzieciennym głosem.

– Oj, z pewnością... Będzie z ciebie smakowity kąsek!

– Dziękuję.

– Oskar, przepraszam, że za każdym razem tak urywam naszą rozmowę, ale właśnie mi coś wyskoczyło, muszę lecieć. Miłej nocy! I słodkich snów.

– Dziękuję, nie martw się, i tobie też! Masz buziaka na dobranoc. – Głośno cmoknąłem do słuchawki i się rozłączyłem.

Wieczorem, gdy leżałem w łóżku, znów wróciło do mnie zdenerwowanie. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że tancerzem jestem raczej średnim. Być może nie najgorszym, bo jakoś sobie na parkiecie radziłem, ale nigdy nie wzbudzałem szału. Zgadywałem, że na balu będę musiał tańczyć coś bardziej oficjalnego, walca dla przykładu. Myśl tylko o tym jednym, jedynym tańcu sprawiła, że moją głowę napełniły setki wizji. W jednych się potykałem, w drugich deptałem Berenice, w trzecich wpadałem na innych uczestników zabawy. Słowem: same katastrofy.

Nie wiem, kiedy w końcu zmorzył mnie sen, lecz było grubo po północy.

Następnego dnia wstałem późno, dopiero po

dwunastej. Poza czynnościami zwykłymi i przyziemnymi, resztę dnia poświęciłem na przygotowania. Nie wystarczyło tylko się ubrać, chciałem wyglądać jak sobowtór Beli. Włosy nażelowałem, aż stały się sztywne, nałożyłem nawet makijaż. Pod koniec zabiegów przeglądałem się w lustrze i zastanawiałem się, co jeszcze mogę zrobić. Lecz nie pozostało mi nic, poza wyruszeniem w drogę.

Zszedłem na dół. Wsiadłem do samochodu, wziąłem głęboki wdech, by uspokoić kołatające w mojej piersi serce i ruszyłem zgodnie ze wskazówkami GPS. Wedle nawigacji, na miejscu miałem znaleźć się godzinę przed umówionym czasem z Berenice, jednak wolałem być tam wcześniej, niż się spóźnić. Z tego, co rozumiałem, do zamku, w którym bal się odbywał, był jeszcze kawałek drogi od naszego punktu spotkania. Berenice zasugerowała, że ma jakiś transport. Nie wiedziałem jednak jaki.

~W~

Mieścina, do której przybyłem, jak dla mnie była przysłowiową wiochą zabitą dechami. Jednak miała dziwny, pokrętny urok. Gdy tylko się do niej wjeżdżało, uciekała z człowieka cała radość i zadowolenie z życia, jak powietrze z przekłutego balonika.

Na niewielkim rynku pozbawionym ratusza znajdował się równie niewielki parking. Odstawiłem tam auto i ruszyłem do umówionego przytułku, który miejscowi z czystej łaski lub nieświadomości nazywali „barem”. Tak jak powiedziała mi moja partnerka, odnalezienie go było niezwykle proste. Nad drzwiami wejściowymi znajdował się wielki, drewniany szyld, głoszący na całej swojej rozpiętości: „Między niebem, a piekłem”. Nie dało się go przeoczyć.

Stanąłem przy drzwiach wejściowych, kiedy słońce właśnie muskało ostatnimi promieniami poszarzałe i zniszczone kamienice. Ta na wpół umarła miłośnica zyskała wówczas na krótko odrobinę uroku. Zmartwychwstała. Przez chwilę szarość zaczynała płonąć niczym czerwone słońce, a kawałek dalej tonęła w błękitnym, długim cieniu. Uchwyciłem ten moment i zachowałem w swojej pamięci, choć z pewnością nie ja miałem najlepszy widok. Jakikolwiek obserwator musiał być pod znacznie większym wrażeniem. Oto Dracula, największy spośród wampirów, krył się przed zachodzącym słońcem w cieniu szarych kamienic.

Gdy nasyciłem się obserwacją, już bez ociągania wszedłem do jednej z niewielu siedzib uciechy w tej zapomnianej przez Boga miejscinie. Choć, jak się nad tym głębiej zastanowić, słowo uciecha niekoniecznie pasowała do tego przytułku. Co najwyżej czynił on

życie w tym mieście względnie znośnym. Z pewnością zastanawia was, skąd o tym wszystkim wiem, prawda? Z pewnością uznacie to za nadinterpretację, lecz kiedyś, wraz z moją byłą dziewczyną mieszkaliśmy w bardzo podobnej miejscinie. Dlatego też uważam, że mogę spokojnie odnajdować analogie pomiędzy jedną miejscowością, a drugą... Cóż, na razie skończmy ten wywód. Chodźmy dalej.

W równie szarym wnętrzu, jak cała ta miejscowość, siedziało pełno ludzi, też szarych i wyblakłych, niczym cienie. W kącie na podwyższeniu grała miejscowa kapela złożona z kilku grajków, którzy gdzieś kiedyś coś słyszeli o muzykowaniu. Założę się, że jedynie co drugi znał nuty. Każdy grał w swoim takcie, a głos wokalisty ledwo przebijał się przez kakofonię instrumentów. Słowa piosenki szły jakoś tak: „Na samym dnie neony oślepiają mnie, na samym dnie spotkamy się, sam nie wiem gdzie”. Koło nich grupka tubylców próbowała tańczyć. Każdy podrygiwał do rytmu istniejącego tylko w jego wyobraźni.

W drugim kącie dostrzegłem nie najmłodszą już kobietę, która kładła jaskrawoniebieskie cienie na swoje oczy. Ewidentnie była jedną z miejscowych ślicznotek. Pewnie tą, której brakło wdzięku, by poza tą miejsciną odnaleźć miejsce bardziej sprzyjające życiu, albo rozumowi, aby te resztki wdzięku wykorzystać w jakiś inny sposób, niż oddawanie się

samcom alfa obecnego społecznego systemu. Nie wiem, które z powyższych było prawdziwe, nie miałem ochoty pytać. Niedaleko od niej siedział grubas, zajadający się jakimś podłym posiłkiem, wyglądającym jak jedna z papek odgrzewanych w mikrofalach. Obżartuch nie zawsze trafiał do ust i znaczył plamami koszulę oraz starą, znoszoną marynarkę. Nie zwracał na to uwagi; całą bowiem poświęcił na śledzenie ruchów miejscowej kokietki. Domyślałem się, że był tutejszym tuzem, czytaj: wspomnianym wcześniej ekonomiczno-społecznym samcem alfa.

Przy kontuarze znajdował się niewielki piecyk, czarny i osmolony, a przy nim siedziała pomarszczona latami i zgarbiona ciężarem losu kobiecina. Zamęczała barmana smętną historią swojego beznadziejnego życia, które niełaskawie wciąż trwało i trwało, i skończyć się nie chciało. Barman bardziej niż słuchaniem tych historii zajęty był kontemplacją poskręcanej strużki dymu wydobywającej się z niedopałka, którego trzymał w dłoni. Czasem odpowiadał jej burknięciem. Najwyraźniej liczył, że w końcu starucha uzna go za gbura i odpuści mu dalsze lamenty.

Przy barze siedział jeszcze jeden mężczyzna. Również przygarbiony. Mamrotał coś do siebie pod nosem. Robił wrażenie bardzo nerwowego. Nie mógł

usiedzieć spokojnie na miejscu. Co chwilę obracał za siebie pomarszczoną głowę, wyciągając przy tym długą szyję. Przyglądał się i zaraz wracał do wpatrywania się w pustą szklankę, potem w wewnętrzne kieszenie znoszonego, pełnego dziur i przetarć płaszcza. Znów wracał do szklanki, a na koniec wyciągał głowę w innym kierunku. I tak w kółko.

– A mój Boleczek – ciągnęła starucha, zaciągając długim nosem – to się powiesił, jak go ta bezbożna dziewczucha, za którą wyszedł, ladacznica cholerna, zdradziła ze starym Jankowym. No wtedy to on stary jeszcze nie był. Wie pan, panie kochany, tym, co świni hoduje i chlew ma koło starego młyna. Wiatraka właściwie, bo już młynarza nie ma u nas od... ho, ho. No i tak mój ostatni synek się przedwcześnie wyprawił na tamten świat.

Podszedłem do barmana, naiwnie licząc, że uzna to za wybawienie. Miałem nadzieję, że zaraz podskoczy do mnie i głosem pełnym wdzięczności spyta, co podać. Przeliczyłem się. Owszem, spojrział na mnie. Podniósł brew, opuścił ją, wziął głęboki wdech i zwrócił się do staruchy:

– Piąty też się powiesił na moście? – W jego głosie nie było nawet grama zainteresowania, a wzrokiem wrócił do smużki dymu.

– A no piąty też... U nas to wszyscy się tam

wieszają. Heniek, syn burmistrza, przecie też tam dyndał. Choć ten to tam wisiał i wisiał, aż smród stał się nieznośny. Ojciec był na niego wściekły i zakazał go zdejmować.

– Przepraszam – w końcu nie wytrzymałem i zwróciłem na siebie uwagę. – Czy można coś zamówić?

Barman znów na mnie spojrzał, podnosząc brew i lekko podirytowanym głosem odpowiedział:

– Ano można, można, tylko nie trzeba tak zaraz krzyżeć, przecie pana widzę. – Wykonał kilka kroków w moim kierunku, stanął naprzeciwko i spytał: – No to co podać? Byle szybko, bo nie mam całego dnia, by tak nad wariatami stać.

– Macie jakiś sok? – Nie chciałem się upijać przed balem.

– Ta! Do piwa dla panienek. Bez procentów to tylko woda.

– To poproszę.

– Panie – chrypliwym głosem odezwał się staruszek, który siedział obok – postaw pan też. W gardle mnie coś drapie, a mnie się skończyła.

– To dwie? – spytał apatycznym głosem barman.

– Niech będą dwie – odparłem.

– A dziękować panu. – Staruszek chwycił mnie za dłoń. – Bóg zapłać.

W tym momencie barman wziął dwie szklanki, podszedł do zlewu za barem i nalał nam wody prosto z kranu.

– Dwie dychy się należy – powiedział, stawiając przed nami szklanki.

– Za kranówkę? Oszalał pan?

– No! No! Bez oszczerstw mi tu! Panie, to nie hotel z all inclusive, płać pan albo wypierdalaj.

Byłem wściekły, ale nie chciałem robić afery. Wyrzebałem portfel, wyciągnąłem banknot i położyłem na ladzie.

– Panie, co pan sobie myślisz, że ja jakaś przekupka? Ze stówy nie mam jak wydać.

– To co teraz?

– Dam panu pięć dych, następne zamówienie jakoś tam pokryje. Git?

Pokręciłem głową.

– Niech panu będzie.

– No to spoko... ale zapomniał pan o czymś!

– Mianowicie?

– A magiczne słówko?

– Dziękuję? – spytałem z poirytowanym niedowierzaniem.

– No! Od razu lepiej.

Pokręciłem głową po raz kolejny. Cóż innego

mogłem zrobić? Nie dość, że była to szemrana speluna w szemranej okolicy, to jeszcze byłem sam. Barman nawet nie zwrócił na to uwagi. Wrócił na kraniec lady do swojego kontemplowania i dalej udawał, że słucha staruchy obok. Ta biadoliła bez końca, nadawała jak katarynka.

– Panie – zagaił znowu roztrzęsiony staruszek – a można pana spytać, gdzie się pan tak wystroił?

– Ech, można. – Humor miałem kompletnie popsuty, więc nawet prosta rozmowa o niczym z towarzyszem od szklanki wody zdawała się kusząca. – Wybieram się na bal przebierańców.

– Panie, panie! – chrypiąc, oburzył się starzec. – Niech mi pan tu nie pierdoli trzy po trzy! Bal w tej dziurze? Gdzie? Kto by miał na to pieniądze? No, niech mi pan powie?!

– No, może niedokładnie tutaj. Moja znajoma jest członkinią jakiegoś tajemniczego klubu, który organizuje bal w jakimś zamku niedaleko stąd. Może pan kojarzy ten zamek?

– W zamku? Bal? Klub? Czekaaj, czekaaj pan... – Starzec pomasaował pomarszczone czoło. – Chodzi o zamek Prospero?

– Nie wiem, chyba... A jest w okolicy jakiś inny?

– Panie, nie bardzo...

– Więc to musi być właśnie ten zamek.

– Oj, panie! To powodzenia życzę. Z Bogiem. Baw się pan dobrze.

Tu urwał i wrócił do skrytego przeglądania wewnętrznych kieszeni płaszcza. Zdziwiłem się trochę. Nie wiedziałem, jak na to zareagować. Bądź co bądź, sarkazm w głosie staruszka był oczywisty. Poza tym, nagle stałem się mniej interesujący niż kieszenie, które przeglądał w kółko. Miałem wrażenie, że się czegoś przestraszył. Moje złe przeczucia odnośnie tego całego balu przyszły ze zdwojoną siłą.

Na moje nieszczęście zaraz z zamyślenia wyrwał mnie głos zza moich pleców.

– Te, facio przy barze! Obróć się no!

Domyśliłem się, że chodzi o mnie. Czułem, że to tylko głupia zaczepka, więc dałem sobie spokój. Udawałem, że nie słyszę. Natomiast mój sąsiad się odwrócił. Kątem oka widziałem przerażenie w jego oczach. On też czuł, co się święci.

– Nie ty, dziadygo! Do dziwoląga mówię.

– Obróciłbyś się, jak się ciebie grzecznie prosi! Dziwolągu! – dołączył kolejny głos.

Nie reagowałem.

– Uff, już się bałem, że o mnie chodzi. – Starzec wrócił do swojej pozy. – No to się pan teraz rozerwiesz! Powodzenia życzę. Z Bogiem.

– Pacz no, skurwiela! Głuchego udaje! – Tym razem

był to pierwszy głos.

– Chłopaki! Spokojnie, ja to załatwię – odezwał się trzeci.

Poczułem mocne klepnięcie w plecy.

– Jak się siedzi, kolego? – Obok mnie wychyliła się twarz. Mój natarczywy kompan w dyskusji miał czoło nieskalane fałdką zamysłu i wzrok rozpaczliwie tęskniący za rozumem.

– Panowie, nie chcę problemów. Możecie zostawić mnie w spokoju?

– Widzicie, chłopaki, mówi! – zwrócił się do towarzyszy. – Te, piękniś, mam dla ciebie propozycję wymiany! No po prostu nie do odrzucenia! Co ty na to?

– Słucham.

– Taka tam wymiana... My z chłopakami damy ci w pysk, a ty oddasz nam swój portfel!

– Nie sądzę, by była to uczciwa umowa.

Miejscowy miłośnik handlu wymiennego chwycił mnie za kołnierz. Już czułem, jak ciągnie mnie do tyłu, gdy przerwał mu barman:

– Panowie, spokojnie! – Spojrzałem na niego z nadzieją. Złowił mój wzrok i kiwnął do mnie porozumiewawczo głową. – Ja was chłopaki rozumiem, ale mam do was małą prośbę.

– Dajesz – odparł karczek obok mnie.

– Wszystko wszystkim, ale skróćcie cudaka na zewnątrz! Nie róbcie burdy w jedynym lokalu w mieście, jeśli łaska.

– Robi się.

Siedziałem w osłupieniu, nie mogąc się nawet ruszyć. Opanował mnie szok. Patrzyłem w twarz barmana, a on na mnie z twarzą rozpromienioną przez parszywy uśmieszek. Rzucił jeszcze na odchodne:

– Dziękujemy, zapraszamy ponownie.

Opryszek, który siedział obok, chwycił mnie pod ramię. Drugi, z za moich pleców, dopadł mnie z drugiej strony. Próbowałem jakoś apelować, wierzgać, ale nie puścili żelaznego uścisku. Wyrzucili mnie w mrok ulicy. Jeden z napastników wyciągnął scyzoryk i wysunął ostrze.

– No to się teraz policzymy – powiedział.

– Panowie, spokojnie! – Zacząłem się powoli cofać.

– Na pewno da się to jakoś inaczej załatwić!

– Szczym ryj – wyskoczył trzeci i zaciśniętą pięścią uderzył mnie w skroń.

Impet aż mnie obrócił i powalił na czworaka. W głowie, prócz napływającego bólu, tliło się poczucie *déjà vu*. Wtedy po raz kolejny dane mi było bliżej zapoznać się z cudzym obuwiem. O dziwo, znów była to tenisówka.

Jeden z moich oprawców wybuchnął śmiechem.

- No wampira to jeszcze nie skroilem!
- I nie skroisz - uslyszalem głos Zozyma.
- Te, kolejny pajac!

Po tych słowach dostalem jeszcze jednego kopniaka w skroń. Cały świat zginął w mroku.

~W~

Gdy się ocknałem, zobaczyłem twarz Berenice. Znowu leżałem ułożony na jej kolanach. Tym razem uczucie *déjà vu* zaczęło wypierać ból z mojej głowy.

- Przepraszam - powiedziała szeptem, gdy zobaczyła, że się budzę.

Miała załzawione oczy i ubrana była w białą suknię.

- Wstawaj, Oskarze! - powiedział Zozym, podając mi dłoń. On z kolei nosił strój, którego jeszcze w tamtym momencie nie mogłem rozszyfrować. W głowie wciąż mi dudniło. - Przykro mi, że wam przerywam, ale musimy się zbierać.

Chwyciłem jego dłoń i wraz z pociągnięciem wróciłem do pionu.

- Co się stało? - spytałem.

- Znowu cię pobili - odparł.

- W gębie to ty mocny jesteś - wtrąciła Nicol. Jej strój nie pozostawiał wiele miejsca na domysły. Była

przebrana za czarownicę. Najbardziej w oczy rzucał się jej duży, czarny, spiczasty kapelusz z rondem.

– Nic im nie powiedziałem – odparłem na jej zaczepkę.

– Był to raczej wyraz podziwu, że dalej masz wszystkie zęby – powiedział Zozym z lekkim uśmiechem.

– Ahaaa – odpowiedziałem, przeciągając „a”. – Jak ich rozgoniliście?

– Jak złamałem rękę temu ze scyzorykiem, pozostali dwaj postanowili uciec.

– Aha...

– A ten ze złamaną ręką postanowił uciec, jak mu dałam kopa w dupę!

– Tak, Nicol, ty też byłaś dzielna – skwitował Zozym, odpalając papierosa.

– Przepraszam. – Berenice nie mogła oderwać wzroku od podłogi. Teraz, gdy mogłem zobaczyć ją całą, zdałem sobie sprawę, że jest przebrana za baletnicę. – Powinnam wymyślić inne miejsce... To wszystko przeze mnie.

– Nie martw się! Tak wygląda nawet lepiej! – wystrzeliła Nicol.

Spojrzałem na nią bezrozumnym wzrokiem. Wciąż nie byłem w pełni świadom, co się ze mną dzieje.

– Masz zakrwawione usta – wyjaśnił Zozym.

Dotknąłem swoich warg i otarłem je delikatnie. Na palcach zobaczyłem krew.

– Wynagrodzę ci to. – Berenice przytuliła się do mnie.

Szok wciąż wypełniał moją czaszkę, więc myśl, by odwzajemnić jej czułość, nie przyszła mi do głowy.

– No! I to z nawiązką – dodała Nicol.

Berenice tylko prychnęła i zacieśniła swój uścisk.

– Dobra! Koniec tego dobrego. Naprawdę musimy się związać. – Palacz wskazał mi karocę.

Nie wiem nawet, jak mogłem na nią nie zwrócić wcześniej uwagi. Pod lampą, w błękitnym świetle, stał ogromny powóz ze złotymi zdobieniami, zaprzęgnięty w cztery konie.

– O cholera – skomentowałem widok.

– Nie przejmuj się, wszyscy na bal dojeżdżają takimi. – Zaciągnął się i wypuścił dym. – Taka tradycja.

– Idziemy. – Berenice chwyciła mnie za rękę i poprowadziła do drzwi naszego wehikułu.

Pierwsi wsiedli Nicol i Zozym, po nich ja i Berenice. Zaraz potem karoca ruszyła. W środku panował półmrok, rozrzedzany tylko światłem lampy. Fotele były niezwykle miękkie i obite przyjemną w dotyku czerwoną tkaniną. Ja z Berenice siedzieliśmy przeciwnie do kierunku jazdy, naprzeciwko mnie

siedział nasz palacz. Jedną rękę z papierosem trzymał na zewnątrz, w drugiej lśniła kobieca ręka. Należała do bladziutkiej blondynki w luźnej sukni, wystylizowanej na podobieństwo Marilyn Monroe. Gdy tylko ją zobaczyłem, w głowie wyświetliła mi się słynna scena ze „Słomianego wdowca”. Obok niej siedział mocarnie zbudowany mężczyzna. Nosił zgniłozółtą koszulkę bez ramion, z bardzo głębokim wcięciem odsłaniającym owłosione piersi, do tego miał skórzane spodnie.

Gdy wsiedliśmy, Nicol przyssała się do ust tego olbrzyma.

Mój szok się tylko pogłębił. Byłem święcie przekonany, że Zozym i Nicol idą na bal razem.

– Przepraszam – odezwał się palacz, który właśnie spostrzegł moje zmieszanie. – Nie przedstawiłem was sobie. To jest Marilyn Monroe – wskazał na swoją towarzyszkę. – Obok niej siedzi Herkules.

– Eee, a tak naprawdę?

– Oskar! – szepnęła mi do ucha Berenice. – Twoje pytanie jest nie na miejscu!

Spojrzałem na nią jeszcze bardziej zdziwiony niż przed chwilą.

– Draculo – odezwał się do mnie Zozym – na balu zetkniesz się z wieloma osobistościami z wyższych sfer. Każda z nich bardzo ceni sobie prywatność.

Jedna z zasad na ten wieczór, którą musisz sobie przyswoić, brzmi: nigdy, ale to przenigdy nie pytaj, jak się naprawdę nazywają osoby, które spotkasz. Nigdy!

– A druga zasada?

– Nigdy nie pytaj o prawdziwe nazwisko! – dobitnym głosem dodała Nicol.

– Aha.

– Nie, spokojnie, Draculo, druga zasada to... Baw się dobrze! Postaraj się tylko nikogo nie zirytować. Dobrze?

– Obiecuję.

– To się cieszę.

– A ty za kogo się przebrałeś? Zoz... Rozumiem, że prawdziwych imion też mam nie wypowiadać?

– Dobrze rozumiesz... A odnośnie stroju... Nie poznajesz?

– To Churchill! – ubiegła odpowiedź palacza Nicole.

– No tak, mogłem poznać po chuście w kropki... Tak szczerze, to nie uważasz, że jesteś trochę za chudy na Churchilla?

– Raczej to on za mało palił, by być mną. – Zozym wyrzucił niedopałek przez okno i wyciągnął kolejnego papierosa.

– No rzeczywiście... Chyba jesteście kwita.

Kiwnął tylko głową na znak zgody. Wtedy Marilyn

zaczęła szeptać mu coś do ucha. Nie chciałem im przeszkadzać, więc zwróciłem się do Berenice. Biedaczka wciąż czuła żal, że mnie pobito.

– Mocno cię boli? – szepnęła mi na ucho i czule dotknęła mojej głowy.

– Trochę – odszepnąłem.

– Biedaku! – Do jej oczu napłynęły łzy.

– Spokojnie, dam radę. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

– A tak w ogóle to... bardzo ładnie się przebrałeś... Wampirku.

– Ty również. – Pocałowałem jej kędziorki.

Naszą karocą zaczęło mocno potrząsać. Ewidentnie poruszaliśmy się po nierównym terenie. Odchyliłem zasłonkę w moim oknie i ujrzałem gęstwiny gałęzi i grube pnie drzew, które przez chybotliwy ruch karocy zdawały się powoli maszerować. Za nimi była tylko ciemność.

– Daleko jedziemy?

– Trochę nam to zajmie. Zamek znajduje się w środku lasu – odparł Churchill.

– Trochę?

– Jakieś pół godziny.

– No to rzeczywiście trochę – odpowiedziałem, po czym zwróciłem się do Berenice: – Mogę się na tobie oprzeć? Zdrzemnę się tylko.

– Pewnie, mój biedaczku. Chodź tu.

Sama ułożyła moją głowę na swojej obfitej i miękkiej piersi, bladej tak, że barwą stapiała się z białą sukienką. Owinęła swoje ramiona szczelnie wokół mnie. Zatopiłem się w ciepłe jej ciało. Jej delikatność łagodziła mój ból. Rozbiegany umysł w końcu odpoczywał. Umilkł.

Tak bujałem się wraz z Berenice, pogrążony w półśnie, aż dotarliśmy pod zamek.

– Wstawaj – szepnęła. – Dojechaliśmy.

Uniosłem się. Wyjrzałem przez okienko i ujrzałem mur. Jak na moje oko miał ponad pięć metrów. Zza niego prześwitywały strzeliste dachy ośmiu zamkowych wież.

Nasza karoca zatrzymała się kilkanaście metrów od ogromnej bramy. Pod nią znajdowała się nieduża grupka ludzi. Panowała straszna krzątanina, mogłem usłyszeć niewyraźne, podniesione głosy.

– Oho! Bał się jeszcze na dobre nie rozpoczął, a tu już pierwsze utarczki. – W głosie Churchilla dało się słyszeć pewną nutę zmęczenia. – Chyba znowu będę zmuszony wcielić się w rolę mediatora.

Wyskoczył z karocy jako pierwszy, podał dłoń Marilyn Monroe i pośpieszył ku gromadce stłoczonej pod bramą. Ja i Berenice wysiedliśmy na końcu. Po wyjściu rozejrzałem się. Mur okalający zamczysko

wyrastał bezpośrednio z gęstwiny lasu. Przed nim znajdował się nieduży podjazd, a kawałek dalej duża szopa gęsto wyścielona sianem, przypuszczalnie stajnia. Prócz naszej karocy naliczyłem na podjeździe jeszcze kilkanaście.

Berenice pociągnęła mnie za dłoń i ruszyliśmy wszyscy w ślad za Zozymem.

Gdy przeniknęliśmy przez gęstwinę stłoczonych balowiczów, dostrzegliśmy stojącego o lasce, wiekowego Murzyna. Resztką siwych włosów wyrastała mu ze skroni i okręcała się wzdłuż czaszki, pozostawiając jednak ciemię wolne. Łysina starca lśniła w świetle lamp zawieszonych na murze. Jego brwi przypominały dwie gęste, białe chmury, które ot tak, z kaprysu, zstąpiły z błękitu nieboskłonu na pofalowane morze ciemnej kawy – czoło naszego nowego znajomego. Ubrany był w czarną kamizelkę bez rękawów, białą koszulę zwieńczoną czarną chustą zawiązaną pod szyją i czarne spodnie z włókna. Trzymał w ręku długi pergamin i co chwilę na niego zerkał. Przy tym trząsał się ze wściekłości za każdym razem, gdy patrzył na co najmniej równie wiekowego mężczyznę przed nim.

Drugi jegomość, towarzyszący kłótni, był biały i miał niemal taką samą fryzurę jak jego czarnoskóry oponent. Posiadał jednak resztki grzywki, które zaczesywał tak, by choć trochę łysinę przesłonić. Nosił

czerwony surdut ze złotymi zdobieniami. Przybierały one kształty kwiatów, głównie róż. Pod nim miał na sobie błękitną kamizelkę i chustę z zielonego połyskliwego jedwabiu. Trzymał w ręce sznur i skórzaną smycz. Drugi koniec smyczy zahaczał o pierścień zwieńczający kolię, która ciasno okalała szyję młodziutkiej szatynki. Jej czarne włosy w prostej linii opadały na ramiona i jej czarną suknię. Choć, jeżeli mam być szczery, owa kreacja nie składała się z dużej ilości materiału i ciężko mi ją nazywać pełnowartościową suknią. Szatynka miała odsłonięte ramiona, a jej długie czarne rękawiczki kończyły się nieco ponad łokciami. Plecy miała również nagie aż po delikatne zakola jędrnych pośladków. Z przodu zaś pomiędzy piersiami zaczynała się długa wyrwa. Dwie warstwy materiału schodziły się z powrotem w sukienną jedność trochę poniżej pępka lub, mówiąc dokładniej, nieco nad wzgórkiem jej łona. Stała ze złożonymi rękoma niby cnotliwa zakonnica. Jej oczy patrzyły pusto w dal, a twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu. Trwała tak niby posąg, nieobecna.

Z kolei drugi koniec sznura kończył się pętlą zawiązaną na szyi szarego osiołka, który leniwie przyglądał się całemu zajściu. Obdarzony zwierzęcą nieświadomością, nie wiedział, że spór właśnie jego dotyczy.

– O nie! Żadna biała, pomarszczona dupa nie będzie mi mówić, co jest w regulaminie! – krzyczał czarnoskóry.

– A mi nie będzie rozkazywał żaden sługus spod bramy! – odkrzykiwał drugi staruszek.

– Panowie! Spokojnie! – Wszedł między nich Churchill. – Co się stało? Czemu tamujecie ruch?

– O, pan Zoz... to jest Churchill, jak mniemam! – Staruszek wspierający się o lasce rozdziawił zęby w szczerym i szerokim uśmiechu. – Dobrze, że pan jest. Niech pan wytłumaczy temu zgrzybiałemu fiutkowi, że nie może od tak sobie wejść z tą dziewczuchą i osłem! To wbrew regulaminowi!

– Już, już, Stephenie, spokojnie. Uspokój się, bo znowu dostaniesz zawału, zupełnie jak dwa lata temu. Niepotrzebne nam takie zamieszanie, prawda? – obrońca regulaminu kiwnął mu głową na znak zgody. – Panie markizie de Sade, niech mi markiz teraz opowie swoją wersję.

– Panie Churchill! – Markiz wyprostował się i uniósł wysoko głowę. – Ten czarnoskóry - ten tam! - próbuje mi wmówić, że regulamin nie pozwala mi na wzięcie moich osób towarzyszących!

– I ma rację. Drogi markizie, w trójkę nie można was wpuścić. Zasady jasno mówią: „tylko pary”.

– Słyszysz, droga Juliette? – de Sade zwrócił się do

swojej towarzyszki. – Cóż za dzicz! Najpewniej wszystko przez tego zaplutego Afroamerykanina! No cóż, moja droga, musisz tu zostać. – Oddał jej skórzaną smycz i zwrócił kroki ku bramie.

Stephen podskoczył, jak to zobaczył.

– Stop! Gdzie z tym osłem? – zaskrzeczał z podniecenia. – Widzi pan, panie Churchill, co ja mam z tym indywiduum?! – Wskazał na niego laską.

– Panie markizie, proszę natychmiast tu wrócić.

– Co? Dalej nie tak?

– No niestety. Markizie de Sade, proszę mi się przyznać... próbował pan już wcześniej takich prowokacji?

– Jakich prowokacji?

– No dewiant! Czysty dewiant! – lamentował Stephen.

– Mam na myśli próbę wprowadzenia jakichś zwierząt – odparł spokojnie Zozym.

– Ano, zdarzyło się kilka razy, i co?

– Po prostu zżera mnie ciekawość... Cóż za zwierzę było ostatnio? Rok temu?

– Goryl! Ale prawda, mógł być trochę niebezpieczny, przyznałem wtedy rację... Ale co wy macie do osła? Proszę mi to wyjaśnić! To takie spokojne zwierzę. Panie Churchill, no zobacz pan jak mu dobrze z oczu patrzy! Zobacz!

– Właśnie dotknął pan meritum! To zwierzę, a nie człowiek, drogi Markizie. Tylko i aż tyle nam przeszkadza.

– Że niby osioł jest zły?

– Dokładnie. Niech mi pan powie, czy kiedykolwiek udało się panu jakieś zwierzę przemyścić?

– Raz wszedłem z kozą.

– No to gratuluję Markizowi. Niech mi tylko Markiz łaskawie wyjawi, jak zareagował na ten fakt prezes Tepes?

De Sade odwrócił wzrok i podrapał się po reszcie siwych włosów.

– No zadowolony to on nie był.

– Domyśla się Markiz, co się stanie, jak prezes zobaczy pana bez osoby towarzyszącej, ale za to z osłem? Byłoby to złamanie regulaminu. Przecież doskonale Markiz wie, jak prezes reaguje na nieprzestrzeganie zasad.

– Wolałbym sobie tego nie wyobrażać. Ech, no trudno. – De Sade wręczył sznurek Stephenowi i przechwycił smycz od Juliette.

– Panie Churchill, widzi pan to?! Co ja niby mam teraz z tym zwierzakiem zrobić?

– Spokojnie, Stephenie, nie unoś się. – Obrócił się w stronę de Sade. – Markizie!

– Słucham. – Starzec był już prawie za bramą, ale

odwrócił się, a jego mina wyrażała głębokie niezadowolenie.

– Niech Markiz odprowadzi najpierw swoje zwierzątko do stajni. Odbierze je pan po uroczystości. Rozumiemy się?

– Ta, jasne! – W jego głosie dało się słyszeć gniew. Podszedł do Stephena, szybkim ruchem ręki wyrwał mu sznurek i poszedł odprowadzić osła. – Na co mi to bydlę po tym balu, ech...? Nikt mnie nie rozumie – mamrotał pod nosem.

– Dziękuję panu, panie Churchill. Gdyby nie pan, kłóciłbym się z tym durniem jeszcze kilka godzin.

– Spokojnie, na szczęście przyszedłem na czas. Przepuścisz mnie i moich towarzyszy?

– Pana, panie Churchill, z przyjemnością.

– O nie! Toć to niesprawiedliwość! – włączył się w tym momencie do rozmowy kolejny jegomość, znacznie młodszy od poprzedniego. Jego skronie były lekko przyprószone siwizną. Surdut z kolei miał kolor zielony, srebrne zdobienia, a spod niego prześwitywała czerwona kamizelka i błękitna chusta.

– Casanova? – Stephen zagłębił się w pergamin.

– Dla ciebie pan Giacomo Casanova!

– Zgadza się. – Starzec uderzył lekko palcem w pismo. – Więc panie Giacomo Casanova, co dla pana jest niesprawiedliwe?

- To, że pan Churchill zostanie wpuszczony bez kolejki, nie stanowi dla mnie żadnego problemu, wszak to dzięki niemu w ogóle ruszyła. Jednak pan Zoz... Churchill wejdzie na bal ze znacznie liczniejszym towarzystwem niż Markiz. Ile ich tam? Piątka? Toć to jawny brak sprawiedliwości! Przecież przed chwilą sam potwierdził, że w regulaminie stoi jak byk: „tylko pary”.

- Czy pan, panie Churchill, słyszy tego chłystka? - Staruszek wskazał na niego laską. - Ten to ma czelność!

- Słyszę. Spokojnie. Panie Giacomo, moją osobą towarzyszącą jest tylko Marilyn. - Zozym przywołał ją gestem, po czym chwycił za dłoń.

- Tak więc mam rozumieć, że reszta to duchy?

- Chciałem tego uniknąć, lecz niech pan raczy zauważyć, że w moim towarzystwie znajdują się również członkowie naszego klubu. Pod postacią przerażającej czarownicy skrywa się nie kto inny jak Nicol, a najpiękniejsza spośród baletnic to Berenice.

- Och! Rzeczywiście! Nie poznałem. Panie raczą mi wybaczyć. Wraz z Churchillem należymy do klubu od wielu lat, a panie są jeszcze takie młode, nowe, aż się na język samo ciśnie słowo... świeże. Nie miejcie mi tego za złe. Szczególnie najpiękniejsza spośród łabędzi.

- Te, Casanova - odpowiedziała mu Nicol. - Przyjmujemy przeprosiny, ale nie przywiązuj się zbyt do drobiu, bo twoje króliczki ci odkicają!

- No tak, tak. - Giacomo obrócił się na pięcie i zwrócił do szeregu pięciu niezwykle urokliwych kobiet za nim. Każda była w stroju króliczka. Wyglądały jakby były wyciągnięte z rozkładówki „Playboya”: - Drogie panie, proszę do mnie.

- Co? Panie Churchill, niechże pan coś z nim zrobi! Kolejny bęcwał, co nie szanuje regulaminu!

- Spokojnie, Stephenie.

- Jak same widziałyście, moje drogie - przemawiał Casanova - próbowałem. Starłem się, jak mogłem. Mój fortel skończył się niestety fiaskiem. Nie możemy pójść wszyscy razem, muszę wybrać jedną. Szkoda, wielka szkoda! - W tym momencie oparł jedno ramię na łokciu i przyłożył dłoń do swojej twarzy. Macał przez chwilę swoją brodę długimi, cienkimi palcami. Wskazującym otarł kilka razy usta i kontynuował: - Postanowione! Tereso, zechcesz zostać moją towarzyszką na resztę wieczoru?

- Z wielką chęcią, panie Giacomo. - Jedna rozradowana kobieta wyszła przed szereg. Za to reszta miała strasznie skwaszone miny.

- No patrzcie tylko! Radość i energia promieniują z tego króliczka, jak z reaktora w Czarnobylu! - Nie

mam pewności, czy muszę zaznaczać, czyja to kwestia. Tak... To była Nicol.

– Reszta pań niech się nie martwi! – ciągnął Giacomo. – Z pewnością woźnice karoc chętnie rozwiozą panie do domów. Być może to lepiej! Choć szkoda, że tak wyszło! Ale nie ubolewajcie. Jeszcze wiele balów przed paniami!

Dziewczęta z zażenowaniem rozeszły się. Z kolei Casanova i Teresa uchylili bramę i zniknęli w powstałej wnęce.

– Tak z ciekawości – zagaił Zozym. – Gdzie się podziewa twoja towarzyszka, Stephenie?

– Cora? Ta smolista nierządnica zaniósła swoje czarne dupsko już do środka.

Dłoń Berenice zacisnęła się mocniej na mojej.

– Panie Churchill, ja nie wiem, co to się wyprawia, coraz gorsze te czarnulki. Nawet na pole z bawełną się nie nadają. Nie żeby kiedyś było cudownie! O nie! Ale dziś to wszystkie czarnuchy pozapominały, gdzie ich miejsce! Zero szacunku, żadnej kontroli. I tylko rozbijają się między białymi. Gdzie takiej hołocie iść między białych panów? No, niech mi pan powie. Na dodatek ta czarna bezmyślność zaczęła się udzielać białym. Jeszcze trochę i cały świat zgłupieje i nic, tylko będzie się kręcić w rytmie tego ich „umcia, umcia, pękła gumcia”. To dopiero dzicz!

– Co poradzisz, Stephenie, takie czasy! Choć może się to niedługo zmieni... Może my to zmienimy. Kto wie?

– A powiem panu, panie Churchill, że powinniśmy. Jak jasna cholera, powinniśmy! O, pan Cezar!

Pod bramę podszedł człowiek ubrany w długą, purpurową togę. Pod rękę trzymał kobietę w długiej, białej sukni, prostej, bez żadnych zdobień. Za to jej naszyjnik był olbrzymi, cały ze złota i opadał na ramiona, piersi i plecy. Na głowie miała diadem ze skarabeuszem.

– Owszem, witaj, Stephenie. Możemy przejść?

– Ależ oczywiście! Zapraszam.

Cezar ze swoją partnerką zniknęli w bramie.

– A ten dalej stoi! – usłyszałem z boku pomruk de Sade. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem, jak macha zrezygnowany dłonią. Wraz z osłem i Juliette zawrócili i tym razem naprawdę poszli do stajni.

– Stephenie, widzę, że jeszcze masz trochę pracy. Pozwól, że przejdziemy i przestaniemy cię kłopotać.

– Ależ skąd! Pan mnie nigdy nie kłopotał! Lecz skoro pan sobie życzy to proszę bardzo, panie Churchill! Proszę. – Staruszek sam podszedł do bramy, by ją szerzej dla nas uchylić.

Przechodząc, wyłapałem jeszcze, jak twarze odźwiernika i Berenice zmieniają wyraz przy mijaniu.

Ta para ewidentnie nie lubiła swojego towarzystwa.

Po przejściu przez bramę zobaczyłem zamek. Choć nie! Stop! Zobaczyłem ZAMEK! A jego majestatyczność ugodziła we mnie tak, że kolana zaczęły się giąć pod ciężarem jego piękna.

Był zbudowany z czerwonych cegieł, które już dawno temu musiały stracić swą krwistą barwę przez postępujący upływ czasu. Ciągnął się niczym wijący wąż, albo inaczej – zawijał się jak papierowa harmonijka. W każdym zagięciu jedna ściana przechodziła w drugą, wznosiły się wieże – długie, cienkie, strzeliste, szarpały niebo nad sobą. Segmentów było siedem. Pośrodku każdego znajdowało się jedno podłużne okno. Przed nimi postawiono trójnogi z paleniskami. Przed zamkiem rozciągały się połacie trawnika. Przystrzyżonego równiutko! Gdybym miał linijkę pod ręką, z pewnością wyrwałbym się z całego zamkowo-balowego zgiełku i sprawdził, czy źdźbła odstają choćby o milimetr. Zielony pejzaż przecinała tylko ścieżka prowadząca do zamku, a na niej majaczyły grupki ludzi zmierzające w jego kierunku.

My nie byliśmy wyjątkiem. Na przodzie szła Nicol i Zozym, za nimi ja i Berenice, a za nami Marilyn i Herkules, którzy już od jakiegoś czasu trzymali się razem. Gdy oddaliliśmy się trochę od bramy, lekko uściśnąłem dłoń mojego łabędziątka i pochyliłem nad

jej uchem.

– O co ci chodzi z tym Stephenem? – wyszeptałem.

– Nie przepadamy za sobą. – Zagryzła wargę. – Na pierwszym balu mieliśmy strasznie burzliwą sprzeczkę.

– A o co?

– On nienawidzi czarnych! Nie zauważyłeś?

– Hmm... Nie lubisz hipokrytów, czy rasistów?

– Obu nie cierpię!

– Wystarczyło postawić go przed lustrem. Nie wiem, jak mógłby się wtedy odciąć. Naga prawda wyszłaby na jaw.

– I tak nic by to nie dało – wcięła się Nicol, a w jej głosie słychać było zażenowanie.

– Niby czemu? – Nie potrafiłem jej zrozumieć.

– Stephen – Zozym jak zwykle zaciągnął się dymem – wychował się w trochę innych warunkach. Za jego czasów normalne było poniewieranie i zaniżanie wartości ludzi jemu podobnych. On nie był głupi, chciał coś w życiu osiągnąć. By się wkupić w łaski rasistów, przyswoił ich ideologię.

– To przykre – odparłem po namyśle. – Czasy się zmieniły, powinien się cieszyć, zmienić.

– Niby tak, ale gdy wytniesz drzewu jego korzenie, to umrze. – Nasz palacz wypuścił obłok dymu. – Lepiej pozwolić mu żyć tak, jak mu odpowiada. Nie

zwracać uwagi na jego docinki w kierunku czarnoskórych.

– Niby racja.

Dalej szliśmy już w ciszy. Z każdym krokiem rozmiary zamku wywierały na mnie coraz większe wrażenie. W końcu dotarliśmy do bramy wejściowej znajdującej się w jego wschodniej części. Stała otworem. Widziałem już wewnątrz pierwszej sali i kilkunastu ludzi w niej przebywających. Przez niecodzienną obszerność, pomieszczenie wydawało się puste. Zastanawiał mnie przenikliwy szum, jaki wydobywał się z jego błękitnego wnętrza. Na samym środku znajdowała się fontanna z posągiem Posejdona.



Weszliśmy do środka i gdy tylko postawiłem pierwsze kroki na niebieskich kaflach, zaskoczył mnie wielki wodospad na prawej ścianie. Szum wody wypełniał powietrze. Poczujęm zapach, który natychmiast skojarzył mi się z morzem i plażą, zapach jodu. Na lewej ścianie w oknie mienił się witraż podświetlony paleniskiem. Połyskliwa turkusowa łuna w dziwny sposób oddawała piękno przebłysku słońca przez morską taflę. Szklisty obraz przedstawiał węża o łuskach w atramentowej barwie, zataczał się na kształt koła wokół zielonej wysepki. Szliśmy dalej. Ominęliśmy basen fontanny, zrobiony jakby z barwionego szkła, zdobionego czystym srebrem na kształt pieniających się fal.

– Robi wrażenie, co? – wyszeptała Berenice.

– Robi – odszepnąłem.

– A to dopiero początek. – Pocałowała mój policzek w miejscu kropki. Szybko podchwytowała moje zwyczaje. Przyznam się, że bardzo mnie to ucieszyło.

Sala kończyła się zagięciem. Wystarczyło zrobić kilka kroków i już wchodziło się do innego pomieszczenia, całkowicie odmiennego. Błękit nagle ustąpił krwistej czerwieni. Tutaj również stała fontanna. Rzeźba ustawiona na jej środku i basen były czarne, zrobione bodajże z granitu. Figura przedstawiała grupę nagich mężczyzn i kobiet stłoczonych w jedną bezkształtną masę,

powykrzywianych w spazmie. Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć, czy przedstawiała ból, czy rozkosz. Z kobiecych sutków i męskich penisów tryskały strużki czerwonego wina. Na lewej ścianie znajdował się witraż, który przedstawiał sukuba z czarnym biczem w dłoni na tle piekielnych majaków. Na prawej znajdowały się drzwiczki i schodki z poręczami na kształt płomieni. Gdzieś widniały rogate płaskorzeźby. Z oddalenia prawa ściana wyglądała jak obraz przedstawiający luźną adaptację którejś z dantejskich scen.

W tym miejscu znajdowało się już nieco więcej ludzi, jednak wszyscy, tak samo jak my, mozolnie kierowali się dalej. Za zakrętem czekała na nas sala zielona. Z początku myślałem, że wyłożona jest zieloną wykładziną, jednak szybko się przekonałem, że była to najprawdziwsza żywa trawa, przyszczyżona tak samo, jak na zewnątrz. W tym pomieszczeniu nie było żadnej fontanny, ale za to można było się rozsiaść w licznych altankach całkowicie obrośniętych różnego rodzaju krzewami. Jedne były oplecione przez róże, drugie przez winorośl, a jeszcze inne przez jeżyny lub maliny. Z kolei witraż w tej sali przedstawiał olbrzymie drzewo, z którego gałęzi zwisał potężnych rozmiarów wąż. W powietrzu zaś roznosił się głośno świergot ptaków. Spojrzałem ku górze i daleko pod sufitem ujrzałem ptaki zbite w dźwięczną

chmarę.

– Jak wy to... – Z wrażenia nie mogłem wykrztusić z siebie nic więcej. Miałem wrażenie, że jak Alicja wpadłem do Krainy Czarów.

– Oj! Wampirku, spokojnie. To dopiero trzecia sala.

– Berenice pogłaskała mnie po głowie i zrobiła pobłażliwą minę.

– Dokładnie! – dodał Zozym. – Chodźcie, idziemy dalej. Nie chcę się spóźnić na otwarcie.

– Właśnie! – zawtórowała mu Nicol. – Nie ociągać mi się tam! Nóżki do przodu! I raz i dwa! I raz i dwa!

– Czasami mam wrażenie, że jej dziadkiem był Goering – wyszeptała mi na ucho Berenice. Mój uśmiech wystarczył jej za komentarz.

Szliśmy więc dalej w milczeniu. Podziwiałem w skupieniu roztaczające się przede mną dziwy. W moim umyśle zaczynały się rodzić pytania. Ile to wszystko kosztuje? Czemu ten zamek jest tak wielki? Czy to dlatego, że klub ma tylu członków? Postanowiłem później to zbadać.

Tymczasem przeszliśmy do kolejnej sali, a była ona pomarańczowa. Na jej środku znajdowało się kamienne podwyższenie, szerokie na co najmniej cztery metry. Na nim ułożono piramidę pomarańczy, sięgającą prawie pod sufit. Strach było którąś wyciągnąć. Witraż przedstawiał piękną kobietę, która

wychodziła z morza. Burza jej marchewkoworudych włosów wypełniała niemal całą szybę. Po prawej stronie, przy ścianie, znajdowały się drewniane stoliki z wbudowanymi parasolkami, oczywiście pomarańczowymi. Pod stolikami rozsypano piasek w kolorze pasującym do reszty pomieszczenia. Przed wejściem na sztuczną plażę znajdował się drewniany stopień, który miał uniemożliwić piaskowi rozsypanie się po całej sali.

– No, jeszcze jedna i będziemy mogli usiąść – powiedział Zozym, gasząc niedopałek w piasku.

– Co jest w następnej? – Tym razem to Marilyn mnie uprzedziła. Wręcz podskoczyłem, gdy ją usłyszałem. Zdążyłem już zapomnieć o niej i Herkulesie.

– Główna sala. Tam odbędzie się pierwszy taniec, ucztą i... – Tu przerwał. Sięgnął do kieszeni wewnątrz marynarki i wyciągnął cygaro. – Moja przemowa.

Szliśmy dalej. Za zagięciem znajdowała się biała sala. Po obu jej bokach, wzdłuż ścian, ustawione były długie stoły. Na obu leżał biały obrus przeszywany srebrną nicią. Witraż tym razem przedstawiał anioła w sukni (kolor oczywisty), z białymi włosami, otoczonego przez chmury. Panowało tutaj straszne zamieszanie. Przy wejściu tłoczyła się spora grupa balowiczów. Po całej sali biegały dwie osoby i wskazywały ludziom ich miejsca. Co ciekawe, obie

zdawały się unikać swojego towarzystwa i omijały się jak najszerszym łukiem.

– Do tego z brodą zwracajcie się per Friedrich Engels – wskazywał nam cygarem nasz palacz. Nam, czyli Herkulesowi, Marilyn i mi. – A do tego z bokobrodami i stojącym kołnierzykiem per Carl Rothschild.

– Rothschild to ten, który teraz kaszle? – dopytała Marilyn.

– Tak, dokładnie ten.

Odczekaliśmy chwilę, aż w końcu ten z brodą, Engels, podszedł do nas.

– Panie Churchill! – krzyknął. – Że też pan od razu nie podchodzi i nie mówi, że pan już przybył! Proszę do mnie! Zaraz państwa posadzę!

– Z miłą chęcią! – odpowiedziała Nicol, przepychając się przez tłum.

– Nie wiem, czy to tak wypada, inni byli wcześniej – odparł Zozym trzymający się na uboczu z cygarem.

Jednak Marilyn pociągnęła go za ramię i już szliśmy razem z Engelsem po głównej sali.

– Cóż pana powstrzymało, że przybył pan tak późno, panie Churchill? – spytał brodac.

– Najpierw nasz Dracula wpadł w małą utarczkę z niespokojnymi duchami z miasteczka nieopodal, później musiałem rozwiązać konflikt między

Stephenem, a markizem de Sade.

– Gdzie leżała materia tego nieporozumienia?

– Dosłownie na ośle.

– Niebawem! I doszło do jakichś przemian?

– Jakaś przemiana w naszym markizie zaszła, lecz czy na stałe? Któż raczy wiedzieć.

– No tak, tak... Podziwiam pana, panie Churchill. Chciałem się powstrzymać, ale nie mogę! Dwie najkrótsze stażem członkinie naszego zgrupowania siedzą przy jednym stole razem z prezesem Tepesem! I to tak blisko! Aż serce w mej lewej piersi kołacze mocniej! Toć to załóżek rewolucji! Zrównania klas! Gdyby nie pan, panie Churchill, najpewniej trafiłoby się im miejsce na zagięciu! – Mówiąc to, wskazał jeden odosobniony stoliczek, który niemalże znajdował się w pomarańczowej sali. – Wyjawi mi pan łaskawie, panie Churchill, jaka będzie materia pańskiego przemówienia?

– No cóż – Zozym pociągnął z cygara – niewiele mogę obiecać. Jedynie krew, pot i łzy. – Uśmiechnął się szeroko. Najwyraźniej miał ten cytat przygotowany wcześniej i tylko czekał na okazję taką jak ta, by zabłysnąć. – Liczę, że podsunę rozwiązanie klęski naszych czasów.

– A jakże! Tego się właśnie po panu spodziewałem! Och, na Marksa i na mnie, nie mogę się doczekać!

Proszę bardzo, to państwa miejsca. Pan Churchill ze swoją partnerką tutaj, zaraz obok prezesa. Nasza droga baletnica naprzeciwko, razem ze swoim partnerem, a pani czarownica z panem Herkulesem tuż obok. Radziłbym dobrze zapamiętać. – Tu swój wzrok skierował na mnie, Marilyn i naszego mocarza. – Prezes Tepes nie lubi niesubordynacji. Wręcz nie cierpi nieprzestrzegania reguł, a jego gniew jest srogi... Oj, straszliwie srogi. Tak czy owak, niedługo bal powinien się rozpocząć. Jak tylko wszyscy poznają swoje miejsca, prosiłbym o zebranie się w pomarańczowej. Ustawimy państwa do tańca.

I odszedł.

Przytuliłem Berenice, by móc spokojnie szeptać jej do ucha.

– Już wiem, czemu przebrał się za Engelsa.

– No to szybki jesteś. – Nicol dźgnęła mnie palcem w bok. – Wybitny obserwator. Naprawdę!

– Oj, nie przejmuj się nią, wampirku. – Berenice uścisnęła mnie mocniej. – Dużo dziś przeszedłeś, biedaczku. – Ucałowała moją koszulę. Ja w odpowiedzi ucałowałem jej rude pukle. Powoli zaczynał się z tego robić nasz intymny rytuał.

– Amatorzy, pokażę wam, jak to się robi! – wykrzyknęła Nicol, chwyciła Herkulesa i stojąc na czubkach palców, zaczęła go namiętnie całować

w usta.

– Moi drodzy, bez takich! – zareagował Churchill.

– Zozym! – usłyszałem piskliwy głos za sobą.

Gdy się obróciłem, zobaczyłem małą dziewczynkę. Miała około dziesięciu lat jak na moje oko. Była przebrana za aniołka.

– Lola! – Churchill ukląkł na jedno kolano i rozłożył ręce. Mała wpadła w jego objęcia. Uściskali się, a zaraz potem Zozym spojrzał na nią z lekkiego ukosa, tak, by następne jego słowa zabrzmiały nieco poważniej. – Mam do ciebie dużą prośbę. Nie mów do mnie Zozym na balu, dobrze? To nieładnie zdradzać wszystkim, jak mam na imię.

– Eee... To jak mam do ciebie mówić?

– Najlepiej „panie Churchill”.

– Ech, „panie”?

– Może być bez.

– A ja to co, ty mała diablico?! – Nicol stała z założonymi rękoma na biodrach i taksowała ich wzrokiem.

– Oj! – Aniołek odskoczył od Zozyma i przytulił się do Nicol, ta również przyklęła. – Ciebie też kocham! Ale mniej!

– Wielkie dzięki. Poprawiłaś mi teraz humor – odparła Nicol z sarkazmem. – Tak w ogóle, to jak się wydostałaś z sierocińca?

– Wujaszek Otto mnie zaadoptował. – Wysunęła rączkę. – Jest tam.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Dostrzegłem mężczyznę około czterdziestki przebranego za Sherlocka Holmesa. Stał z wyciągniętym notesikiem i rozmawiał z Rothschildem.

– Panie Rothschild, naprawdę nalegam, niech mi pan coś zdradzi, jest pan przecież niezwykle utalentowanym bankierem – dotarło do mnie.

– Być może później. – Odkaszlnął. – Teraz muszę posadzić resztę oczekujących.

Holmes westchnął i odpowiedział:

– Trzymam za słowo – pożegnał swojego rozmówcę, potem się rozejrzał i krzyknął: – Lolu!

– Tu jestem, wujaszku!

– Maleńka, nie uciekaj mi tak! Widzisz, że wujaszek ma też inne pilne sprawy na głowie. – Zbliżył się do nas i oznajmił: – Witam, nazywam się Otto Otto, a państwo?

Między nami panowała cisza, tylko wymienialiśmy się spojrzeniami. Nawet Lola nie pisnęła słówka, pamiętając Zozymową przestrozę.

– Czyżbym powiedział coś nietaktownego? – spieszył się.

– Brawo, Sherlocku! – Nicol nie mogła sobie odpuścić tak pięknej okazji na kolejną uszczypliwą

wstawkę.

– Panie Holmes, prosiłbym pana – Zozym zaciągnął się – by pan nie wypytywał o nasze prawdziwe miana. Klubowicze cenią sobie prywatność. Proszę zrozumieć, niektórzy tutaj są naprawdę wysoko postawionymi personami. Byłby to niekoniecznie dobry rozgłos, gdyby się okazało, że wszyscy się znają.

– W takim wypadku przepraszam uniżenie. Popełniłem straszne *faux pas*. Rozumiem, że jest pan... Churchillem?

– Zgadza się.

– Mój aniołek wspominał mi o panu. Czy pozwoliłby pan zadać sobie kilka pytań? Taka persona z pewnością dysponuje informacjami, które umykają nam, zwykłym maluczkim śmiertelnikom.

– Może później. Najpierw niech odbędzie się ceremonia.

– Czarownico – Lola przeciągnęła pierwsze „o” wymawiając to słowo – a pokażałabyś mi, jak latasz na miotle?

– Oj, aniołku, tak przy ludziach? To nie wypada! Nie chcę się przechwalać.

– No dobra. – Mały aniołek znów przeciągnął „o”. – Ale kiepska z ciebie czarownica!

– Chodźmy. Zaczęto już ustawiać pary – odezwała się Berenice.

Tak właśnie zrobiliśmy. Wolnym krokiem skierowaliśmy się ku pomarańczowej.

– Co tutaj robi ta dziewczynka? – spytałem szeptem Berenice.

– Masz na myśli Lolę?

– Tak.

– Jest członkinią klubu... i to ważną, wysoko postawioną.

– Dziecko?

– To nie tak do końca... Ech, po prostu jej rodzice mieli bardzo duży majątek, ale zginęli. Powiedzmy, że otrzymała miejsce w klubie włącznie z resztą spadku.

– I była w sierocińcu? Coś mi tu nie pasuje.

– Straszne zamieszanie było z tym spadkiem. Powinieneś wiedzieć, jak to jest z biurokratami. Nikomu nie zależało na małej. Wszyscy chcieli się jej pozbyć. Przypuszczam, że ten cały Otto Otto doskonale wiedział, z kim ma do czynienia, gdy wziął małą pod opiekę. Chyba liczy, że coś mu skapnie.

– Patrząc po tym, jak stara się ze wszystkich coś wyciągnąć, mogłoby się zgadzać... To trochę smutna historia.

– Nawet nie pytaj o szczegóły. Lola naprawdę dużo wycierpiała. Choć jako dziecko bogaczy nie powinna.

Nie odpowiedziałem. Nie chciałem już zgłębiać tego tematu. Na szczęście byliśmy już przy samym

zagięciu. Panował tam straszny tłok i tumult.

– Chodź. – Berenice pociągnęła mnie za sobą. – I tak będziemy prawie na samym końcu. – Zaczęła przeciągać mnie przez tłum. – Stresujesz się?

– Trochę. Szkoda, że nie znam kroków.

– E tam! Poradzisz sobie. Tańczyłeś kiedyś poloneza?

– Zdarzyło się.

– No to tu jest prawie tak samo. Powiedziałabym, że to taki *macabre* – Roześmiała się, a ja nie wiedziałem, dlaczego. – Zresztą, to nie my prowadzimy. Idziesz za parą z przodu i tyle. W razie czego cię szturchnę.

– Byle nie za mocno, bo się jeszcze skulę i padnę na ziemię.

– Przestań! Nie żartuj sobie tak. Pan prezes by cię zabił.

– A właśnie, gdzie on jest?

– Był na samym początku. To ten w czerwonej masce.

– Musiałem przegapić.

– Spokojnie, jeszcze się napatrzysz. Dobra, czekamy tutaj.

Przystanęliśmy. Rothschild i Engels ustawiali parę za parą, jednak większość klubowiczów mniej więcej kojarzyła, gdzie ma się ustawić, więc cały proces

przebiegał całkiem sprawnie. Rzeczywiście, byliśmy prawie na samym końcu. Przed nami stała Nicol, a za nami Engels.

– Przepraszam, a czemu pan tak daleko? – spytałem go, umierając z ciekawości.

– Taki zwyczaj i obowiązek. Jeden z kamerdynerów musi zamykać korowód.

– Ach, rozumiem.

Nicol podeszła do mnie.

– Za pajacowanie – szepnęła na ucho.



Odkiwnałem jej tylko porozumiewawczo. Wtedy usłyszeliśmy fortepian. Chwyciłem Berenice za dłoń. Delikatność jej skóry zadziałała jak balsam na zdenerwowanie. Uspokoilem się. Moją uwagę przykuła melodia. Kojarzyłem skądś ten rytm, lecz nie mogłem sobie przypomnieć nazwy utworu. Po chwili rozbrzmiały słowa: „Moja krew, co chyłkiem płynie w głębi ciała, które kryje się...”. Korowód ruszył naprzód. Mroczne słowa piosenki odbijały się od białych ścian. Wypełniały pomieszczenia. „Moja krew” tłoczyła makabryczną atmosferę w zamek, w klubowiczów i w nas, gości. Takt tańca był na trzy, co trzeci krok wykonywaliśmy lekki skłon, a za każdym razem gdy padało słowo „krew”, skłon robił się głębszy.

Taneczno-makabrycznym krokiem weszliśmy do białej. Korowód zaczął się dzielić i tworzyć figury. Najpierw zrobiliśmy ósemkę, później podzieliliśmy się ponownie i powstały dwie. Następne były stykające się okręgi, niby koła zębate. Potem stworzyliśmy tunele. Muzyka wciąż niosła się po sali. „Moja krew” uderzała wraz z biciem mojego serca. Słowa piosenki odbijały się wewnątrz mojego umysłu. Mój spokój się gdzieś ulotnił. Czułem się dziwnie. Miałem wrażenie, że nie pasuję do tego grona, że nie jestem na swoim miejscu, zupełnie jak w klubach z Zozymem. Choć tam przeszkadzała mi celebrowanie ludzkiej głupoty,

tutaj moje zagubienie powodowały brak zrozumienia i lekki strach. Koniec z zagłębianiem się w moje przemyślenia! Wracamy na bal.

O dziwo, nikt się w tańcu nie pogubił. Nawet ja nie popełniłem żadnego znaczącego błędu. W tych nutach i w tym miejscu tkwiła jakaś niezwykła siła, która przejęła nade mną kontrolę i pociągnęła mnie wraz nurtem rytmu.

Piosenka zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Zozym wyznał mi później, że na specjalną prośbę klubu, autor utworu dopisał jeszcze kilka zwrotek. Jednak w końcu dobiegło do nas bicie zegara. Zastygłem w bezruchu. Głuche, metaliczne wibracje wypełniały powietrze. Muzyka się zlała w rytmie z każdym uderzeniem i, przytłumiona wibrującym w powietrzu echem, zaczęła cichnąć. A my, to znaczy ja i reszta balowiczów, staliśmy, jakby się zatrzymał czas. Bicie zegara odbijało się w moim umyśle i wywoływało jedną falę przerażenia za drugą. W sumie naliczyłem ich siedem.

– Co to było? – spytałem Berenice, gdy zegar ucichł.

– Pokażę ci później. – Pocałowała mnie w policzek.
– To z ostatniej sali.

Wszyscy zaczęli się rozchodzić do stołów. Przez to całe zamieszanie i taniec zdążyłem się już pogubić i zapomnieć, gdzie są nasze miejsca. Na szczęście

Berenice miała głowę na karku. Chwyła mnie za dłoń i razem poszliśmy ku naszym siedzeniom. Friedrich się nie mylił. Siedzieliśmy prawie naprzeciwko prezesa Tepesa.

Nawet w towarzystwie nietuzinkowych przebierańców się wyróżniał. Połowę twarzy przesłaniała mu karmazynowa maska. Groza wręcz z niej biła i swoim uderzeniem powalała na łopatki każdego, kto się z nią zmierzył. Wyrastały z niej guzy, lecz nie były to rogi. Nie miała nic wspólnego z diabłem czy demonem, o nie. Przedstawiała raczej facjatę człowieka dotkniętego jakąś dziwną, deformującą ludzkie ciało chorobą. Spod maski wyrastały długie, gęste, czarne wąsy prezesa. Chude policzki i szpiczastą brodę miał gładko ogoloną. Czarny kołnierzyk, spięty czerwonym krawatem, ciasno opinał jego szyję. Karmazynowa marynarka z drogiego, lśniącego materiału tylko dopełniała już wyróżniający się wygląd.

Gesty zdawał się ograniczać do koniecznego minimum. Zupełnie, jakby wszystkim jego ruchom musiał przyświecać jakiś cel. Sprawiał wrażenie bardzo twardego, nieustępliwego. Patrząc na niego, miałem wrażenie, że nie jest to nawet prawdziwy człowiek. To była istna esencja niczym niezmaconej, potężnej woli, opiętej ludzką skórą i ubraniami. Wystarczyło jedno spojrzenie oczu spod czerwonych

brwi maski, by zatrzymać bicie ludzkiego serca.

Obok niego siedziała młodo wyglądająca kobieta. Jej czarne jak bezgwiezdna noc włosy były opięte czerwonym czepkiem. Głowę okalał nienaturalnie duży, biały i pofałdowany kołnierz jej sukni. Wyglądał zupełnie jak aureola na obrazach ze świętymi. Kołnierz przechodził w jednolitą suknię i ujawniał ściśnięty dekolt. Poniżej zaczynał się już czerwony gorset, który mocno uwydatniał wąską talię partnerki prezesa. Spod paska, wyznaczającego granicę między gorsetem a suknią, wypływał kawałek białego, koronkowego materiału, niby fartuch.

– Do niego – szeptała mi Berenice, widząc, gdzie utkwiał mój wzrok – zwracaj się per panie Tepes albo lepiej prezesie Tepes, a tak właściwie to najlepiej jakbyś w ogóle nie zaprzętał mu głowy swoją osobą. Pewnie i tak nie będzie chciał z tobą rozmawiać. Do niej możesz się zwracać per baronowo albo baronowo Elżbieto. Jednak nie licz na jakiś odzew. Od kiedy jest z prezesem, zrobiła się bardzo małomówna. Zozym mówi, że należy ją traktować jak przedłużenie Tepesa. Straszne z nich snoby.

Pokiwałem tylko głową. Churchill siedział po prawicy szkarłatnej maski, a my naprzeciwko naszego palacza. Przez tak niewielką odległość wzrok mój i wodza tego klubu w końcu się spotkał. Miałem wrażenie, że zagląda mi prosto w zakamarki duszy. Widzi mnie

w całości, razem z moimi myślami i wspomnieniami. Zgniatał mnie od środka, wymuszając uległość i poddanie.

Nie mogąc tego znieść, przerzuciłem swoje spojrzenie dalej. Po lewicy baronowej siedział szczupły mężczyzna o kwadratowej głowie, z niechlujnie zaczesanymi włosami. Pomimo usilnych prób zawładnięcia nad nimi, każdy jego kosmyk żył własnym życiem. Spod gęstych, krzaczastych brwi patrzyła para głęboko osadzonych oczu. Były duże i nie pasowały do reszty jego twarzy. Przywodziły na myśl oczy małego chłopca, który dotknięty biedą, chorobami i wszelakiej maści nieszczęściem szuka choć odrobiny pociechy, choć odrobiny czułości. Patrząc w nie, nabierało się pewności, że ten mężczyzna nie mógłby nikogo skrzywdzić. I na tym kończyły się uroki jego fizjonomii, poza oczami bowiem nie miał w sobie nic pięknego. Jego twarz stanowiła istną karykaturę. Czoło na jego kwadratowej czaszce było nader duże. Nos miał przekrzywiony i przywodzący na myśl ziemniaka. Pod oczami znajdowały się dwa ciężkie worki, które tylko podkreślały nienaturalną głębię jego spojrzenia. Siedział w ciszy i spokoju, dłubiąc co chwilę coś w notesiku. Obok niego siedziała piękna blondynka, ubrana w prostą, białą suknię. Za jedyną ozdobę miała chustę z haftowanymi wzorami w pstrokatych

kolorach i wianek z kwiatów na głowie.

– Berenice, a ta para? Wiesz może, za kogo się przebrała?

– Mężczyzna to Edgar Allan Poe, a kobieta... nie wiem, nie mam pewności.

– Jesteś pewna co do tego Edgara?

– Przebiera się tak co roku.

– A! No chyba, że tak.

Obok Poego i blondynki siedział Stephen i jego towarzysza. Była otyłą, czarnoskórą szatynką. Jej twarz sprawiała bardzo miłe wrażenie; szczerzy uśmiech mógł zjednać sobie każdą osobę, każdego gbura. Byłem przekonany, że właśnie to spotkało Stephena. Jednak coś mi nie pasowało w tej parce. Po pierwsze, Cora była dużo młodsza od Stephena. Jak na moje oko, nie mogła mieć więcej niż trzydzieści lat. Stephen z kolei musiał mieć dużo więcej niż sześćdziesiąt. Druga rzecz to sposób, w jaki ją traktował. Gdy siedzieliśmy przy stole, ewidentnie próbował jej coś wytłumaczyć lub najzwyczajniej ją zbesztać. Widząc, że ma jego słowa za nic, skwitował to machnięciem i siedział naburmuszony z rękoma założonymi na piersiach. Jakoś nie potrafiłem pojąć, jakim cudem ją tu zaciągnął, ani co miał takiego w sobie, że ta kobieta zaprzętała sobie nim głowę.

Po mojej lewej siedziała Lola i Otto. Małej się

najwyraźniej nudziło, bawiła się sztuczkami. Sherlock zwrócił jej na to uwagę, a potem zaczął wypytywać o coś Juliette, towarzyszkę de Sade. Ta jednak musiała być albo źle poinformowana, albo nieskora do rozmów, bo szybko skończył i na wzór Edgara zaczął skrobać coś w notesie.

Na prawo od Zozyma siedział Carl Rothschild razem ze swoją partnerką. Miała fioletową suknię zapinaną pod szyją. Na wysokości jej biodra pofałdowane warstwy materiału splatały się w różę. Jak dla mnie brakowało jej tylko parasolki i kapelusza z dużym rondem, a wyglądałaby jak szlachcianka wyciągnięta z dziewiętnastego wieku.

Obok nich siedzieli Cezar z Kleopatrami. Między Juliuszem a Carlem zawiązała się dysputa, którą prowadzili ściszymi głosami. Słyszałem tylko strzępki słów i pokasływanie Rothschilda.

– Nie wiesz, co mu dolega? – spytałem Berenice.

– Rothschildowi?

– Tak.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Zawsze tak pokasływał. Może ma coś nie tak z płucami? Możesz go później spytać.

– Jeżeli będę miał okazję, to spytam... Nie sądzisz jednak, że byłoby to nietaktowne? Wiesz, nie chciałbym go urazić... Zozyim mówił, by zwracać na to

uwagę.

– Może rzeczywiście, ale ja bym się tym nie przejmowała. Churchillowi chodziło raczej o niewdawanie się w dyskusje ze Stephenem o głupocie jego rasizmu.

– Czyli na pierwszym balu aż tak mocno cię zdenerwował?

– Dokładnie. Dosłownie nie mogłam go znieść... Ech, zaczęłam się wydzierać jak jakaś gówniara. Ale skończmy ten temat. Proszę. – Przez chwilę rozglądała się po pomieszczeniu szukając dobrego tematu zastępczego. – Oho, à propos psucia atmosfery, Engels tu idzie, zaraz się zaczniesz. Spójrz.

Berenice skinieniem głowy wskazała mi kierunek. Zobaczyłem jak Engels, idący od strony pomarańczowej sali, przepycha się do prezesa. Był czymś wyraźnie podirytowany. Jego ruchy były dziarskie, twarz wykrzywiona w gniewnym grymasie. Gdy w końcu znalazł się między Tepesem a Elżbietą, pochylił się, jakby chciał mu coś wyszeptać, ale mówił tak donośnym głosem, że wszyscy go słyszeli.

– Ja przepraszam, że przeszkadzam, drogi prezesie – na jego twarzy pojawił się pot – ale chciałbym prezesowi uprzejmie o czymś donieść.

– Słucham. – Głos Tepesa był niski, bardzo niski. Wypełniało go poczucie zażenowania i niczym

nieskrywanej niechęci. – Byle szybko.

– Otóż ten cały bankowiec Rothschild, podły zboreźnik, usadził mnie za zagięciem! Wszak to się nie godzi, by taka znamienitość jak ja spędziła bal na wygnaniu w pomarańczowej sali. Mam świadomość, że również byłem odpowiedzialny za wyznaczanie miejsc. Jednak jako prawdziwy engelista poświęciłem się w całości sprawom maluczkich. Zadbalem, by każdy nisko postawiony członek naszego klubu miał dogodne miejsce i nie został pominięty. Co ten tam – wskazał lekkim ruchem ręki miejsce obok Zozyma i Marilyn – zapluty Żyd. – Podniósł głos tak, by nawet na krańcach stołu dało się go usłyszeć. – Engels postanowił wykorzystać przeciwko mnie.

– Z całym brakiem szacunku – Rothschild aż wstał z podniecenia – ten krzywy lewak sam mi doniósł, że ostatnimi czasy coraz bardziej ciągnie go na wschód. Dobrałem mu więc miejsce, które powinno mu jak najbardziej odpowiadać! Bardziej wysuniętego na wschód nie byłem w stanie znaleźć. Tak więc, drogi Friedrichu, teraz możesz zaczynać swoją lewą rewolucję wśród pomarańczy! Nie krępuj się! Poopowiadaj im o podniesieniu podatków! O systemach socjalnych dla ubogich! Pomarańcze z pewnością nie wytkną ci błędu!

– Uważaj, żebyś się nie przeliczył, ty chciwy Żydzie!
– odkrzyknął mu czerwony na twarzy Engels.

– Drogi Friedrichu. – Prezes nie wstał, by ich uspokoić, nawet nie podniósł głosu. Jak tylko zaczął przemawiać, wszelkie szумы ucichły. Setki oczu wpatrywały się w jego karmazynową postać. – Masz jakąś propozycję, czy przyszedłeś tu tylko robić zamieszanie?

– No tak... mam... Drogi panie prezesie... Panie Tepesie najmilszy... Wszak wie pan, że przy głównym stole... czyli tym... siedzi kilka osób... no jakby to ładnie ująć... nie najwyższych rangą... by tak nawet rzec... niezastużonych naszemu zgromadzeniu...

– Tak zwani maluczcy?

– No rzeczywiście... tak.

– I życzyłbyś sobie, by ci maluczcy, o których tak pięknie dbałeś, teraz zamienili się z tobą miejscem. Dobrze wnioskuje?

– Życzył... to duże słowo... a jednak...

– Tak czy nie?

– Tak!

– Więc sądzisz, że teraz będziemy zmieniać ustawienie tylko dlatego, że sam nie potrafiłeś o siebie zadbać?

– No tak. – Engels zaczął się kurczyć w sobie. – Ale... ale...

– Nie jękać mi się tu! Zapytam inaczej. Chciałeś zburzyć cały ład panujący na naszym balu tylko

dlatego, że nie siedzisz na odpowiednio wysoko usytuowanym stołku?

– Tak...

– Wynoś się do pomarańczowej! I z łaski swojej odsuń się od przejścia tak, byś nie mógł się nawet za nie wychylić. Nie chcę cię widzieć do dwunastej! Nie będę tolerował żadnej niesubordynacji i zamieszania przez jakieś widzimi się.

– A... a...

– Jeszcze tu stoisz? Mam ci przypomnieć, jaka kara jest wpisana w regulaminie za nieposłuszeństwo?

– Kara jest tylko jedna... Emm... Tak jest. Już odchodzę. Proszę mi przebaczyć.

Zwiesił głowę w uznaniu swojej klęski i pomaszerował w kierunku pomarańczowej. Tymczasem prezes powstał i zaczął swoją przemowę. Jego niski, donośny głos niósł się po sali i odbijał od ścian. Dookoła zapanował cisza. Wszyscy wbili w niego wzrok.

– Sądzę, że każdy już zdołał odnaleźć swoje miejsce. Więc pozwolę sobie zacząć. Cieszy mnie niezmiernie to, że mogliśmy się znów zebrać. Jak co roku, w przeddzień Dnia Zmarłych, nasze zgrupowanie urządziło bal. Jest to nasza odwieczna tradycja. Osobiście uważam, że jej kultywowanie nie jest tylko obowiązkiem, lecz także zaszczytem. Od pokoleń

nasze zgromadzenie wyróżniało się swą elokwentną formą, czy wyniosłością intelektu, ale i czynem. Wszak, jak większość mogła już zdać sobie sprawę, niejednokrotnie, choć zza kulisów, odcisnęliśmy swój ślad w historii. Jednak niech was nie zwodzi radosna aura tej uroczystości. Miast zapatrywać się w dawne czasy naszej świetności, nadszedł najwyższy moment, by rozważyć, jak do tej świetności wrócić. W tym celu poprosiłem obecnego tu pana Churchilla, by wysnuł koncepcję, dzięki której nie tylko znów zmienimy bieg czasów, ale również zadbamy o przyszłość całej ludzkości. Jestem pewien, że niejeden z was tu zebranych zdaje sobie sprawę z powolnego upadku współczesnej cywilizacji. Musimy temu przeciwdziałać. Bo jak nie my, to kto to uczyni? Tak więc liczę, że prócz upojnego oddawania się przyjemnościom, wysnujemy dziś wnioski i plany, które pchną nas ku najwyższemu z celów – tu przerwał, a napięcie w sali stało się wręcz namacalne – przetrwaniu naszego gatunku! Mam jednak świadomość, że głód może nam przeszkodzić w snuciu nowych koncepcji, w pojmowaniu słów naszego oratora. Tak więc: niech się zacznie ucztą!

Wtedy kiwnął ręką, a z drzwi po bokach sali wyszli kelnerzy w białych marynarkach. Każdy niósł przed sobą zakrytą tacę. Na jednego balowicza przypadał jeden kelner. Ustawili się za plecami każdego

z balowiczów i, jak jeden mechanizm, odsłoniли tace i postawili je na stołach przed nami.

Usłyszałem gderliwe okrzyki Stephena. Spojrzałem w jego kierunku i zobaczyłem, że łączy swojego kelnera. Nie uciekło mojej uwadze, że jemu jako jedynemu usługiwała czarnoskóra postać.

– Ty tępa, murzyńska dupo! Nawet podać do stołu dobrze nie potrafisz. Kto wpuścił taką czarną masę jak ty na salony? No kto? – Jego słowa niosły się echem. Nikt nie zwrócił na to większej uwagi. Nikt się mu nie przeciwstawił. Najwyraźniej wszyscy już wiedzieli, że tego starca nie nauczy się nowych sztuczek. Tylko Berenice pod stołem uścisnęła mocnej moją dłoń. Czułem, jak targają nią emocje, które usilnie maskuje. Odwzajemniłem jej uścisk. Chciałem by czuła, że ma we mnie oparcie. Choć sam też nie odważyłem się odezwać.

Zamiast tego skupiłem się na podanym mi posiłku, a podano mi najprawdziwszego homara! W całej sali zapanował szum. Dookoła nas wybuchały ożywione dyskusje. Zozym rozmawiał z Rothschildem o jakichś przedsięwzięciach. Nie umknęło to Sherlockowi, który swój notes przedkładał w tym momencie nad jedzenie. Obok Casanova oddawał się dyskusji z de Sade.

– Panie de Sade...

– Markizie de Sade!

- Przepraszam – spieszył się Casanova. – Tak więc, markizie de Sade, muszę panu przyznać, że jest pan niezwykłym myślicielem. W końcu przeczytałem pańską książkę i po prostu *c'est magnifique!* Żałuję, że odkładałem ją tak długo.

- O! Dziękuję, a czy zaczerpnął pan trochę inspiracji? Spróbował pan czegoś?

- Och! By to raz! Jednak przyznam się, że większość uczynków lekko przekracza moje poczucie estetyki. Może mnie markiz uznać za francuskiego pieska, jednak jestem nieco zbyt delikatny na – tutaj zawiesił na chwilę głos, by odnaleźć odpowiednie słowa – na tak drastyczne środki.

- Rzeczywiście, uważam to za zwykłe biadolenie. Po co panu ta estetyka? Ja osobiście nie lubię, by cokolwiek stało pomiędzy mną a możliwością poczucia czegoś nowego. Czasem, gdy pogrążę się w mroku i brudzie, zaczynam bardziej doceniać światło i czystość. A życie, panie Casanovo, trzeba smakować w całości. Poznać wszelkie jego smaczki. Czasem i te, które mogą wzbudzać odrazę. – W tym momencie de Sade odwrócił się do Loli i ją pogłaskał. – Tylko po to, by lepiej cenić pozostałe, bardziej przyzwoite.

- Stary zboczeniec! – wykrzyknęła Nicol, której uwadze nie uszły umizgi wcześniejszego mówcy do aniołka.

- Doszły mnie pogłoski, że pan również miał

problemy przy wejściu. – De Sade puścił przytyk Nicol mimo uszu.

– Ach, owszem. Co roku próbuję przyjść z więcej niż jedną partnerką, jednak jak dotąd – bezskutecznie. Tego wieczoru muszę się nacieszyć Teresą. – Obrócił się i położył dłoń na policzku swojej partnerki. Dziewczyna się zarumieniła i speszyła. Do tego momentu siedziała, milcząc i grzebała widelcem w jedzeniu. Biedaczka, nie do końca potrafiła się odnaleźć w realiach balu, a ja w tym momencie obdarowałem ją pełnym zrozumieniem i cichą, duchową sympatią.

– Niech mi pan wyjawi łaskawie – ciągnął temat de Sade – czym ta piękność się wyróżniała wśród konkurentek?

Przypuszczam, że miał za nic nie tylko przytyki Nicol, ale i to, że podmiot jego pytania wszystko doskonale słyszał. Teresa zresztą też nie kryła się ze swoim oburzeniem. Rzuciła wręcz widelcem w talerz. Patrząc w twarz Casanovy, kiwnęła głową, mówiąc bezdźwięcznie „nie”. Gdy ten się odwrócił od niej, by jednak odpowiedzieć na pytanie, założyła ręce na piersi, ale oparła się na stole tak, by lepiej słyszeć, co Giacomo o niej powie.

Ten pochylił się nad uchem starca i wyszeptał mu odpowiedź. Reakcja de Sade była bezcenna. Rozdziawił usta ze zdziwienia i przez chwilę

zaniemówił.

– No tego się nie spodziewałem! – odpowiedział. – Naprawdę nigdy nic?

– Nigdy nic – potwierdził Giacomo.

– Toć to rzadkość! Odnalazł pan Graala!

– Schlebia mi pan. Po prostu trafiła mi się jak ślepej kurze ziarno!

Teresa była wściekła. Oto jej partner nie zważył w ogóle na fakt, że ona siedzi tuż obok i wszystko słyszy.

– A zdradzi mi pan, skąd taka pewność? Jakoś kilka razy się naciąłem na kobietach i ich obietnicach w tym temacie. Nie ufałbym na słowo.

– Drogi Markizie, nie będę się wdawał w szczegóły, lecz – Casanova ściszył głos – sam sprawdzałem.

Teresa uderzyła pięścią w stół.

– No popatrz, popatrz. Jak się pan powstrzymał? Ja bym nie podołał takiemu wyzwaniu.

– Czasem lepiej odłożyć przyjemności na później, na bardziej dogodną sytuację, by się móc nią nacieszyć w pełni.

– Ponoć prawda... Ech, Juliette, spójrz na koleżankę. Powinnaś brać z niej przykład.

– Chyba już za późno – skwitowała Nicol, wychylając duszkiem lampkę wina.

Juliette trwała w bezruchu. Jej twarz nie wyrażała

żadnych emocji. Zamiast odpowiedzi, nadzieją na widelec kolejny kęs i wzięła go do ust. Sprawiała wrażenie, jakby była w zupełnie innym miejscu. Sama. W ciszy.

– Markizie, mogę również się o coś pana spytać? – Nadeszła kolej, by to Casanova wycisnął coś z de Sade.

– Ależ oczywiście, proszę się nie krępować.

– Jednak jest to dość niedyskretne pytanie, mam pewną barierę moralną...

– Ależ proszę się nie przejmować. Dla mnie nie ma tematów tabu. Proszę, niech pan się niczym nie krępuje.

– Dotarły do mnie pewne wieści czy ciekawostki. Ciężko jest mi dać im wiarę. Niemniej jednak, trawi mnie ciekawość...

– Proszę już nie owijać w bawełnę – na dźwięk ostatniego słowa Stephen aż podskoczył i zaczął się zaciekawiony rozglądać – i zapytać wprost!

– Dobrze! Markizie, jestem w stanie zrozumieć kiłę, rzeżączkę, HIV! Ale huba? Na litość boską, huba? – Stephen tylko machnął ręką i wrócił do swojego posiłku.

– No cóż mogę powiedzieć, panie Casanovo... To prawda... Mnie również trawiła ciekawość. Chciałem spróbować czegoś nowego.

– Zgrzybiały staruch. – Nicol kończyła już kolejną lampkę.

Dyskusję przerwał prezes.

– Drodzy biesiadnicy, widzę, że skończyliście już się posilać i marnujecie czas na plotkowanie. Dość już lenistwa, czas na przemowę. Proszę o skupienie!

Gestem nakazał Zozymowi powstać, a sam usiadł.

– Dziękuję, panie prezesie. – Churchill rozejrzał się po pomieszczeniu. Budował napięcie. – Chciałem, by moje przemówienie było proste. Ale nie będzie. Chciałem przedstawić jeden konkretny cel i kierunek. Lecz tego nie zrobię. Chciałbym obiecać wam krew, pot i łzy. Nie obiecuję. Nie dlatego, że nie chcę. Dlatego, że nie mogę. Lubimy mówić potocznie, że świat schodzi na psy. Dzieje się z nim coś złego. Widzimy to. Doświadczamy tego. Lecz czy potrafimy „to” nazwać? Problem, przed którym obecnie stoimy, jest tak złożony, tak skomplikowany, że zdaje się nas przytłaczać. Krążymy po świecie i czujemy, że w każdym miejscu napotykamy na tę samą zgniliznę. Zło, którego nie potrafimy określić jednym słowem, nas otacza. Jest wszędzie. – Przerwał, zaciągnął się dymem. – Czym jest? Jeśli je pojmiemy, będziemy zdolni je zdusić w zarodku. Odbijałem się od ścian. Próbowałem dotrzeć do esencji „tego”, ująć je. Nie dałem rady. Być może ciężko w to uwierzyć, lecz okazałem się za głupi. Na szczęście, dziwnym

zbiegiem losu, poznałem pewnego człowieka. Jest tu dziś z nami. – Wskazał cygarem w moim kierunku. Wszyscy wbili we mnie wzrok. Nagle presja spadła na mnie. – Ten zwykły, szary człowieczek, zdawałoby się typowy i nieciekawym, znalazł odpowiedź. A brzmi ona następująco – ponownie się zaciągnął – świat chyli się ku upadkowi, ludzie się odczłowieczają, bo... jest im dobrze. – Uśmiechnął się. – Przyczyną zła jest dobro. Ludzie przez epoki próbowali sięgnąć gwiazd i... sięgnęli. Próbowali uwolnić się z pętających ich oków, dzikiego zwierzęcego świata i... się uwolnili. Korzystając z biblijnych alegorii, chcieli stworzyć raj na ziemi i... stworzyli. Tak, drodzy państwo. Żyjemy w Edenie. Wolni od ciągłej walki o przetrwanie, wolni od hamulców, bez myśli „stop, tego nie da się zrobić” ludzie zatracili się w swoim dobrobycie. Dobro i zło zlało się w jedną, bezkształtną, szarą masę, którą każdy może formować, jak mu się podoba, jak mu w danym momencie pasuje. Ludzkość dziś żyje bez żadnych zobowiązań. Nie chcesz mieć dzieci? Nie ma problemu, zabezpiecz się! Zapomniałeś? Usuń je! Chcesz mieć dom? Nie masz pieniędzy? Weź kredyt! – Rothschild mocno odkaszlnął. Nie wiem, czy to było zamierzone, jednak nikt nie zwrócił na to szczególnej uwagi. – Chcesz mieć pracę marzeń? Damy ci ją! Chcesz uciec przed tym dziwnym uczuciem, że coś się w świecie pieprzy? Zagraj sobie w grę! Ściągnij nową

aplikację na telefon! Zajmij się czymś, co ci zapełni czas i nie pozwoli myśleć. Bez wysiłku, bez problemu, bez zobowiązań, bez konsekwencji. Oto domena współczesności. Niestety, pod tymi sloganami kryje się prawda, trudna do dostrzeżenia, a jednak namacalna. Bez sensu. Bez przyszłości. Bezmyślnie. Ludzie rozkochali się w bezwysiłkowym życiu. Przywykli do łatwych i przyjemnych rozrywek, które nic ich nie kosztują. – Dym osmalił płuca Churchilla, po czym uciekał zeń z każdym następnym słowem. – Co więc z tym zrobić? Jak przeciwdziałać? Jaki jest na to lek? Otóż naszym lekarstwem jest... cierpienie! Skoro jesteśmy w Edenie, to może zamiast czekać, aż jabłko przegnije i samo spadnie, zerwijmy je. Ba! Lepiej sprawmy, by ludzie sami po nie sięgnęli. Jeżeli im je podamy na tacy, to je odrzucają. Jeśli jednak sami po nie sięgną, będą go strzec. Traktować jak bezcenny skarb. Tak, drodzy państwo, oto nasze remedium. Miast próbować odsunąć palce człowieczków od czerwonych guziczków, trzeba je wdusić. By zerwać kurtynę milczenia, zdjąć klapki z oczu. Niech płoną w ogniu swojego geniuszu, niech przygniecie ich wielkość wieży Babel, którą sami wzniesli. Stańmy się ich prześladowcami. Musimy ich pokonać ich własną bronią. – Ponownie zrobił przerwę. – By osiągnąć ów cel... musimy stanąć na ich czele. Stać się ich tyranami. Jest to przykre. Zdaję sobie sprawę, że

moralnie odrzemy się z resztek naszego człowieczeństwa. Lecz nie mamy innego wyboru. By sumienie wszystkich ludzi się na nowo przebudziło i ich uwzniośliło, musimy wpierw odrzeć samych siebie z sumienia i ich upodlić. – Pociągnął kolejną porcję dymu. – Wskazałem nam kierunek. Może nie jest idealny, lecz czasy też idealne nie są.

Zozym usiadł. Skupienie trwało nadal. Nikt nie ważył się nawet pisnąć. W szumie oddechów wyróżniał się tylko jeden dźwięk. Drapiący szmer długopisu ciągnącego się po karcie papieru. Sherlock z uśmiechem skwapliwie wprowadzał nowe wpisy do notatnika. Spojrzenie Tepesa skupiło się na nim i przewiercało go na wylot. Lecz Otto był tak pogrążony w swojej pracy, że nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie mogąc na niego wpłynąć w żaden taktowny sposób, prezes wstał i zaczął klaskać. Zaraz po nim podniosła się reszta balowiczów. Nawet ja się do tego dołączyłem. Stojąc i klaszcząc, obserwowałem twarze dookoła. Byłem pewien, że większością kieruje instynkt konformistów, więc wypatrywałem, czy któryś z klubowiczów ma choć drobne objawy zrozumienia czy zadumy. Byłem mile zaskoczony. Boską iskrę pojęcia dostrzegłem naprawdę w wielu z nich. Dość łatwo dało się rozpoznać ludzi spoza klubu. Ich postawa nie okazywała zainteresowania. Cóż, nie spodziewałem się po nich zbyt wiele.

Wtem pomieszczenie przeszył dźwięk zegara. Głuche echo uderzeń wibrowało w powietrzu. Aplauz ucichł. Na wszystkich twarzach pojawiło się poczucie niepokoju. Uderzenie za uderzeniem wzbierało w nas napięcie. Gdy zegar zabił po raz ósmy, przerażenie wibrowało w powietrzu.

– Możecie usiąść. – Niekomfortową ciszę przerwał prezes.

Wszyscy posłusznie rozsiedli się na swoich miejscach. Zapanował szum odsuwanych krzesel. Szkarłatna maska nie siadała.

– Gratuluję – mówił dalej. – Niezwykle trafna diagnoza i ciężko mi się z nią nie zgodzić. Idea z niej wynikająca jest również przednia. Teraz, drogi Churchill, zdradź nam, jak ją wprowadzić w życie. Nie idei nam dziś potrzeba, lecz planu.

– Uznałem, że rozwiązanie i plan musimy ustalić wszyscy razem. Nie odważyłbym się rozkazywać i przewodzić naszemu zgromadzeniu. Wskazałem kierunek, a teraz cofam się z powrotem do szeregu. Tu, gdzie moje miejsce.

– Ha! Pięknie powiedziane! Przyjacielu, właśnie za takie zachowanie cię cenię! – Prezes był wyraźnie uradowany. Szeroki uśmiech rozpromienił mu połowę twarzy. – Tak więc, drodzy klubowicze, pozostawimy was teraz z tą zagadką. Po dwunastej wysłucham każdego, zbiorę wszelkie pomysły, a następnie, razem

z najbardziej zaufanymi członkami, wybierzemy najlepszą koncepcję.

W tym momencie, ku ogólnemu zaskoczeniu powstał Rothschild.

– Na co nam daleko szukać? – wykrzyczał głośno i donośnie. – Wystarczy spojrzeć na wschód! Tam – wskazał dłonią w kierunku pomarańczowej – siedzi gotowe rozwiązanie i aż pali się do roboty!

Wszystkich zamurowało. Suchy trzask drewna zderzającego się z kaflami przebił się przez ciszę białej sali. Najwyraźniej Engels musiał wyskoczyć z krzesła. Po chwili wybiegł z pomarańczowej. Jego twarz była prawie tak czerwona jak maska przewodniczącego.

– Rothschild! Ty żydowska świni! Sam jesteś świetnym rozwiązaniem! Niech ja cię tylko...

– Panowie, cisza! – przerwał im Tepes. – Rozwiązanie musi być nowe! Z całym szacunkiem Carl, ale ludzie drugi raz się na ten sam numer nie nabiorą. Wątpię, by byli aż tak głupi czy ogłupieni.

– Patrząc na to, co się dzieje, mam pewne wątpliwości – odparł Rothschild, unikając spojrzenia prezesa.

– Nieważne! Jak chcesz wyrazić swoją opinię, to na zebraniu po dwunastej. To nie czas i miejsce!

– Widzisz?! Słuchaj prezesa!

Carl zaczął kaszleć, najwyraźniej dostał jakiegoś

ataku.

– O! Pysznicie w Birkenau ci się przypomniały, astmatyku?

– Odp... pie... prz... się! – odkasłał mu.

– Panowie, cisza! – przerwał im prezes. – Carl, uspokój się. Engels, wymarsz! Nie chcę cię widzieć do dwunastej. Tylko z szacunku za twoje zasługi dla klubu przypominam ci o tym drugi raz! Trzeciego nie będzie! – Wszyscy zamilkli. Rothschild usiadł, a Engels ze zwieszoną głową wrócił do pomarańczowej. – To wszystko na ten moment. Zastanówcie się nad planem przemian. To wszystko. Można się rozejść.

~W~

Harmider wypełnił białą. Część balowników się podniosła i, pogrążona w dyskusji, zaczęła się przemieszczać. Inni siedzieli dalej. Wśród nam najbliższych, Casanova i de Sade wciąż rozprawiali na jakiś kolejny erotyczny temat. Stephen nie czekał na nikogo, od razu się podniósł i poszedł w kierunku pomarańczowej. Poe udał się w przeciwnym kierunku. Holmes chwycił Lolę za rączkę i popędził do Carla Rothschilda, który wciąż szeptał z Cezarem. Zozym zbierał pochwały od prezesa. Zagłębili się w dyskusję.

– Co teraz robicie? – spytała nas Nicol.

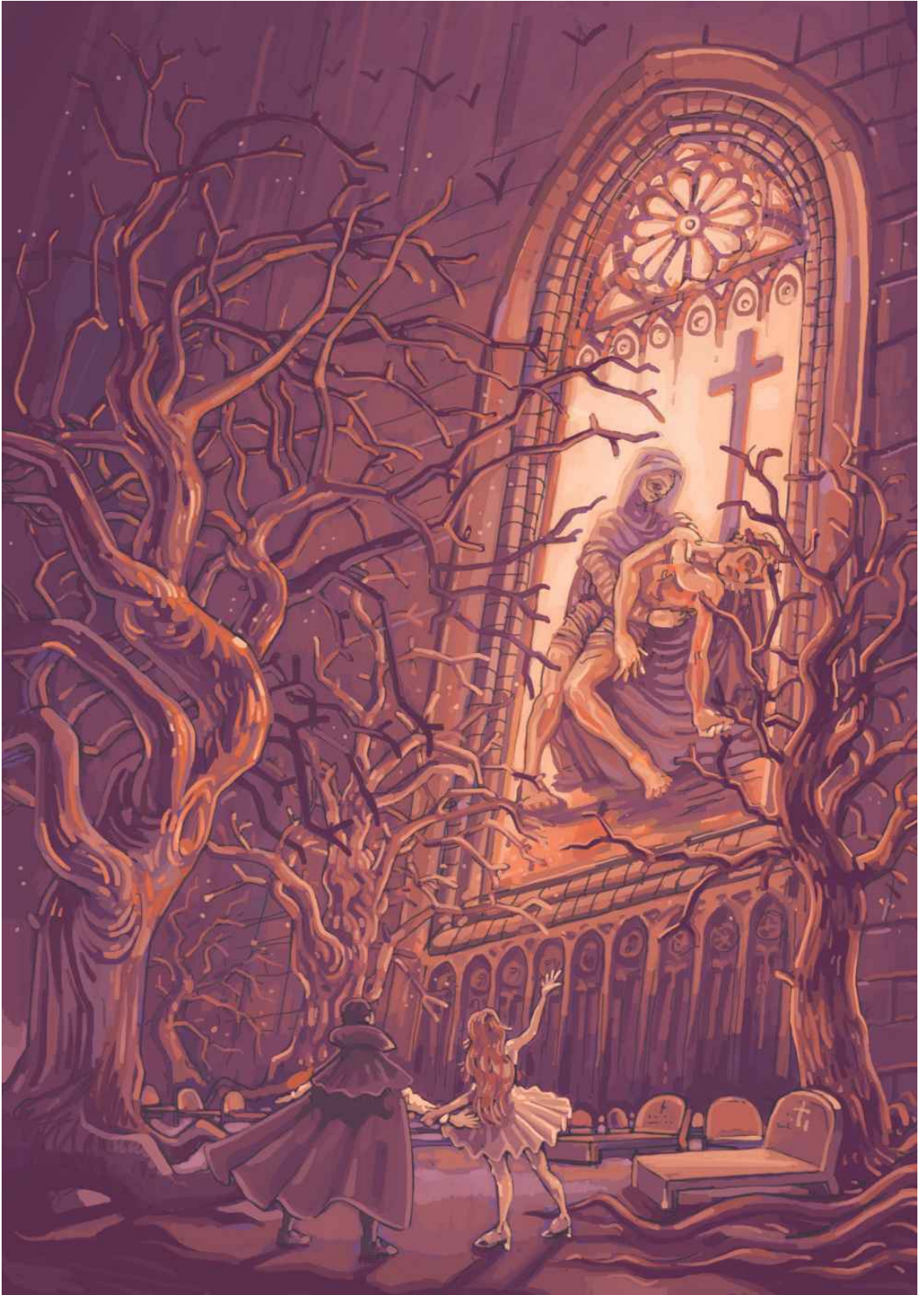
– Chciałam pokazać Oskarowi resztę zamku –
odpowiedziała Berenice.

– Też jestem ciekaw, co jeszcze się tu skrywa. Nie
poczekamy na Churchilla?

– Lepiej dać mu teraz spokój. Będzie bardzo zajęty.
Jestem przekonana, że się na nas nie obrazi, jak
pokażę ci resztę.

– Oby w tej reszcie nie było nic poza zamkiem –
roześmiała się Nicol. – Ale jak dla mnie to by była
straszna nuda. Zrobimy tak: ja pójdę potańczyć do
pomarańczowej, a wy sobie obejrzycie pozostałe salki.
W razie czego wiecie, gdzie mnie szukać.

– W porządku – odpowiedziała jej Berenice,
a następnie zwróciła się do mnie: – Chodź, idziemy.



Chwyliła mnie za dłoń i zaczęła prowadzić. Szliśmy w tym samym kierunku, co Edgar. Przekroczyliśmy zagłębienie i cała biel ustąpiła miejsca fioletemu. W tym pomieszczeniu poustawiano masę szezlongów i foteli; przywozili na myśl płyty grobowe i nagrobki. Było też sporo sztucznych drzew zrobionych z czarnego, powyginanego metalu. Wszystkie były bez liści. Witraz, mieniając się, przedstawiał kobietę oplakującą półnagie ciało. Była ubrana w lawendową szatę, a niebo nad nią przybrało barwę ametystów. Kawałek za nią, w tle, widniał krzyż.

Zagłębialiśmy się w salę wypełnioną melancholijną aurą. Gdzieś dostrzegłem kilka postaci. Były to pary, które chodziły pogrążone w ciszy, oddające się bez reszty pochmurnemu nastrojowi. Trwały skupione na kontemplacji.

W końcu dotarliśmy do centrum pomieszczenia. Stał tam solidnych rozmiarów pomnik. Przedstawiał trzy postaci, uchwycone jakby w trakcie tańca. Trzymały w dłoniach kawałek sznurka czy nici. Pierwsza była półnagą dziewczyną. Młoda, o jeszcze niewykształconych piersiach i wąskich biodrach. Jej talię przepasała mocno pofałdowana płachta. Druga była już w pełni ukształtowaną, dojrzałą kobietą. Jej wdzięków nie skrywał nawet najmniejszy fragment ubioru. Najwyższa z nich wszystkich, ostatnia postać przedstawiała szkielet. Na cokole pod pomnikiem

wygrawerowano jedno słowo: „Memento”.

Na szezlongu najbliższym trupiej postaci siedział Edgar wraz ze swoją towarzyszką. Był zgarbiony, krył swoją głowę w dłoniach. Kobieta gładziła go po plecach, szeptała do niego. Przypuszczam, że były to słowa pokroju „nie przejmuj się” lub „będzie dobrze”.

Berenice pociągnęła mnie za rękę i podeszliśmy do nich.

– Coś się stało? – spytała.

– Ostatnio tak ma – odparła blondynka. – Gubi się między wspomnieniami a rzeczywistością. – Jej twarz zdradzała przejęcie i smutek. Starła się to ukryć, ale jej przeszkłone łzami oczy były bardziej wymowne od słów.

– Przepadło wszystko, przepadło – majaczył Edgar.
– Anna... Piękna Anna...

– Jesteś pewna, że wszystko jest w porządku? – spytała Berenice.

– Nic nie możemy zrobić. On sam musi się odnaleźć
– odparła ze smutkiem towarzyszka Allana.

– Stracone... Wszystko... Anna piękna... Piękna Anna...

– Często mu się to zdarza? – dopytywała Berenice.

– Ostatnimi czasy coraz częściej. Mam wrażenie, że jego psychika runęła jak domek z kart. – Po policzku Anny zaczęła ściekać łza. – Coś musiało mu ją

zniszczyć, ale nie wiem co... Nie wiem, co się mogło stać.

Wtedy ciało Edgara przeszył spazm. Naciągnął się jak struna. Rozejrzał się po otoczeniu i przemówił:

– Echo... To tylko... echo mojej przeszłości. Tylko echo, Anno. – Jego oczy były przekrwione i przeszklone.

– Już ci lepiej? – Anna opatuliła go.

– Trochę.

– Dałbyś już sobie z tym spokój. Wszystko jest w porządku. Nic złego się nie dzieje.

– Ale się wydarzy i to wkrótce... Musi się wydarzyć.

– Niby co?

– Stracę cię... Zawsze wszystko tracę... Wszystko przepada... Przepadło...

– Oj, uspokój się. – Opatuliła go jeszcze mocniej. – I nie przesadzaj już. Niby czemu miałbyś mnie stracić?

– Taki jest już mój los. Zawsze, gdy kogoś pokocham, odchodzi z tego świata bezpowrotnie.... Cięży nade mną fatum grozy.

Czułem się strasznie nieswojo. Nie wiedziałem, jak się zachować. Ledwo poznałem tych ludzi, a już byłem wciągnięty w ich obłądki i szaleństwa. Podkreślę jeszcze raz słowo „szaleństwo”, bo właśnie ono mi się skojarzyło z Edgarem. Wywarł na mnie wrażenie

wariata, który nie powinien opuszczać zakładu dla obłąkanych. Lecz proszę, nie zrozumcie mnie źle, nie twierdzę, że był typem szaleńca, który morduje ludzi. Bardziej kogoś, kto potrzebuje pomocy, bo krzywdzi samego siebie.

– Co państwo sądzą o zamku? – spytałem, by zmienić temat. Zaraz po tych słowach dopadło mnie wielkie poczucie zażenowania. Słowo „głupek” rozbrzmiewało w mojej głowie. Na twarzy Edgara przez sekundę pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Spojrzał mi w oczy i powiedział:

– To raczej ja się powinienem spytać pana o opinię.

– Przepraszam, ale nie do końca rozumiem. Czemu to ja miałbym wystawiać opinię?

– Bo to ja stworzyłem to miejsce. To ja jestem odpowiedzialny za wygląd każdego pomieszczenia. Zaprojektowałem to wszystko. – Rozłożył ręce, by podkreślić wagę swoich słów. – Wszystko to jest odbiciem mojego zadręczonego umysłu. Moje wizje. Moje wyobrażenia. Właśnie kroczycie pomiędzy fałdami mojego mózgu, błádzicie między moimi myślami... Więc jak się wam podoba?

– W takim wypadku ma pan niezwykły umysł – odparłem i było to absolutnie szczere. – Jestem nim urzeczony. – To niestety była tylko półprawda.

– Jeszcze nie widział ostatniej sali – dodała

Berenice.

– Więc pan Dracula musi to jak najszybciej nadrobić. Czas na komplementy i podlizywanie się przyjdzie później. – Moje serce przeszła igła. Zastanawiałem się, czy aby czasem nie dostrzegł pewnej niezręczności, która towarzyszyła mi w trakcie prawienia moich półprawd. Lecz Edgar nie zgłębił tego tematu, miast tego kontynuował:

– Anno, odprowadź państwa. Ja... ja chcę zostać przez chwilę sam.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Nic sobie nie zrobisz?

– Daję słowo.

– Na pewno?

– Och, na pewno! Anno, proszę. – Pochwycił jej dłoń, a jego słowa zabrzmiały jak podszepty wiatru.

– Niech ci będzie. – Wstała. – Ale tylko do czarnej i wracam.

– Dobrze.

Zaczęliśmy się powoli oddalać. Po chwili Anna przełamała ciszę.

– Nie wiem, co ja mam z nim zrobić. Kiedyś był inny.

– Długo się państwo znają? – zapytałem.

- Już prawie rok. Na początku... Jak go poznałam, był lekko przygnębiony, nie mogę temu zaprzeczyć. Potem jednak się rozweselił. Był pełny energii, życia. Nie uwierzycie mi pewnie, ale sypał żartami na lewo i prawo. Myślałam, że to wszystko... cała ta przemiana... że to przeze mnie.

- To coś się ostatnio stało?

- No właśnie nic... Choć być może... Ale nie powinno go to tak pogrążyć.

- Być może? Czyli masz wątpliwości – drążyła dalej temat Berenice.

- Nie, to raczej nie to, co mam na myśli... Po prostu, moi znajomi podchodzili zawsze bardzo nieufnie do Edgara. Na wszystkich wspólnych spotkaniach byli jacyś... sztywni. Przy nim nie chcieli nic powiedzieć, udawali, że wszystko jest w porządku. Swoimi obawami i chorymi przypuszczeniami dzielili się ze mną na osobności. Ostatnio przestali w ogóle nas odwiedzać i odzywać się. Tak, jakby zapadli się pod ziemię. Nie dają znaku życia. No ale słyszycie, co on wygaduje. To raczej nie przez to.

- Być może – odpowiedziałem. – Ale... wiem, że to nietaktowne... jednak uważam, że ten związek pani nie służy. Wiem, wiem... Jest to bardzo pochojna opinia. Pierwszy raz widzę państwa na oczy, a jednak... Wiem, co widziałem. Pan Edgar powinien się leczyć. To niesprawiedliwe, że jego wewnętrzne

problemy zrucane są bezpośrednio na pani barki.

– Sugeruje pan, bym to przerwała? Naprawdę tak pan sądzi?

– Proszę o wybaczenie, lecz nie, nie sugeruję. Stwierdzam wprost! Ten związek powinno się zakończyć. Wątpię, by wynikło z tego cokolwiek dobrego.

– Ja – dziewczyna się zasmuciła i zwiesiła głowę – ja liczyłam, że go z tego wyciągnę... Chciałam być jego promyczkiem nadziei. On naprawdę dużo przeszedł... Wiele wycierpiał... To, co mówił o fatum... że wszyscy, których kocha odchodzą... Trochę w tym prawdy.

– Niech się pani nie przejmuje – włączyła się Berenice. – Niektórzy już tacy są, że nawet jak chce się im pomóc, nie można niczego zrobić. Lepiej niech się pani nacieszy tym zamkiem i balem. Z pewnością spotka pani wiele ciekawych osób. Dracula ma rację. Czasami nie warto się pogrążyć.

– Może racja – odparła. – Nie przyznam państwu teraz racji, ale przemyślę to... To wszystko.

– O! już jesteśmy przed czarną – zaznaczyła Berenice.

– Prawda. Wy również bawcie się dobrze... O ile to możliwe w tej okropnej sali. Ja wracam do mojego melancholika.

– Do zobaczenia później – dodała Berenice.

- Do zobaczenia.

Stanęliśmy z baletnicą na zagięciu. Chwyła mnie mocniej za dłoń.

- Gotowy? - spytała.

- Wchodzimy - odparłem.

~W~



Przed nami ziała mrokiem pusta, czarna otchłań. Stojąc zaraz przy zagięciu, próbowałem rozpoznać, czy w mrocznych czeluściach znajduje się jakikolwiek przedmiot. Mój wzrok, nieprzyzwyczajony jeszcze do ciemności, rozpoznał jedynie jakiś prostokątny zarys na prawej ścianie. Z pomocą przyszedł mi słuch. Byłem w stanie rozpoznać złowrogie tykanie zegara, które jedynie potęgowało poczucie strachu i przerażenia.

– Boisz się? – Berenice zobaczyła moją konsternację.

– Trochę.

– Nie masz czego. Chodź.

Pociągnęła mnie, jednak ja trwałem jak wmurowany w podłogę. Pokręciła głową i weszła do środka. Jej suknia z każdym krokiem zmieniała paletę barw: z bladego fioletu przechodziła w szkarłatną czerwień. Jej kroki po czarnych kaflach niosły się echem, zespoliły się z tykaniem.

Obróciła się do mnie. Twarz Berenice w krwawym świetle nabrała dziwnego wyrazu. Nie sposób tego opisać. Z jednej strony wyglądała kusicielsko i uroczo; blada cera mieniła się w czerwonym świetle, nabierając erotycznej aury. Z drugiej zaś cały ten erotyzm na czarnym tle napawał mnie trwogą. Oto, wkraczając w otchłań, stała się jej częścią. Przerazającą jak ciemność wokół niej.

– Widzisz? Nic mi się nie stało!

Fakt, że nic się jej nie stało, lekko nakłonił mnie do wkroczenia wraz z nią w mrok. Jednak strach wciąż kołysał się w moim ciele. Poza bezskuteczną próbą poderwania nóg i chwiejnych podrygów, nie udało mi się wykrzesać nic więcej.

Berenice ponownie pokręciła głową. Chwyciła mnie za dłoń i wraz z jej mocnym pociągnięciem wpadłem w otchłań siódmej sali. Moje oczy zaczynały się powoli przyzwyczajać do panujących tu ciemności. Pomieszczenie okazało się nie tylko bezgraniczną pustką. W czarnej stał jeden fotel. Był obity czarną skórą, duży i majestatyczny. Takiego siedziska nie powstydziliby się prawdziwi królowie, czy majętni biznesmeni. Poza tym stał tam jeszcze zegar, przy lewej ścianie. Był wykonany z czarnego jak śmierć hebanu. Wyrzeźbiony na kształt zamkowej wieży, wypełniał salę swoim tykaniem. Pod zegarową tarczą, większą od ludzkiej głowy, wyrzeźbiono balkon, wytłoczony dla odróżnienia krwistym mahoniem. Poniżej majaczyło wahadło większe od człowieka. Bujając się, wyznaczało rytm stukotom trybików wewnątrz mechanizmu.

Z kolei witraż z tej sali nie do końca wpisywał się w zasady wystroju pozostałych pomieszczeń. Tutaj główną barwą szyb była czerwień. Krwista łuna, zalewając czarne kafle, czy odbijając się od

mrocznego granitu, nadawała temu pomieszczeniu demonicznego nastroju. Witraż przedstawiał postać kostuchy w długim płaszczu z kapturem, stojącą pod drzewem. Z czarnych gałęzi martwego drzewa zwisały na sznurze ludzkie sylwetki. Było to drzewo wisielców. Wszystko to na tle nieba muskanego promieniami zachodzącego słońca, stąd też ta czerwień.

Fotel w czarnej był skierowany właśnie w kierunku witraża. Berenice, opromieniona szkarłatną aurą, ciągnęła mnie przed siebie do tego jedyne mebla. Ja, otumaniony strachem i jednoczesnym podziwem, kroczyłem za nią już bez żadnych oporów. Posadziła mnie na królewskim siedzisku, a sama umościła się na solidnym i obszernym ramieniu tego tronu. Jego wygoda i przyjemna miękkość kontrastowały z nastrojem tam panującym.

– Czemu ma to służyć? – zapytałem, gdy w końcu pokonałem lęk zaciskający moją krtań.

– Jak sądzisz? – odpowiedziała uwodzicielsko niskim głosem.

– Kontemplacji? Siedząc tu, powinno się zgłębiać nastrój, który tu panuje?

– Całkiem zgrabna teza.

– Prawdziwa?

– Oto musisz się spytać Edgara.

Zapadła między nami cisza. Stukot zegara za

naszymi plecami chwacko odmierzał każdą z sekund. Sprawiał, że poczucie niezręczności, które we mnie zagościło, tylko narastało. W końcu zebrałem się, by je przełamać.

– Mam dziwne wrażenie, że się świetnie bawisz. Humor strasznie ci dopisuje. Z naciskiem na strasznie.

Roześmiała się. Jakoś nie uspokoiło mnie to. Jej perlisty i gromki śmiech w tych okolicznościach jedynie wzmacniał moje przerażenie.

– Masz rację. Trochę to zabawne.

– Co dokładnie?

– Twoje miny. Oskar, mam wrażenie, że chciałbyś stąd uciec. Zmykać, gdzie pieprz rośnie, i to w podskokach.

– Dziwisz mi się?

– Ani trochę. Jednak dla mnie to zabawne widzieć, jak mój dzielny rycerz drży w przestachu na widok ciemnego pokoiku z zegarkiem i czerwoną szybką. Aż strach pomyśleć, co byś zrobił, gdybym cię wzięła do siebie, zaprowadziła do sypialni i... zgasła światło.

– Ej! Wredna żółta z ciebie, wiesz?

– Może troszkę.

Nachyliła się nade mną i ucałowała. Chwyciłem ją w tali i zsunąłem z ramienia fotela na moje kolana. Pograżyliśmy się w sobie. Zanurzyliśmy w czułym

uniesieniu. Znow świat wokół przestał mieć znaczenie, bo trwaliśmy w swojej bańce mydlanej. Czas znikł gdzieś na zewnątrz razem z tykaniem zegara, którego już nie słyszeliśmy.

~W~

Cały czar przysł wraz z nadejściem godziny dziewiątej. Makabryczność makabrycznego mechanizmu za naszymi plecami okazała się jeszcze bardziej makabryczna, niż podejrzewałem wcześniej. Wraz z nadejściem pełnej godziny zadudnił on z tak piekielnie donośnym echem, że mógłby obudzić zmarłego.

Już pierwsze uderzenie sprawiło, że oderwaliśmy się z Berenice. Podskoczyłem, wstając z fotela, i byłem już gotów do ucieczki, gdy naraz oprzytomniałem i zdałem sobie sprawę z tego, gdzie się znajduję. Spojrzałem na zegar. Na mahoniowym balkonie pod tarczą odgrywała się właśnie scenka. Mechaniczne figurki przedstawiały postaci kata, skazańca i obserwatorów w jarmarcznych strojach.

Wraz z każdym uderzeniem zegara, kat opuszczał w zamachu swój topór na kark skazańca. Wykonał swój mechaniczny i sztywny ruch dziewięć razy. Dopiero przy ostatnim głowa biedaka wystrzeliła na

sprężynie i zawisała u podstawy pieńka. Wtedy mechaniczne ręce obserwatorów zatrzepotały na kształt oklasków, po czym zebrani zaczęli się rozchodzić. Cały mechanizm zwinął się do drzwiczek ustawionych po bokach balkoniku.

Spojrzałem przerażony na Berenice.

- I to tak zawsze?

- No co poradzisz? O pierwszej ma więcej sił i wychodzi mu za pierwszym razem. Później się biedak męczy i musi powtarzać.

- Wiesz, że nie o to pytałem.

- Oj, Oskar, wyluzuj. Uspokój się, to tylko zegar.

- Wiem... Nie zmienia to tego, że zacząłem się bać tego całego Edgara. Co ten człowiek ma w głowie?

- Niezwykłe rzeczy.

- Z tym się akurat zgodzę. Zwykłe to one nie są. Chodź. Wychodzimy, nie zostanę tu ani chwili dłużej.

- No dobrze. Skoro tak wolisz.

~W~

Gdy wkroczyliśmy do fioletowej, byłem już spokojniejszy. Zwolniłem tempa i skupiłem się na obserwowaniu otoczenia. Parki snuły się dalej jak cienie po tym pomieszczeniu, jednak teraz dało się słyszeć słowa i dyskusję dwójki klubowiczów.

Podeszliśmy razem z Berenice do pomnika, gdzie Edgar prowadził zażarty spór. Jego rozmówcą był starszy jegomość, ubrany w pidżamę w chmurki, szlafmycę i puchate bambosze. Nie muszę chyba dodawać, że sprawiał wrażenie komicznego.

– Za kogo on się przebrał? Za starego Stanleya Ipkissa?

– Nie! Wątpię, by wiedział nawet, kto to. To Ebenezer Scrooge.

– Też się tak zawsze przebiera?

– Dokładnie.

– A gdzie Anna? – Rozejrzałem się po sali.

– Siedzi kawałek dalej. Wiesz co, podejdź do nich – wskazała Edgara i jego towarzysza – a ja zagadam do Anny. Dobrze?

– No dobra. Byle nie za długo.

– Wiem, że go nie polubiłeś, ale proszę, zrób to dla mnie. – Spojrzała na mnie tym swoim hipnotycznym wzrokiem, któremu nie byłem w stanie się sprzeciwić.

– Ech... Po prostu trochę mnie przeraża.

– Wiem, domyśliłam się, ale to tylko na chwilę, po prostu chcę pogadać z Anną przez chwilę na osobności i idziemy do Nicol.

– Dobrze.

Rozdzieliliśmy się.

– O! Pan Dracula! Jak się panu podobało moje

arcydzieło? – zareagował Edgar na mój widok.

– To było coś strasznego. – Uznałem, że szczerść będzie najlepszym rozwiązaniem.

– I właśnie o coś takiego mi chodziło – odpowiedział i zanurzył się z powrotem w jakichś ponurych rozmyślaniach.

– Ebenezer Scrooge, miło mi! – Mężczyzna w piżamie powstał ze swojego miejsca z wyciągniętą ku mnie dłonią.

– Mnie również. – Uścisk starca był naprawdę imponująco mocny.

– Może pomoże nam pan? – spytał Ebenezer, wskazując mi miejsce obok siebie na szeszlengu.

– Czemu nie? W czym miałbym pomóc?

– Otóż ja i pan Edgar wdaliśmy się w dyskusję filozoficzną.

– O jakiej tematyce? – dociekałem.

– Śmiertelnej! Jakżeby inaczej! – odparł Edgar. – Jak pewnie raczył pan już zauważyć, śmierć napełnia mnie poczuciem nostalgii i przygnębienia. Wszak wiedza, że każda bliska nam osoba musi zginąć, jest co najmniej bolesna, napawająca lękiem. W takim wypadku miłość staje się niczym więcej, jak tylko udręką, której kres nadchodzi dopiero w momencie, gdy i nasze własne życie dobiega końca.

– No i z tym ja się nie chcę zgodzić! – oburzył się

Ebenezer. Gdy pokręcił dziarsko głową, nie mogłem oderwać wzroku od pomponika będącego zwieńczeniem jego szlafmocy. Mało brakowało, a wybuchnąłbym śmiechem. – Bo co mamy w alternatywie? Nieśmiertelność! Toć już w antyku greccy filozofowie zauważyli, że bogowie zazdroszczą ludziom śmiertelności właśnie. Nie ma lepszej przyprawy do życia, niż obcowanie ze śmiercią. Wyostrza zmysły. Podkreślając kruchość i wątłość ludzkiego bytowania, staje się błogosławieństwem, które pcha człowieka na złamanie karku. Zmusza do walki z nieuchronnym losem. Z nią każdy poranek jest zwycięstwem, bez niej: kolejnym zwykłym widokiem, jakich będzie jeszcze niezliczenie wiele.

– Panie Edgarze, z przykrością muszę stwierdzić, że pan Ebenezer ma sporo racji.

– Bo nie zagłębił się pan dość dobrze w moje rozważania. Lecz nie stoi nic na przeszkodzie, bym ja się w nich nieco zagłębił. Otóż dla mojego oponenta nieśmiertelność jest większą karą niż nieubłagany kres bytowania. Mówimy tu tylko o personalnym podejściu. Owszem, ma to sens dla egoistycznej jednostki, jednak ja poszedłem nieco dalej. Wszak każdy człowiek musi darzyć kogoś uczuciem. Człowiek jest istotą społeczną. Można by pójść o krok dalej i stwierdzić, że to społeczeństwo nadaje nam człowieczeństwo, lecz nie to jest naszym meritum. Na

skutek tego wiecznego obcowania z innymi ludźmi, stajemy się od nich zależni. W im mniejszym stopniu, tym lepiej, jednak zawsze pozostaje nam emocjonalna zależność. Co się stanie, gdy osoba, z którą jesteśmy zespoleni do tego stopnia, że nasza metafizyczna część nie jest w stanie istnieć bez niej, umrze? Pozostawieni sami, ginimy każdego dnia. O ile człowiek byłby szczęśliwszy, gdyby rodził się nieśmiertelny. Przecież to właśnie strach przed śmiercią pcha nas w cudze objęcia. Gdybyśmy się rodzili nieśmiertelni, najpewniej miłość przestałaby istnieć lub miałaby zupełnie inną formę.

– Gratuluję, dobry kontrargument.

– Owszem. Gratuluję również. Jednakże co nieco już przeżyłem i uważam to za dość naiwne podejście. Muszę się zgodzić z tezą pana Edgara, bo niejednokrotnie widziałem jednostki, które zdążyły swoje w życiu przejść, a przez nieustanne poczucie bólu i cierpienia szukały pocieszenia w drugiej osobie. Więc to nie śmierć była przyczyną problemu, a poczucie samotnego znoszenia ciężaru życiowych porażek, błędów i skutków złych decyzji, czasem nawet nie własnych. Owszem, czasem wszystkich nas los wgniata w ziemię. Lecz pokładanie nadziei, że miłość zaleczy rany, które odnieśliśmy, jest co najmniej beznadziejnym powodem do miłości. Zamiast smęcić, zadręczać się, każdy powinien się

zaangażować w coś nowego, coś w czym można odnieść sukces i zająć myśli. Dla samego stawiania oporu. Dla walki przeciwko smutkowi i śmierci. Zróbmy mały eksperyment, panie Draculo, dobrze?

– Niech będzie.

– Założmy, że mamy dwójkę ludzi. Są identyczni, lecz się nie znają. Te dwie jednostki zostają upodlone przez los do granic możliwości. Odebrane im zostaje wszystko i jedyne, co im zostaje, to żal, smutek, tęsknota, nawet po bliskiej im osobie, która zginęła. Pierwszy popełnia samobójstwo. Drugi niezręcznie, niezgrabnie żyje, próbuje zacząć od nowa. Co pan o nich sądzi? Najpierw weźmy na świecznik samobójcę.

– Stracił kompletnie wszystko?

– Kompletnie. Dołożmy, że obaj byli zakochani do granic możliwości, tak by bardziej pasowało to nam do filozofii pana Edgara, a teraz te osoby nie żyją.

– Ale miał podłe życie tak kompletnie? W pełni?

– W pełni!

– No to w takim razie jestem w stanie zrozumieć powód samobójcy.

– Dokładnie. A ten drugi?

– Musi strasznie cierpieć... Może po prostu zabrakło mu odwagi?

– I tu się nie zgodzę! Absolutnie! Samobójstwo

w tym wypadku to ucieczka. Sprawia, że nadchodzi koniec bólów, tęsknot, wszystkiego. Dalsze uparte życie, być może pokaleczone i już nie tak piękne, wymaga znacznie więcej odwagi.

– Jeżeli tak na to spojrzemy – zadumałem się – to ten człowiek rzeczywiście musi mieć trochę więcej odwagi... Hmm... Chyba chce mnie pan przekonać, że taka osoba jest kimś na kształt bohatera... Daje sobie radę i walczy z losem mimo że nie ma ani szans, ani nadziei. Dobrze myślę?

– Otóż to! Właśnie o to mi chodziło! – uradował się Ebenezer.

Skwitowałem jego wypowiedź uśmiechem, całkowicie i absolutnie szczerym, jednak spowodowanym jego latającym na lewo i prawo pomponem, a nie sympatią. Choć i tę powoli zaczął zyskiwać.

– Wydaje się to panom takie proste. – Edgar tylko pokręcił głową z zażenowaniem. – Nieważne, jak bardzo bym się starał, jak mocno bym walczył ze sobą, ja tak nie umiem. Przyznam, że to, co pan powiedział, panie Draculo, było pokrzepiające, a jednak jakoś osobiście już brakuje mi sił, żeby ciągnąć dalej ten żywot.

Dopiero wtedy zdałem sobie naprawdę sprawę, że tematem tej dysputy było odwiedzenie Edgara od samobójstwa. Mój wewnętrzny głos po raz kolejny

dudnił w mej głowie, zapętłając słowo „głupek” w nieskończoność.

– Ależ panie Edgarze... – Scrooge wyręczył mnie z odpowiedzi. Spojrzałem na niego z wdzięcznością, a on tylko przymknął powieki i kontynuował: – Życie ma bezwzględną wartość, szczególnie pańskie. Może gdyby się pan w coś zaangażował, może w jakieś przedsięwzięcie... ruszyłby pan z miejsca, zajął swoje myśli i ciągłe nawroty wspomnień już by tak pana nie dręczyły?

– Ech, być może... Tylko czym miałbym się zająć? Takie przedsięwzięcie musiałyby mnie pochłonać. Musiałyby być to coś niecodziennego...

– Panowie mi wybaczą – wtrąciłem się. – Chyba spór już został rozstrzygnięty, a ja muszę iść dalej. Na mnie i moją partnerkę czekają znajomi w pomarańczowej.

– Ależ owszem. Miło było z panem porozmawiać. – Ebenezer uśmiechnął się.

– Proszę bardzo. – Edgar pomachał mi bez większego zainteresowania.

Skierowałem się ku Berenice i Annie. W głowie mi wirowało. Nie czułem się najlepiej po tej rozmowie. Marzyłem tylko o opuszczeniu tego ponurego pomieszczenia i niewracaniu do niego nigdy więcej.

– No proszę, już przyszedł! – przywitała mnie

Berenice.

– Też się cieszę, że cię widzę, moja droga. – Skłoniłem się teatralnie. – Nie sądzisz, że musimy już iść?

– Ach, rzeczywiście! Droga Anno, pozwolisz?

– Idźcie. – Anna otarła łezkę. – Ja chyba też powinnam do niego wrócić.

– Dobrze więc, my idziemy, a ty zaszalej dziś trochę! Kto wie, co może się wydarzyć? – Berenice pochyliła się nad nią, spojrzała jej głęboko w oczy i niskim, ciepłym głosem dodała najpoważniej, jak tylko potrafiła. – Wyobraź sobie, że to twój ostatni dzień w życiu! Chcesz go zmarnować na płacze i umartwianie się?

– Nie... Gdyby tak było, to nie... Nie chciałabym tak zmarnować ostatniego dnia.

– No więc właśnie! Zabaw się! – odparła baletnica już wyprostowana i pełna radości.

– Dziękuję! Wy również. – Jej uśmiech był lekko przekłamanym, jednak zdawałem sobie sprawę dlaczego. Mnie na jej miejscu też byłoby ciężko się uśmiechać.

Odeszliśmy kawałek, a ja pochyliłem się nad Berenice.

– I jak? O czym rozmawiałyście?

– Lepiej nie pytaj.

- No to u mnie podobnie - westchnąłem.

- Wiem, że członkowie klubu są trochę ekscentryczni. Nie przejmuj się tym za bardzo.

- Ekscentryczni? To jest dom wariatów - skwitowałem, gdy już się od nich oddaliliśmy.

- Dom wariatów to ty dopiero zobaczysz.

Spojrzałem na nią lekko poddenerwowany, zaniepokojony i jednocześnie ciekaw, co jeszcze może się wydarzyć tego wieczoru. Ona się tylko roześmiała.

- Spokojnie, obronię cię!

- Dzięki. Tylko kto obroni ciebie?

- Jakoś będę musiała dać sobie radę.

- Całe szczęście, że jest tu jeszcze Zozym.

- Ej! - Szturchnęła mnie. - Jesteś niemiły.

Położyłem moją dłoń na jej biodrze i przyciągnąłem do siebie, tak by stała twarzą do mnie.

- Może trochę. - Złożyłem na jej ustach pocałunek, moja dłoń gładziła jej policzek. Znów byłem szczęśliwy. Byłem już pewien, że ta kobieta stała się dla mnie wszystkim. Nie dlatego, że jej bliskość była niczym klej dla mojej rozbitej na drobne części osobowości. Nie dlatego, że akceptowała moją czułość bezkrytycznie, że się tą czułością pieściła tak, jak mnie pieściła jej. Nie dlatego, że pokazała mi nowy, przedziwny świat i chciała uczynić jego częścią. Nie zaprzeczę, to wszystko było dla mnie ważne. Chciałem

być z nią zawsze, bo uwielbiałem się z nią droczyć, kochałem jej reakcje na moje zaczepki.

- Wybaczone – powiedziała, gdy się rozdzieliliśmy.
- A teraz chodź, Nicol pewnie umiera z nudów.
- O! Czyli w tym domu wariatów da się nudzić?
- No, aż taki straszny to on nie jest.
- Kamień spadł mi z serca.
- Oj, daj już spokój z tym sarkazmem i chodź!

Przeszliśmy do białej. Nie było tam nikogo. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Po pierwszych krokach zdałem sobie sprawę z jakiegoś dziwnego szmeru. Chwilę później ucichł. Podeszliśmy trochę bliżej środka i rozpoznałem sylwetki jedynych bywalców tego pomieszczenia. Byli to Otto i Lola.

Siedzieli na miejscu prezesa. Sherlock trzymał dziewczynkę na kolanach i lekko się nad nią pochylał. Dziewczynka trzymała jakąś książeczkę. Z naszej perspektywy jej twarz przesłaniały kartki.

- Co porabiacie? – zagałem. Czułbym się naprawdę dziwnie, gdybyśmy przemknęli przez pomieszczenie bez słowa. Miałem też świadomość, jak bardzo banalne było to pytanie, lecz nie miałem ani chęci, by zagłębiać się w dyskusje z panem Otto, ani lepszego pomysłu.

Twarcz Holmesa zdradzała zmieszanie. Szybko jednak się wyprostował.

– Nic niezwykłego. Czytam mojemu aniołkowi, prawda, Lolu? – odpowiedział, lekko się jękając.

– Prawda, wujaszku.

– Cóż to za historia? – spytałem bardziej dziewczynki niżli jej opiekuna.

– O Dzikim Zachodzie! Są tam Indianie i kowboje, robią napad na ciuchcie i robią pif-paf! – Złożyła palce małej rączki tak, by odzwierciedlały pistolet.

– Już, już, maleńka, nie ekscytuj się tak.

– Jest pan pewien, że to dobra lektura w jej wieku?

– Spojrzałem w oczy Sherlocka z lekkim zaniepokojeniem. Po opowieści Berenice o losie tej dziewczynki, moja empatia wymuszała na mnie troskę o los małej bogatej biedaczki. Zaczęło mi na niej zależeć, a Otto, jak zdążyłem zaobserwować do tamtej pory, raczej nie należał do najlepszych opiekunów. Jasnym jak słońce było dla mnie, że chodzi mu tylko o jego własny interes. Z tego też powodu czułem do niego odrazę zamiast sympatii.

– Cóż mogę na to poradzić? Mój aniołek uwielbia westerny. Osobiście uważam, że od dzieciństwa powinna mieć jak największą styczność z literaturą.

Zauważyłem, że szybko oddycha. Zacząłem się zastanawiać dlaczego. Czyżby moja uwaga aż tak go zbulwersowała? Niestety, nie dane było mi się dowiedzieć.

- Bardzo dobra myśl, panie Holmes - przemówiła Berenice. Podniosła lekko głos i spojrzała na mnie w wymowny sposób. Miała na myśli słowo „wychodzimy!”. - Nie będziemy państwu przeszkadzać. - Chwyciła mnie mocno pod ramię i wystrzeliła przed siebie. Gdy byliśmy już prawie w przejściu do pomarańczowej, zwróciła się do mnie szeptem: - Nigdy, ale to nigdy nie rób przytyków Loli! Ona jest ulubienicą prezesa. Poza tym jest bardzo drażliwa. Mówiłam ci, że dużo przeszła?

- No, no tak... Na samym początku.

- To świetnie! Mała potrafi odebrać byle żarcik nader poważnie i leci z płaczem do prezesa. Uwierz mi, to mogło się skończyć katastrofą.

- Strasznie się boicie tego całego prezesa.

- Nie chcesz wiedzieć czemu. Jemu nigdy, ale to przenigdy nie wchodzi się w drogę. Co najwyżej ustępuje.



Weszliśmy do następnej sali. W pomarańczowej było znacznie więcej osób, wciąż jednak niezbyt tłoczno. Ludzie pili i tańczyli w rytm wesołej muzyki. Nie zauważyłem nigdzie orkiestry ani głośników, więc zaczęło mnie zastanawiać, skąd te dźwięki się biorą.

Pograżyłem się w rozmyślaniach, gdy Berenice pociągnęła mnie w kierunku tańczących balowiczów. Była przekonana, że to właśnie tam odnajdziemy Nicol. Miejsce do tańców również odgradzono, tak samo jak stoliki z piaskiem, drewnianymi bandami. Nie tańczono tam walca czy polki, nie bawiono się w zabawy pokroju kotylionów. W pomarańczowej bawiono się w rytmie najzwyklejszej muzyki. Trochę przypominała tę kakofonię z klubów, w których bawiliśmy się tydzień wcześniej, a ja coraz bardziej się nad nią zastanawiałem. Po chwili stwierdziłem, że przy tak zwanym „Makabresie” w białej sytuacja wyglądała identycznie. Przypatrywałem się sufitowi i ścianom, lecz nie dojrzałem tam nic, co mogłoby wydać z siebie jakikolwiek dźwięk. Zauważyłem też, że w białej, gdy przez nią przechodziliśmy przed chwilą, nie było słyhać nawet echa z pomarańczowej. W końcu, nie mogąc znaleźć sensownego wyjaśnienia, nachyliłem się nad Berenice.

– Skąd ta muzyka?

– Zauważyłeś? Trzeba było spytać się Edgara! Nie wiem, jak on to zrobił, ponoć wszystko leci z sufitu.

– Nie widzę żadnych głośników!

– Ja też nie! Nie wiem, jak on to wykombinował, ale musisz przyznać, spisał się.

– No cóż, nie zaprzeczę.

– Widzisz gdzieś Nicol?

Stanąłem na palcach i rozejrzałem się po sali.

– Nie mam pewności, ale chyba jest przy piramidzie.

– Co ona tam robi? Idziemy!

Berenice przemykała między ludźmi z gracją tancerki. Już wcześniej, obserwując jak się porusza czy tańczy, miałem pewne podejrzenia odnośnie jej profesji czy hobby. Jej strój też zdawał się to sugerować. Ja, niestety nieco większy, cięższy i mniej zwinny, obijałem się o ludzi. Na szczęście po chwili zostawiliśmy tancerzy za sobą.

Nicol stała przyczajona przy piramidzie. Trzymała kapelusz za plecami i wychylała się za jeden z pomarańczowych rogów. Berenice podeszła do niej od tyłu i dotknęła jej ramienia.

– Co robisz?

Nicol nie przestała się wychylać, jedynie lekko przekrzywiła głowę w naszym kierunku.

– Podglądam.

– Kogo?

– Herkulesa i Marilyn.

– Robią coś ciekawego?

– Czy ciekawego? Jak na razie nie bardzo. Tylko się całują.

– Co? – Berenice szybko do niej dołączyła się. – Pokaż!

– Tam są. – Nicol wskazała jej kierunek skinieniem głowy.

Ja się nie przyłączyłem do podglądania, ale Berenice ze swoją gibką zręcznością wplotła się pod ramiona Nicol i sama przywarła do pomarańczy.

– A to chamy! Co z nimi zrobimy? – dociekała.

– Nic! Po co? Mamy ich przynajmniej z głowy... Ale rzeczywiście, nieładnie... Oj, nieładnie.

– Długo tak ich podglądasz?

– Troszkę. Cezar i Engels też byli strasznie zaciekawieni, co robię. Wyobraź sobie, że zaczęli się wyklócać.

– O Herkulesa i Monroe? Przecież ich nawet nie znają.

– Nie! Poszło im o to, czy zdradzanie jest dobre, czy złe. Zresztą, siedzą niedaleko od naszych zdrajców. Zerknijcie z drugiej strony. – Wskazała nam kierunek kapeluszem. Engels i Cezar siedzieli pod jedną z parasolek. Engels wymachiwał rękoma, Cezar miał je skrzyżowane na piersi. – Jak chcecie, możecie sobie ich posłuchać, ale odradzam. Straszne pierdoły.

- No gdzie?! Przecież tamci mnie skojarzą! -
Berenice wskazała zakochaną parę.

- A ja jestem ciekaw. - Obydwie spojrzały na mnie z lekkim zdziwieniem. - Jakby mnie zanudzali, to was znajdę. - Przytuliłem Berenice na pożegnanie i ucałowałem jej czuprynę. Chyba już zauważyliście, że uwielbiałem to robić?

- W porządku. - W odpowiedzi pocałowała mnie w usta. - Tylko się nie oddalaj. - Skierowała dwa palce w stronę jej oczu, potem w moim kierunku.

- Nie traktuj mnie jak przedszkolaka.

- Oj tam, oj tam!

Poczochrałem jej rude kędziorki i odszedłem w kierunku dyskutantów.

Po wyjściu zza piramidy, zauważyłem wtulonych w siebie Herkulesa i Marilyn. Przemknąłem obok kilku balowiczów skupionych w grupkach z drinkami w ręku. Przeskoczyłem nad drewnianą barierką i podszedłem bliżej, do stolika z Cezarem i Engelsem.

- ...Nie zgodzę się z panem. Chciałbym zauważyć, że akt zdrady zawsze będzie czynem niegodnym - przemawiał Cezar. - Niezależnie, w jaką ideologię to pan ubierze! Ze zdrady wynika wyłącznie zło. Jest przejawem słabego charakteru, logika czy poczucie moralności bowiem nie są w stanie okiełznać dzikich, zwierzęcych i egoistycznych odruchów...

– Witam panów – wtrąciłem się. – Dotarły mnie słuchy, że wywiązała się między wami ciekawa dyskusja. Można się przyłączyć lub choćby podsłuchać?

– Z wielką chęcią zapraszamy. Jako obserwator może stanie pan po czyjejsz stronie i rozstrzygnie nasz spór – odparł Cezar.

– Wyjątkowo się z panem zgodzę, Cezarze – dodał Engels.

– Dziwny zbieg okoliczności – zadumałem się.

– Niby to czemu?

– Już było mi dane rozstrzygać spór ideologiczny tego wieczoru.

– Świetnie! Więc ma pan doświadczenie. – Engels rozłożył ręce, po czym machnął jedną w moim kierunku. Chciał mi przekazać, że mam usiąść obok niego. – Swoją drogą, jak panu poszło?

– Ciężko powiedzieć. – Usiadłem między nimi. Gdy wszedłem pod parasolkę, moją uwagę przykuł fakt, że muzyka mocno ucichła. Zupełnie jakby rozpięty nad nami kawałek płótna absorbował dźwięki. – Jednak nie ma to żadnego znaczenia. Proszę kontynuować, jakbym wam nie przerywał.

– To na czym skończyliśmy? – spytał Cezar.

– Zdrada to przejaw dzikich i egoistycznych odruchów – przypomniałem.

– Tak, dokładnie! Więc, kontynuując... Człowiek, który nie potrafi okiełznać swoich instynktów, jest moim zdaniem niewiele więcej wart niż zwierzę. Ba, nawet mniej! Zwierzę nieobdarzone rozumem nie zna pojęcia zdrady i nie jest jej w stanie uczynić. Człowiek, ponoć od zwierzęcia lepszy, bo posiadający rozum, poddając się instynktom, spada poniżej zwierzęcego pułapu. – Zaczerpnął łyk z kryształowej szklanki stojącej przed nim.

– Przepraszam, ale znów przerwę. – Wtrąciłem. – Zaschło mi w gardle i nie wiem...

– Wystarczy zrobić tak. – Juliusz uniósł ramię i machnął ręką w kierunku naszego stolika. – Za chwilę ktoś tu podejdzie.

– Nie lubię, gdy uczestnicy balu traktują kelnerów w taki sposób – skomentował gest Cezara Engels.

– Nie przejmuj się tym gadaniem, Draculo. Jeżeli ci nie usługują, traktuj ich jak duchy. Są tu właśnie po to i tylko to powinni robić.

Po paru sekundach nad naszym stolikiem stał jeden z kelnerów w białej marynarce i z tacą na ramieniu. Miał na niej kilka butelek i trzy szklanki. Wyglądał dokładnie jak ci, którzy obsługiwali nas w białej w trakcie uczyty.

– Witam, co panom podać?

– Poprosilibyśmy coś dla kolegi Draculi –

zadysponował Cezar.

– Oczywiście. Czego pan sobie życzy? – Kelner spojrzał w moim kierunku.

– A co mi pan doradzi?

– W pomarańczowej serwujemy głównie drinki o zabarwieniu pomarańczowym.

– Dobrze, niech mi pan przygotuje jakiś... Nie wiem, nie znam się na drinkach. Może być coś, co sam pan lubi. Dobrze?

– Oczywiście.

Po chwili stała przede mną kryształowa szklanka, taka sama jak Cezara, a w niej pomarańczowy napój.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo. W razie potrzeby jestem na zawołanie.

I odszedł. Nie miałem nawet czasu przyjrzeć się, gdzie dokładnie, bo zaraz potem swoją przemowę rozpoczął Engels.

– Mówi pan, Cezarze, o moralności, lecz jakie ma znaczenie moralność, gdy w grę wchodzi rozwój i postęp? Zdrada nie jest niczym innym, jak przejawem zachodzących przemian, zarówno gdy mówimy o zdradzie w bliskich relacjach między ludźmi, jak i gdy mówimy o zdradach politycznych. To potrzeba zmian pcha ludzi do zdrady. A jak wszyscy wiedzą, nie ma złych przemian. Każda prowadzi do

postępu.

- To już jest kompletna bzdura. Niejednokrotnie ludzie wprowadzają w swoim życiu zmiany, których następnie żałują.

- Z tym akurat mogę się zgodzić, Cezarze, ale czy przemiana, której się żałuje, jest zła? Niekoniecznie! Po prostu ból czy cierpienie uświadamiają człowiekowi, jak dużo warte są wartości, których się wyrzekł. Tak czy owak, staje się mądrzejszy i bardziej świadomy, a w następstwie wie przynajmniej, jakich błędów nie popełniać. Przemiana więc zawsze niesie za sobą pozytywne skutki. Nawet, gdy wiąże się z cierpieniem. Nie ma złych przemian.

- Sugeruje pan, panie Engelsie, że akt zdrady jest dopuszczalny, nawet gdy niesie za sobą katastrofalne skutki, i to dlatego, że później ludzie będą żałować? Nie uważam, że żal w swym założeniu jest czymś złym. Absolutnie! To dobre uczucie. Lecz sugestia, że samo poczucie żalu wynagradza zło wynikające ze zniszczenia moralnego... Oj, tu się nie zgodzę.

- Nie tylko sugeruję, wnioskuję wręcz!

- Czy pan postradał już do reszty zmysły? Jak poczucie żalu i straty ma być bardziej korzystne od zakończenia jakiejkolwiek relacji w moralnie poprawny sposób? Bo chyba zapomniał pan, że poza zdradą mamy zawsze jeszcze wybór i możliwość zachowania się godnie i z klasą?

- Nie, nie zapomniałem. Po prostu nie uważam takiego rozwiązania za kompletnie słuszne. W takim wypadku mam zawsze otwartą furtkę powrotu do danej relacji, wszak rozstanie czy odejście w „moralny i cywilizowany” sposób może wzbudzić podziw. W takim przypadku świadomość możliwości powrotu sprawia, że przemiana zachodząca w człowieku nie jest pełna, nie jest permanentna.

- Osobiście – pozwoliłem sobie na wtrącenie – jak dotąd byłem raczej negatywnie nastawiony do zdradzania, ale jest pan blisko, by mnie przekonać.

- Mnie zaś w ogóle – zareagował Cezar. – Nawet jeżeli w jakiś pokrętny sposób udowodni pan, że zdrada jest czynem dobrym, nie niemoralnym, lecz dobrym. Nawet jeżeli wszyscy ludzie naraz zapomną o sumieniu i zaczną się zdradzać na potęgę, niezależnie od relacji, ja pozostanę przy swoim. Czułbym się źle ze sobą po dokonaniu takiego czynu. Nie chodzi już nawet o poczucie winy, czy obawy przed ewentualną karą. Zdrada jest moim zdaniem przejawem zła, które tkwi w człowieku. Zła, które osobiście w sobie zwalczam, niezależnie od tego, czy jest to łatwe, czy dla mnie niekorzystne. Nie akceptuję takiego zachowania.

- Oj, bez takich, panie Cezarze. Pojęcia takie, jak dobro czy zło są tylko względne i absurdalne. Prędzej czy później się ze sobą zderzą i ich materia się

wymiesza. Taka jest kolej rzeczy, tak wygląda ewolucja... *Jude boys, jude boys, jude boys zum gass!* – Engels zaczął wykrzykiwać ostatnie słowa i podskakiwać w nieznanym nam rytmie.

– Co proszę? – Zarówno ja, jak i Cezar byliśmy zaskoczeni nagłą zmianą w zachowaniu Friedricha.

– Odpierdol się wreszcie! – Przechodzący obok nas Rothschild aż musiał odkaszlnąć. Wziął głęboki wdech i dodał: – Kłamliwy socjalista! – Po czym poszedł dalej w swoją stronę.

– Wracając do meritum – ciągnął dalej Engels, jak gdyby nigdy nic – nie istnieje dobro ani zło, jeżeli sami personalnie nie nadamy im znaczenia. Poza tym, możemy założyć jeszcze jedną sytuację. Otóż wyobraźmy sobie, że zawierzy pan jakiemuś politykowi, wstąpi do partii i stanie się jej działaczem. Później okazuje się, że rzeczony przywódca, poza pięknymi słowami, nie proponuje nic. Lub, jeszcze lepiej: zdobył władzę oszustwem, a później dopuszcza się czynów, które pan uzna za moralnie złe. Dajmy na to: wybija członków swojego narodu, nie pozwala im się rozwijać, ogólnie rzecz ujmując, działa na szkodę społeczeństwa. Czy wtedy zdradzenie takiej osoby będzie moralnie słuszne? Czy w takiej sytuacji przyłoży pan rękę do zbrodni takiej osoby?

– Pan Engels trafił w punkt, Cezarze.

– Pan Engels wstępował niejednokrotnie do takich

ugrupowań – skwitował Cezar. – Zawsze należy ważyć słowa i czyny przed podjęciem jakiegokolwiek działania. Zanim uczyniłbym taki gest, najpierw prześledziłbym życiorys przywódcy. Sprawdziłbym go na wszelkie sposoby. Proszę mi uwierzyć, wiem, jak wyciągnąć z człowieka wszystko.

– Załóżmy jednak, że dałby się pan zwieść. Co wtedy?

– Strasznie to dla mnie abstrakcyjne. – Cezar westchnął. – Lecz niech panu będzie. W takim wypadku musiałbym nagiąć moje zasady. Czułbym się niezwykle źle ze samym sobą, lecz nie mógłbym przymykać oczu na niesprawiedliwość i oszustwa. Brawo, panie Engels, udało się panu.

– Niezwykle mnie to cieszy.

– Nie cieszyłbym się tak bardzo na pańskim miejscu – wtrąciłem się. – Sytuacja, o której pan mówił, jest niezwykle specyficzna. Na pańskim miejscu uznałbym to za jedynie półzwycięstwo. Wystarczy, że tylko odrobinę zmienimy sytuację, a wątpię, by pan Cezar znów zdecydowałby się na taki ruch.

– Na przykład? – dociekał Engels.

– Załóżmy, że zamiast polityka mamy kobietę, zamiast partii czy zgrupowania związek, a zamiast mordów na ludzkości akt zdrady ze strony partnerki. Za pierwszym razem postanowił pan przebaczyć –

skierowałem się do Juliusza – bo mimo wszystko jest to wartościowa partnerka. Przedyskutował pan to z nią. Jednak po jakimś czasie partnerka zdradza pana ponownie. Co w takim wypadku, panie Cezarze? Pokusiłby się pan o odwet? Odpląciłby pan pięknym za nadobne?

– Absolutnie nie!

– I widzi pan, panie Engels. Stworzył pan w swoim eksperymencie myślowym warunki idealne. Gdy choćby odrobinę zmienimy sytuację, choć zasada jest ta sama, oczekiwana przez pana reakcja nie zajdzie.

– Z całym szacunkiem, niby czemu ta sama? Wprowadził pan całkowicie inną zasadę, panie Draculo!

– Ależ nie! Wpierw uprościłem pańską, czyli partia czy zgrupowanie to relacja, zły przywódca to zły członek tej relacji, któremu w pewien sposób podlegamy, jesteśmy w jakiś sposób wobec niego zobowiązani, a oszustwa, matactwa czy ludobójstwa to po prostu niemoralne uczynki. Zatem, gdy mamy relację, dodamy do niej złego partnera i nieakceptowalne czyny i mamy wzór. Ja tylko wstawiłem do tego wzoru inne, mieszczące się w tych ramach podmioty. Wynik nie był ten sam, więc pański przykład jest bardzo mało prawdopodobny.

– Gratuluję wyводу, Draculo. – Cezar poklepał mnie.

- Ale...

- Panowie, wystarczy wam już - powiedziała Berenice, przytulając się do moich pleców. - Porywam wam mojego wampirka.

- A ja porywam pana, panie Cezarze - dodała Nicol.

- A ja? - gorączkował się Engels.

- Może pan wrócić do swojej Róży Luxemburg - zaproponował Cezar. - Z pewnością się za panem stęskniła.

- Ech...

Nie słyszałem, co dalej mówił. Berenice wyciągnęła mnie z siedzenia i pociągnęła na parkiet. Nicol z Cezarem po chwili również do nas dołączyli. Zaczęliśmy tańczyć. Świat wirował wokół nas. Niejednokrotnie zastygaliśmy wraz z Berenice w uścisku, któremu towarzyszyły liczne wymiany pocałunków i pieszczot. Nicol również nie oszczędzała Cezara w tańcu. Niejednokrotnie wymieniali się pieszczotami i rosło między nimi napięcie. Z czasem ich miłosne gierki robiły się coraz bardziej odważne.

Dało się w tym wyczuć dziwną rywalizację między dziewczynami. Im ruchy Nicol stawały się bardziej powabne, tym Berenice bardziej się do mnie umizgiwała. Mnie to nie przeszkadzało, wcale a wcale. Cieszyłem się jej bliskością, karmiłem nią moją duszę.

W końcu Cezar odchylił Nicol jak w tangu, jego usta zbliżyły się do jej ust i zastygli tak na moment. Berenice, widząc to, wskoczyła na mnie, jej uda owinęły się wokół mojego pasa, a dłonie gładziły twarz. Wcześniej jeszcze nigdy nie włożyła tyle pasji w żaden z naszych pocałunków. Byłem tak tym zaskoczony, że straciłem równowagę. Opadliśmy na pomarańczowe kafle, przykuwając wzrok nie tylko Nicol i Cezara, ale i reszty tłumu. Berenice zdawała się nawet na to nie zwrócić uwagi. Pieszczota, jaką mnie darzyła, pochłonęła ją do reszty.

Moja ulotna chwila szczęścia i upojenia pewnie trwałaby dłużej, gdyby nie zegar. Jego bicie oznajmiało, że nastąpiła godzina dziesiąta. Ludzie przystanęli. Zastygli na dziesięć uderzeń serca. Muzyka ucichła. Berenice również się ode mnie oderwała. Przed oczami stanęły mi figurki kata i skazańca. Pod koniec widziałem, jak głowa na sprężynie wystrzeliwuje z metalowego karku. Potem wszyscy dookoła się roześmiali. Muzyka znów zagrała. Wszyscy dookoła wrócili do tańca. Zabawa trwała dalej.

– Myślisz o zegarze? – wyszeptała mi na ucho Berenice.

– Tak.

– To przestań.

– Te, kochankowie! Nie pierdolić mi się na

parkiecie! – wystrzeliła w naszym kierunku Nicol. –
Wstawajcie!

Unieśliśmy się. Cezar podał nam pomocną dłoń.
Odwdziczyłem mu się uśmiechem i po cichu
obiecałem, że następnym razem nie dam się
przestraszyć zegarowi.

– Co robimy? Tańczymy? Czy raczej przejdziemy się
dalej? – spytała Berenice.

– Do zielonej? – W głosie Nicol dało się wyczuć
mocną nutkę sugestii i kuszenia.

– Czemu nie, pewnie Zozym teraz tam siedzi
i delektuje się chwilą spokoju.

– To tym bardziej! Trzeba troszkę popsocić! –
powiedziała do nas czarownica. – Cezarze, pójdziesz
ze mną? – czarowała dalej.

– Czemu by nie?!

– Więc chodźmy.

~W~



Weszliśmy do zielonej. Pomarańczowy nastrój szaleństwa i zabawy zastąpił spokój. Sielankowy wystrój tego pomieszczenia sprawiał, że zaraz po wejściu człowiek robił głęboki wdech. To miejsce idealnie nadawało się do wypoczynku.

Zaraz po wejściu dostrzegłem kłęby dymu unoszące wokół jednej z altanek. Uśmiechnąłem się do siebie. Już wiedziałem, gdzie jest Zozym. Nie byłem jedyny w swoich domysłach.

– Oho! Już wiadomo, gdzie się podział nasz zadymiarz. – Nie muszę mówić, czyja to kwestia? Tak to była ona.

Nie odpowiedzieliśmy. Berenice znów wcieliła się w rolę przewodniczącej i ruszyła, ciągnąc mnie za rękę, w kierunku zadymionej altanki. Nicol i Cezar podążyli za nami. Rozglądałem się i zastanawiałem, gdzie podziała się większość balowiczów, bo zielona nie była zbytnio obleżona, czarna stała pusta, biała i fioletowa też nie cieszyły się powodzeniem. W pomarańczowej było trochę osób, jednak wciąż za mało. W trakcie uczyty nie potrafiłem nas wszystkich zliczyć, a teraz zamek zdawał się świecić pustkami.

Stanęliśmy przed portalem do altanki, a tam Zozym bujał się na hamaku rozwieszonym pomiędzy wspornikami. Wokół hamaka kręcił się jeden z kelnerów. Gdy się zbliżyliśmy, właśnie wymieniał węgielek w fajce wodnej palacza, która stała na

stoliczku obok.

– Witajcie! – zawołał do nas.

– To my witamy! – odkrzyknęła Berenice.

– Nie za wygodnie ci?

– Nicol, daj już spokój z tymi zgryźliwościami – odparł. – Wchodźcie, jest jeszcze sporo miejsca. – Wskazał ławeczki po prawej od kelnera.

Tak też zrobiliśmy. Mimo że w środku było wręcz siwo od dymu, nie kłuł w płuca. Przyjemna, owocowa woń przywodziła na myśl świeże brzoskwinie. Strasznie mnie kusiło, by tu zostać, spytać Zozyma, skąd ma hamak, znaleźć jeden nieco większy i wraz z wtuloną we mnie Berenice bujać się w osobnej altance. Odpoczywać, relaksować i cieszyć się sobą nawzajem w rajskim ogrodzie. Bajka!

– Tak właśnie sobie rozmyślałem – przemówił Churchill – że brakuje mi tylko kogoś do ciekawej dyskusji, a tu proszę bardzo! Cezar i nasz Dracula. Lepiej nie mogło mi się przytrafić. – Pociągnął mocno z drewnianego ustnika, po czym wypuścił kłąb gęstego dymu. – Cezarze, wybacz mi, lecz trawi mnie ciekawość, jak się podoba zamek mojemu nowemu przyjacielowi. Pozwól, że wpierw poświęcę mu chwilkę. – Cezar wyraził zgodę kiwnięciem. – Tak więc? Draculo?

Obawiałem się, że moja opinia może się mu nie

spodobać. Wzięłem głęboki wdech.

– No cóż... Jest niesamowity. Jeszcze nigdy nie przeżyłem czegoś takiego...

– Jednak jest jakieś „ale”. Nie krępuj się, mów.

– Och... No dobra... To wszystko jest wręcz przytłaczające. Za każdym razem, gdy mam okazję oswoić się z klimatem i ludźmi będącymi w jednej sali, przechodzimy do następnej i muszę na nowo się dostrajać. Jest jeszcze ten zegar! Zanim zobaczyłem, jak działa, jego echo napawało mnie niepokojem, a teraz? Teraz wywołuje lęk. Jeszcze ci wszyscy ludzie – spojrzałem z lekkim niepokojem na Cezara, lecz ten gestem dłoni nakazał mi kontynuować – niecodzienni... Ujmując to delikatnie, przede wszystkim przeraża mnie wasz projektant, Edgar. Idąc dalej, taki Engels czasami sprawia wrażenie bardzo inteligentnego, ale jak czasami coś palnie... No wariat, istny wariat. – Wszyscy milczeli. Berenice i Nicol wymieniały zdziwione spojrzenia. Juliusz się nachylił. Najwyraźniej strasznie zainteresowała go moja wypowiedź. Zozym bujał w obłokach dymu. – Mam też dziwne wrażenie, że ten zamek jest trochę za duży. Większość pomieszczeń, w których jak dotąd byłem, stoi prawie pusta. Może to nawet lepiej. Nie muszę się męczyć z paroma świrami non stop. Choć łatwiej by było porozmawiać z każdym, gdybyśmy rozproszyli się na nieco mniejszej przestrzeni. Z pewnością znalazłbym

sporo normalnych ludzi. – Westchnąłem. – Rozumiem, że zamek ma niezwykły klimat, ale czy nie sądzicie, że lepiej by było zmienić miejsce uroczystości? Pytam z czysto ekonomicznej strony, bo przecież utrzymanie czy wynajęcie takiego obiektu musi być niezwykle kosztowne!

– Trafił w punkt! Prawda, Cezarze?

– Prawda, prawda. Ty mu wyjaśnisz czy ja?

– Pozwolę tobie się wypowiedzieć. – Palacz uległ pokusie napawania się kolejnymi pociągnięciami z fajki.

– Dziękuję. Widzisz, Draculo, ten przybytek służy naszemu ugrupowaniu już od ponad wieku. Kiedyś, w co może ci ciężko będzie uwierzyć, był za mały dla naszego klubu. Mieliśmy ponad pięć tysięcy członków.

– W tamtych czasach w salach panował taki tłok, że większość uczestników spędzała cały wieczór na zewnątrz – dodał Zozym.

– Prawda – potwierdził Cezar. – Dziś mamy nieco ponad dwie setki.

– Dokładnie dwieście siedemdziesiąt dwie osoby – uściślił Churchill. – Tak czy siak, zaliczyliśmy straszliwy upadek.

– Co się stało? – Byłem mocno zaintrygowany.

– Cóż – Juliusz podrapał się po siwej skroni. – Powodów można podać kilka, to dość skomplikowane...

W pewnym momencie historia zwróciła się przeciwko nam. Zwykle trzymaliśmy się w cieniu, mało kto o nas wiedział lub uznawał nas za jakiś mit. Wzmianki o naszej działalności kwitowano uśmiechem z wyrazami politowania na twarzach. – Zawiesił głos na chwilę. Domyśliłem się, że szuka odpowiedniego słowa.

– Pewnie traktowano historyjki o was jak teorie spiskowe – postanowiłem mu pomóc.

– Coś w ten deseń. W każdym razie, kiedyś, dawno temu zrobiło się o nas głośno i nie mieliśmy pozytywnego PR-u. Nie były to łatwe czasy i wielu członków naszego klubu padło ich ofiarą. Potem przyszły jeszcze wojny światowe i znów nie było lekko.

– Nie zapominaj o naszym obecnym przełożonym – wtrącił Churchill. – Przecież obecny prezes nie jest skory do poszerzania naszego grona. Na przestrzeni ostatnich lat przyjął tylko dwie osoby.

– Czy nie sądzisz, że to nie najlepsze towarzystwo na takie dyskusje? – spytałem przedmówcę, wpatrując się sugestywnie w kelnera.

– Masz go na myśli? – Zozym tylko skinął w kierunku naszego towarzysza w bieli. – Nie przejmuj się. Możesz spokojnie mówić, tak jakby go z nami nie było, prawda?

– Ależ owszem, drodzy państwo – przemówił kelner w trakcie nalewania nam drinków.

– Dobrze, niech ci będzie. – Szczerze mówiąc, nie byłem do końca przekonany, jednak jako jedyny w tym towarzystwie nie byłem członkiem klubu. Pomyślałem, że tak czy siak, nie na mnie spadnie odpowiedzialność. Zaciekała mnie wzmianka w wypowiedzi Churchilla, więc nie mogłem się powstrzymać i drażyłem temat. – Mówiąc o tych dwóch osobach, miałeś na myśli Berenice i Nicol?

– Yhym – wymruczała mi moja partnerka, potwierdzając moje domysły.

– I co tu mogło wnieść takie brzydkie kaczątko?

– Ej! – Berenice wbiła w Nicol pełne gniewu spojrzenie.

– Dziewczyny, uspokójcie się – zareagował Zozym. – Wracając do tematu... Masz rację, Draculo. Trochę mi ta sytuacja ciąży. Od kilku lat naszego stowarzyszenia nie uzupełnił nikt poza naszymi kłótliwymi towarzyszkami... Nawet nie wyobrażasz sobie, ile musiałem namawiać Tepesa – przerwał, by się zaciągnąć, po czym kontynuował swój wywód. – Mam pewne obawy. Możliwe, że za parę lat nasze zgrupowanie kompletnie zniknie z powierzchni ziemi właśnie przez taką politykę! – Ucichł. Dało się po nim poznać, że nie żartuje. Wizja końca klubu była dla niego naprawdę przejmująca.

– Drogi Churchillu – wrócił do dyskusji Cezar. – Czy ty czasem nie przesadzasz?

– Skłamałem? Przyjęliśmy kogoś więcej i o niczym nie wiem?

– Nie, powiedziałaś prawdę. Z tym nie ma się co kłócić. Jednak prezes po prostu patrzy na nowych członków bardzo krytycznym okiem. Poza statusem społecznym ważne są dla niego również takie cechy jak wyznawane wartości, rzetelność... Chce z naszego klubu zrobić prawdziwą elitę elit.

– Nie sądzisz, że kiepsko mu to wychodzi?

– Czemu tak sądzisz? Przecież większość z nas to prawdziwe tuzy!

– Te wszystkie tuzy dołączyły do naszego grona jeszcze za czasów poprzedniego prezesa. Czyżbyś o tym zapomniał, Juliuszu?

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Najwyraźniej w obecnych czasach niewiele osób zasługuje na członkostwo. Poza tym, poprzedni prezes rządził naprawdę długo, więc nie powinieneś się dziwić, że większość znaczących postaci trafiło do naszego zgrupowania za jego kadencji.

– Niech ci będzie. Tylko jedna sprawa jest dla mnie prawdziwą solą w oku. Przypomnij sobie, ilu członków straciliśmy, od kiedy rządzi Tepes? A ilu dołączyło? Nasze towarzyszki to tylko kropla w morzu potrzeb,

Cesarze!

– W sumie prawda...

– Okej, panowie! – Nicol podniosła się. – Mam już dosyć tych dyskusji. Chcę się zabawić! Idę do czerwonej. – Rozejrzała się po naszych twarzach, lecz nikt nie był szczególnie zainteresowany jej propozycją. – Cesarze? – Chwyliła go za dłoń. – Może chociaż pan dołączy?

– No cóż... Ciężko pani nie ulec.

– My idziemy. Jeżeli będziecie chcieli dołączyć, zapraszamy.

– Pewnie za jakiś czas tam przyjdziemy – odpowiedziała jej Berenice.

– Świetnie. Chodź – Nicol pociągnęła za sobą nowego towarzysza i po chwili zniknęli za portalem altanki.

– Co o nim sądzisz? – spytał mnie Zozym.

– O Cesarze?

– Dokładnie.

– Znam go zaledwie kilka chwil...

– Tym lepiej. Twoja opinia nie będzie skrzywiona przez sympatię.

– Cóż, wydaje się mieć mocny kręgosłup moralny. Coś na kształt honoru... Choć honorowość to chyba lepsze słowo. Niewiele więcej mogę powiedzieć.

Palacz zaciągnął się mocno.

– Mam nadzieję, że Nicol da radę go namówić – powiedział bardziej do siebie niż do nas.

– Co masz na myśli?

– Nie zdałeś sobie jeszcze sprawy, co?

– Niby z czego?

– Zamierzam dziś obalić Tepesa i zastąpić go jako prezes.

– Co? Po co?

– To przecież oczywiste! Towarzyszyłeś nam w całym przedsięwzięciu, Oskarze. By zmienić świat, musimy jak najszybciej zwiększyć liczebność naszego klubu. Obecny prezes się na to nigdy nie zgodzi, więc musimy go zastąpić.

– Berenice, wiedziałaś o tym?

– Wiedziałam. Planowaliśmy to z Churchillem już od roku.

– Co?

– Właśnie to, wampirku.

– Osobiście uważam, że się trochę pospieszyliśmy – dodał, zaciągając się dymem. – Lecz nie byłem w stanie nic zrobić. Berenice postawiła mnie pod ścianą.

– Berenice? – Nie dowierzałem uszom. Staksowałem ją wzrokiem od góry do dołu, a ta się tylko zarumieniła i speszona spuściła wzrok. Nie byłem w stanie dać wiary, że miałaby być twórcą

jakiejś intrygi. Właściwie w tamtym momencie uważałem, że to „chora intryga”, tak gwoli ścisłości.

– Owszem, Berenice. Moja droga, może wytłumaczysz Oskarowi, co tobą kierowało?

Znowu zacząłem się w nią wpatrywać, a ona zaczęła się jeszcze bardziej kulić w sobie. Jej skrępowanie widocznie narastało. Pewnie spodziewała się, że to Zozym wyłoży mi całą sprawę. Widać było, że woli być szarą myszką, która owszem, przyłoży łapkę do sprawy, jednak nie stoi w blasku fleszy. Na tyle zdążyłem ją już poznać. Jednak wyglądało na to, iż Churchill ma zupełnie inne plany. Najwyraźniej chciał, aby stanęła obok niego na podium, lub przynajmniej gdzieś na widoku, obok niego.

– Cóż, wampirku... Niechcący stałeś się częścią naszego planu.

– Co? – Moje zaskoczenie zaczynało się coraz bardziej przybierać na sile. W dodatku dołączyła się do niego nutka paniki.

– Spokojnie. To nie będzie nic wielkiego! Nie będziesz musiał nawet nic mówić. Po prostu słuchaj tego, co ci powiem, i tyle. Dobrze?

Cóż... Ciężko mi opisać to, co wtedy poczułem. Konsternacja, niepokój, strach...

– Ja... Nie wiem... Berenice, postawiłaś mnie przed faktem dokonanym... Najchętniej bym odmówił! Ale...

ale coś mi mówi, że nie mam innego wyboru.

– Zareagowałem podobnie, Oskarze. – Zozym wypuścił kolejną chmurkę gęstego dymu. – Bardzo podobnie.

– Tylko się nie przejmuj tym za bardzo, wampirku.

– Że co? Berenice, ty chyba nie jesteś teraz poważna? Jak ja mam się nie przejmować? Najpierw zaciągasz mnie na jakiś dziwaczny bal przebierańców, potem ciągasz mnie po całym zamku pełnym dziwaków... Nie wiem, kto jest kim, wiem jedynie, że to jakieś szuchy i mam uważać, by nikogo nie urazić! A na koniec się dowiaduję, że jestem częścią jakiejś intrygi. Co gorsza, mam być iskrą rzuconą na beczkę prochu. I jest jeszcze ten cały Tepes! Nigdy nie widziałem kogoś wyglądającego groźniej!

– I masz całkowitą rację! – wtrącił Zozym. – Niewielu wie o jego istnieniu, ale chyba nie ma nikogo groźniejszego na tym świecie.

– Dzięki! Naprawdę mnie pocieszyłeś.

Wyrwałem się z jej objęć i chwyciłem za głowę. Nie wiedziałem, co mam o tym wszystkim myśleć.

– Berenice, zdawało mi się... Sądziłem, że coś dla ciebie znaczę. Teraz nie jestem tego pewien.

– Chyba lepiej sobie pójdziemy. – Churchill podniósł się i wymownie spojrzał na kelnera.

– Siedź, też jesteś w to wplątany. – Rozkazałem

mu.

– Oskar! Nie przesadzaj! – Oczy Berenice zasły łzami. – Gdybyś nie był dla mnie ważny, to te wszystkie gesty... To, jak się do ciebie przytulam... Gdybyś był dla mnie nikim, tylko pionkiem, nie zrobiłabym tego wszystkiego. Poza tym...

– No co? Co poza tym?

Całe moje poczucie żalu zastąpił gniew. Zdawało mi się, że jestem kukiełką, która zdała sobie sprawę, że całe życie ktoś pociągał za jej sznurki. Nasz towarzysz obserwował nas z przerażeniem w oczach. Pociągnął z fajki i wypuścił ogromny tuman dymu, chciał się skryć za mglistą przesłoną.

– Oskar, chciałam, żebyś był jednym z nas. Wciągnąć cię do naszego klubu! Jeżeli Zozym nie zastąpi Tepesa, to on się na to nie zgodzi. To dlatego.

– Powiedz mi tylko: po co? Co w tym cholernym klubie jest takiego?

Palacz wybuchł śmiechem.

– Wybacz, Oskarze, ale kiedyś ludzie byli gotowi się pociąć, by stać się jednym z nas. Wiem, że dziś na pierwszy rzut oka nie robimy tak wielkiego wrażenia, ale wciąż mamy dużo do powiedzenia.

– To daj mi jakiś przykład!

– Spokojnie, spokojnie... Ech... Ja mogę być przykładem. Zanim przyjęli mnie do klubu, byłem

biedny. Czasem zdarzało mi się nawet żebrać. Nie miałem nawet dachu nad głową. Byłem zwykłą sierotą. Jeżeli do nas dołączysz, możesz mieć praktycznie wszystko! Pieniądze, władzę... Kobiety... Chociaż ja bym się trzymał jednej na twoim miejscu... Po prostu klub otwiera nowe horyzonty. Każdy korzysta z tych relacji. Ciągniemy się wszyscy razem ku górze. Dbamy o siebie.

- Chcesz mi wmówić, że wszyscy tutaj są jak wielka rodzina? Nie wydaje mi się.

- Oskar, ten bal nie jest organizowany po to, byśmy mogli raz do roku wszyscy złapać się za ręce i zacieśniać nasze więzi albo by w jego trakcie rozmyślać, dysputować i tworzyć niezwykle plany. Dla większości z nas to jedyny dzień w roku, kiedy możemy być tymi wersjami siebie, którymi chcemy być. Tymi wersjami siebie, którymi jesteśmy naprawdę pod tą stertą masek, która nas przytłacza. Wiem, może ci się to wydać trochę głupie, bo wszyscy tu są poprzebierani, ale naprawdę tak jest. Każdy ma prawdziwą osobowość, która go rzeczywiście definiuje, a której nie może pokazać światu, bo byłoby to źle przyjęte lub nieakceptowane.

- Trochę to przykre. Tylko co to ma do rzeczy, co? Jeżeli chciałeś zareklamować swój klub, to kiepsko ci to idzie.

- Ech... Wysłuchaj mnie do końca, zanim

skrytykujesz, dobrze? – Pociągnął z fajki, po czym kontynuował. – Oskar, czym ja mam cię przekonać? Pieniędzmi? Władzą? Za bardzo cię szanuję, by składać ci takie pierdoły w ofercie. Lecz owszem, są. Wejdziesz, to będziesz miał dużo i jednego i drugiego... Nie sądzę jednak, by takie rzeczy cię interesowały. Chodzi mi raczej o możliwość... Pragniesz klęski? Katastrofy? Proszę bardzo! Będziesz mógł sam ją sprowadzić. Oczywiście, o ile starczy ci odwagi. Chcę... my chcemy – spojrzał na Berenice. – Dać ci możliwość. Wydaje mi się, że nic więcej nie muszę dodawać.

Nie odpowiedziałem. Miałem w głowie straszny mętlik. Wtedy Berenice przytuliła się do mnie. Jej dłoń wkradła się w moją. Jej usta zetknęły się z moim policzkiem. A ja? Moja rozdygotana dusza potrzebowała bliskości i czułości, łaknęła jej.

– Nie gniewaj się już na mnie – wyszeptała.

Westchnąłem.

– Nie będzie łatwo.

– Jakoś dam radę cię rozweselić. – Mówiąc to, podrapała mnie po nosie.

Kąciki moich ust lekko się uniosły.

– O! Już troszkę lepiej. Chodź, idziemy dalej.

– No dobrze... Niech ci będzie. – Stałem się bezwolny. Słaby. Uległy. Mój umysł był zbyt zajęty

składaniem tego wszystkiego w jakąś składną całość, by zajmować się jeszcze niuansami relacji z innymi ludźmi.

– Oj, już się nie dąsaj. – Wstała, trzymając mnie wciąż za dłoń, i pociągnęła za sobą. – Idziesz z nami? – spytała Zozya.

– Chciałbym, ale muszę poczekać na Ebenezera. Musi mi powiedzieć, jak mu poszło z Edgarem. Miał go przeciągnąć na naszą stronę.

– Ebenezera jest z nami? Jak ci się udało go przekonać? – Berenice przystanęła na chwilę.

– Powiedziałem mu, że mamy poparcie Cezara.

– Uwierzył?

– Byłem bardzo przekonujący.

– A jak Nicol nie da rady go nakłonić?

– To cała nasza koncepcja runie jak domino. Bez poparcia Cezara nie damy rady pozbyć się Tepesa.

– No to trzymam kciuki.

– Lepiej sprawdź, jak jej idzie, i tak idziecie do czerwonej.

– Prawda. Sprawdzimy.

– Moje ostatnie pytanie – dodałem zasepiony. Układanka moich myśli powoli zaczynała nabierać właściwych kształtów. – Kiedy zacznie się ta cała wasza akcja? Bo domyślałam się, że więcej szczegółów mi nie zdradzicie.

– Bardzo dobrze się domyślasz – odparł Churchill. – O dwunastej zaczynamy. Zresztą... Z pewnością się zorientujesz po tym, co się będzie działo.

– A co się będzie działo?

– Niech to będzie kolejną słodką tajemnicą. O dwunastej staniesz się świadkiem niesamowitego spektaklu. To taki nasz gwóźdź programu.

Jedyną moją odpowiedzią było głośnie westchnięcie. Nie podobały mi się te wszystkie tajemnice, lecz niczego nie mogłem zrobić. Wpadłem między wrony i musiałem krakać wedle ich uznania.

– Idziemy – wyszeptała mi na ucho Berenice.

– Do zobaczenia.

Przeszliśmy przez portal i opuściliśmy zadymioną altankę. Po chwili poczułem się słabo. Świat wokół mnie zaczął wirować. Nie wiem, czy to przez emocje, czy ten słodkawy dym. Nagle upadłem na kolana.

– O matko! Co ci? – Berenice przykucnęła nade mną.

– Nie wiem. Po prostu źle się poczułem. Zakręciło mi się w głowie.

– Chodź. – Złapała mnie pod ramię. – Usiądziesz sobie w następnej altance i odpoczniesz.

– Dobrze. Niech ci będzie.

Weszliśmy do najbliższej. Gdy wspominał tamten moment, uderza mnie dziwne wrażenie. Otóż byliśmy

wtedy niezwykle skonstrastowani. Ja byłem ubrany na czarno, ona na biało. Moje kroki były chwiejne i niepewne, a jej zdecydowane. Ona była lekka i czuła w swych troskliwych ruchach. Ja byłem ciężki od kłębiących się we mnie myśli, przygnębiony i skupiony na sobie. Gdy próbowała delikatnie ułożyć mnie na ławce wewnątrz altanki, ja opadłem na nią z ciężarem, którego nigdy wcześniej bym sobie nie przypisał. Usiadła obok mnie. Położyła moją głowę na swojej piersi i objęła. Ucałowała moje sztywne od żelu włosy. Szepnęła:

– Biedaczku... To wszystko przez emocje, prawda? Oj, mój wampirku, nie możesz się tak tym wszystkim przejmować. Będzie dobrze. Zobaczysz. Uwierz mi, po tym wieczorze już nic w twoim życiu nie będzie takie, jak dawniej. Tak, mój skarbeńku, tak właśnie będzie. I wszystko będzie lepsze niż wcześniej. Wszystko stanie się piękniejsze. Całe twoje życie... stanie się niesamowite.

Moje dłonie gładziły jej talię. Ciężka skroń ulegała miękkości jej miarowych oddechów. Całe napięcie zaczęło mnie opuszczać. Na jego miejscu pojawiło się poczucie senności wymieszane z erotyzmem.

– Już ci lepiej? – spytała z niesamowitym uśmiechem, gdy lekko uniosłem wzrok. Był pełen szczerzej, niekłamanej radości, a jednocześnie troskliwej czułości. Gdyby ktokolwiek kiedykolwiek

wcześniej powiedział mi, że jakakolwiek kobieta może spojrzeć w ten sposób na mężczyznę, nie uwierzyłbym. To jedno spojrzenie sprawiło, że wszelkie moje wątpliwości skryły się w najciaśniejszym kącie mojego umysłu.

– Tak, lepiej. Pewnie chcesz iść dalej?

– A wolałbyś tak zostać i sobie poleżeć?

Uniosłem lekko twarz, spojrzałem w jej obfity dekolt, potem na jej twarz.

– Nie miałbym nic przeciwko.

– Ej, ty zboczuchu! – Uśmiechnęła się, lecz tym razem jej uśmiech był pełen radosnego rozbawienia. Pocałowała moje duże czoło i dodała szeptem: – Jeżeli pójdziesz ze mną dalej, dostaniesz dużo więcej.

Natychmiast się uniosłem.

– Nie uciekaj mi tak! – Znowu udało mi się ją rozbawić. Śmiech szybko ustąpił zmartwieniu, bo zachybotalem się na wciąż niepewnych nogach. – Spokojnie. – Wcisnęła głowę pod moje ramię i złapała mocno mój bok.

– Spokojnie, dam sobie radę. Idziemy.

– No patrzcie go. Wystarczy ci pomachać majtkami przed nosem, a ty już lecisz na złamanie karku.

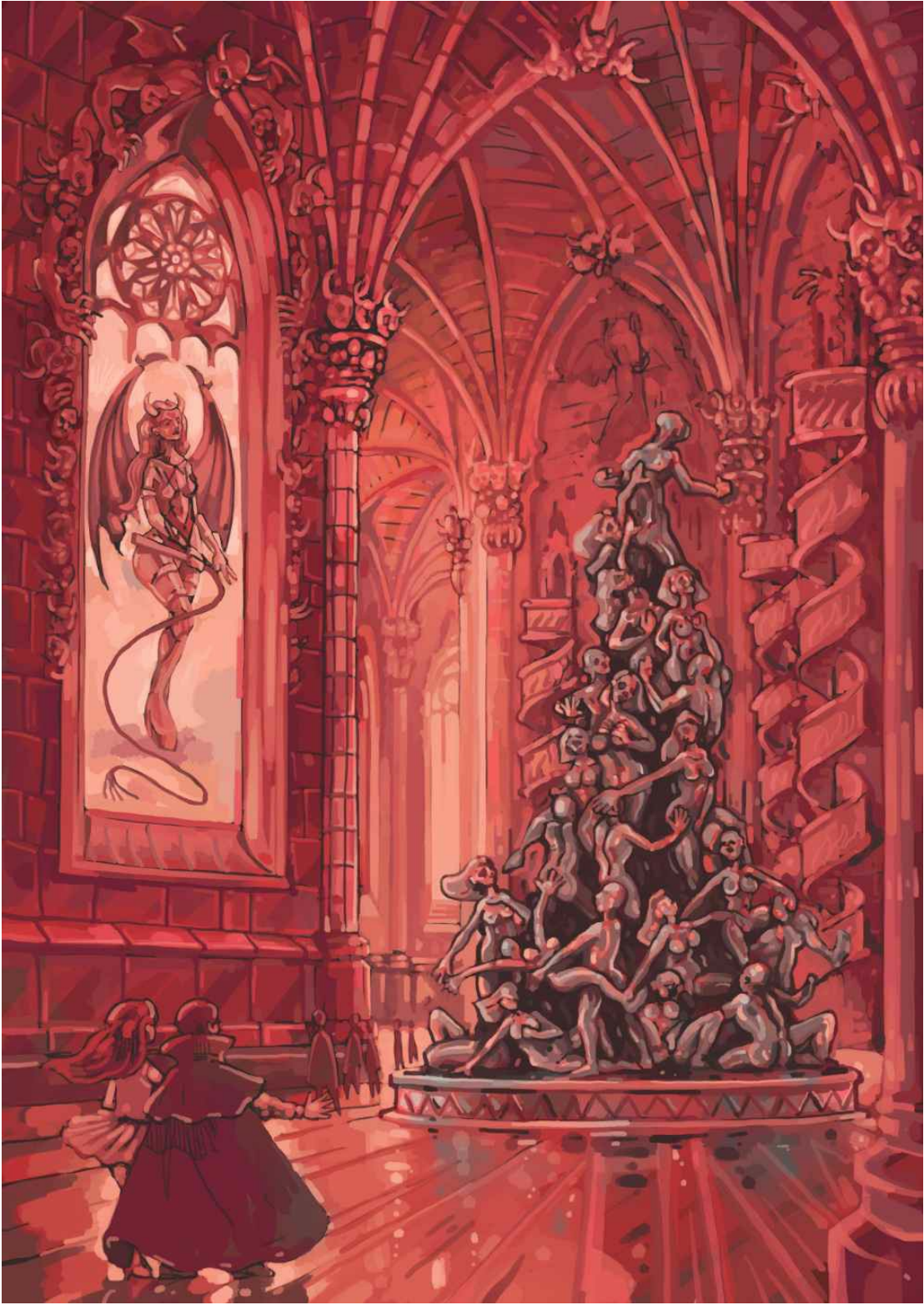
– Tylko pod warunkiem, że są twoje.

– No to dobrze. – Tym razem wybuchła śmiechem.

Z każdym krokiem czułem się coraz lepiej. Powoli

wracała mi władza nad ciałem. Doszliśmy do zagięcia. Dźwięki, które do nas docierały, stanowiły niezwykle szum zlepiony z westchnień. Gdy zieleń ustąpiła czerwieni, ujrzeliśmy orgię. Ciężko w słowach oddać to, czego byłem świadkiem, ale postaram się. Tylko nie liczcie, że będę się zagłębiać w nieistotne szczegóły.

~W~



Nie wierzyłem własnym oczom. Oto stałem nad zgrają rozpustników, którzy oddawali się najbardziej wyuzdanym igraszkom, jakie kiedykolwiek wcześniej widziałem. Uzyskałem odpowiedź na pytanie, które dręczyło mnie przez cały czas, czyli gdzie się wszyscy podzieli. Byli tutaj. Zajmowali się przez ten cały czas wtykaniem, pieszczaniem, wierzganiem... słowem: seksem.

Widziałem stoły, na których serwowano wszelkiego rodzaju przekąski prosto z nagich, kobiecych ciał. Widziałem kobiety oblepione adoratorami. Widziałem dewiantów oddających swoje ciała innym dewiantom. Tutaj nic nie miało znaczenia. Kto, gdzie, jak, z kim. Dla nich liczyło się tylko zadowolenie, zakosztowanie, wypieszczanie wszystkich swoich zmysłów. Byle więcej, byle mocniej, byle dłużej. Chwymano tu każdą chwilę i w każdej chwili było się chwytanym.

– I ty chciałaś, żebyśmy się do nich dołączyli? – spytałem Berenice, ciężko przetykając ślinę.

– Niekoniecznie.

– To jak ty to sobie wyobrażasz?

– Tam są osobne pokoiki. – Wskazała na ścianę.

Wcześniej wspominałem wam już o tym, że płaskorzeźby i zdobienia na niej zlewały się w obraz piekła? Tak tylko przypominam. – Idziemy?

– Najchętniej to bym wyszedł.

- Oj, nie bądź taki.
- I tak tu jest co roku?
- Czasami jeszcze puszczają jakieś kawałki. Wiesz, takie erotyczne.

Ośłupienie. To jedyna reakcja, na jaką mnie było stać. Moją głowę przepełniały natrętne myśli, w których to Berenice, dogniatana przez dziesiątki mężczyzn, wije się pod nimi oklejona ich potem i nasieniem. Zniesmaczało mnie to, ale i wywołało pewien lęk. Ze wstydem musiałem przyznać, że raczej nigdy nie nabędę takiego doświadczenia, jakie ona przypuszczalnie już posiada. Przeczowałem, że taki nudziarz jak ja raczej nie sprosta jej erotycznym oczekiwaniom i zachciankom.

Na domiar złego, przyjrzałem się ponownie całemu widowisku. Kilka osób pływało wewnątrz czarnej fontanny, delektując się winem, i przypuszczam, że nie tylko nim. Posąg, z którego wyciekał czerwony napój, również zyskał kilku miłośników. Mężczyźni byli przyssani do winodajnych piersi, a kilka dziewcząt degustowało granitowe penisy.

- Wracamy do zielonej – odezwałem się w końcu.
- O nie! Jak już nie chcesz na to patrzeć, możemy się przejść do niebieskiej.
- Ale zielona jest tuż za rogiem, a poza tym wracając... będziemy musieli znów przez to przejść.

– Dokładnie! – Berenice nagle stała się strasznie figlarna. – Chyba nie sądzisz, że ci odpuszczę?

– Ale...

– Spokojnie. Zabawimy się na osobności.

– Ale najpierw do niebieskiej.

Berenice wymownie spojrzała na mnie, po czym uniosła swój wzrok ku sufitowi.

– Czemu? – zaniosała pytanie do niebios. – No dobra, chodź.

Chwyła mnie za dłoń i zaczęła prowadzić między wijącymi się na podłodze ciałami. Wszyscy byli ze sobą splątani, więc stąpanie było naprawdę karkołomnym zadaniem. Tym bardziej, że Berenice miała całkiem szybkie tempo.

– Czemu tak pędzisz?

– Im szybciej dotrzemy do niebieskiej, tym szybciej wrócimy.

– Ups! Przepraszam – powiedziałem do wyciągającej się pod moimi stopami Kleopatry, którą niechcący nadepnałem.

– Nie przepraszaj, tylko chodź tu do mnie – odmruknęła mi niskim głosem, wyciągając ku mnie ręce i rozkładając szeroko nogi.

– Zajęte! – warknęła Berenice, a potem skierowała się w moją stronę. – A ty lepiej patrz, co ci się płacze pod butami!

Nie zdążyłem nic odpowiedzieć, bo ciągnęła mnie już dalej za sobą. Gdzieś z boku dostrzegłem Casanovę wciągniętego w stunogie koło wzajemnej adoracji. Kawałek za nim, niedaleko końca rozpustnej sali, na fotelu siedziała Nicol. Była całkiem naga. Między jej udami znajdowała się głowa Cezara, któremu toga prawie całkiem zdążyła się osunąć, odsłaniając muskularne plecy. Naga czarownica trzymała kielich w dłoni i drobnymi przechyleniami wylewała jego zawartość między piersi. Czerwony trunek opływał jej krągłości i wartkim strumykiem zmierzał po jej szczupłym brzuchu na spotkanie z ustami Cezara.

– Oho, chyba udało się jej go skusić – skomentowała Berenice. – Jak widzisz, nie masz się czego bać. Wszystko idzie zgodnie z planem.

– No to pięknie – odparłem z zakłopotaniem w głosie, nie mogąc oderwać oczu od drobnych, malinowych sutków Nicol.

– Ej! Bo zrobię się zazdrosna!

– Właśnie dlatego chcę wyjść.

– Dobrze, już dobrze. To niedaleko.

Tuż przy zagięciu zobaczyłem jeszcze de Sade, jak z rozczarowaną miną rozglądał się po pomieszczeniu, szukając inspiracji. Na jednej ręce podpierał zmarszczoną twarz, w drugiej dłoni błyszczała czernią

smycz. Stary dziadyga, najwyraźniej w ramach zabawy, próbował ją naciągnąć do granic możliwości, więc całe ramię musiał odchylić mocno za głowę. Jego towarzyszka klęczała i starała się z całych sił przywrócić starcu wigor. Wszystko wskazywało na to, że średnio jej to wychodzi.

W końcu dotarliśmy do zagięcia. Przywitałem błękitną, morską bryzę z ulgą. Spokój panujący w niebieskiej kontrastował z czerwonym zgiełkiem. Bywalców tego pomieszczenia dałoby się zliczyć na palcach jednej dłoni.

– Nic tu ciekawego. Wracamy! – skwitowała Berenice.

– Czekaaj, czekaaj.

Przyjrzałem się dokładniej osobom, które tam przebywały, rozpaczliwie, wręcz szukając czegokolwiek, co mogłoby nas choć na chwilę zatrzymać w tej sali. Nigdy nie sądziłem, że będę się tak bał bliższego stosunku z jakąkolwiek kobietą.

– O, zobacz! Tam przy fontannie. To chyba towarzyszka Casanovy.

– Aha, i co w tym takiego?

– Podejźmy. Porozmawiajmy. Jestem ciekaw, czemu nie jest razem z nim w czerwonej.

– Oskar! Zaczynam się bać, że zaraz z krzykiem wybiegniesz przez drzwi. Tak się boisz kilku golasów?

– O nie! Nie kilku! Tam jest ich co najmniej setka.

– Czyli jednak.

– Po prostu muszę się z tym oswoić.

– Dobrze, niech ci będzie. – Zrobiła krótką pauzę. –

Przy wodospadzie masz Stephena i tę jego... Jak jej było... Coral. Pogadaj sobie z nimi. Może tobie się uda go jakoś przekonać, że rasizm jest bezsensowny.

– A ty?

– Ja pogadam z tą od Casanovy.

– Z Teresą, o ile dobrze pamiętam.

– Chyba tak.

– Też jestem ciekaw, czemu tu siedzi.

– Naprawdę? Nie możesz się domyślić?

W głowie mi rozbłysło. No tak odpowiedź była oczywista.

– Już się domyślam. Ale wciąż mnie intryguje jak dała się tu zaciągnąć.

– Wiesz co, lepiej idź do Stephena. To delikatny temat, wydaje mi się, że raczej jej nie pomożesz.

– Dobrze.

Szliśmy przez chwilę ramię w ramię i rozdzieliliśmy się dopiero tuż przed fontanną. Zdążyłem jeszcze zauważyć łzy na policzkach Teresy. Ze wstydem przyznałem się przed sobą, że Berenice miała rację. Swoim gadaniem mogłem co najwyżej zaszkodzić tej

dziewczynie.

Stephen z kolei stał przy wodospadzie. Obserwował spadające strumienie wody z wymowną pustką w oczach. Wyglądał na zagłębionego w rozmyślaniach lub wspomnieniach. W jego wysuszonej, hebanowej dłoni majaczyła róża. Biały kwiat w świetle bijącym przez witraż nabierał błękitnej barwy. Musiał ją zerwać jeszcze w zielonej sali. Przed moim podejściem Coral musiała coś mu powiedzieć, bo nagle wybuchnął gniewem.

– Ty czarna szmato! Batem cię powinienem wychłostać! Może to by cię nauczyło szacunku.

– Proszę pana, proszę się uspokoić – stanąłem w jej obronie i przyśpieszyłem kroku.

– Co proszę? – Stephen obrócił się do mnie z lekkim niedowierzaniem w głosie.

– Proszę się uspokoić.

– Moja droga, słyszysz tego białego paniczka? Co on sobie wyobraża?

– Nic, proszę pana, po prostu nie spodobało mi się, jak pan traktuje swoją towarzyszkę.

– Tak? No to teraz jaśnie paniczkowi nie spodoba się, jak ja go potraktuję. Za kogo ty mnie masz, białutki chłoptasiu? Za jednego z tych czarnych półgłówków? Za czarnego matkojebcę? Co?

– Nic takiego...

– Nie musiałeś nawet mówić! Ja już was znam. Takie młodziki jak ty nie mają nawet dość jaj, by zrugać Murzyna, który ich wkurwi. Twoi dziadkowie! To byli ludzie! Ci to się nie pierdolili w tańcu. A teraz? Muszę się męczyć z takimi łachudrami. Kobiecie nie wolno zwrócić uwagi! Czarnucha trzeba głaskać! Ale jeszcze zobaczcie! Długo tak nie uciągniecie. Pan Churchill się zastanawia, czemu pan prezes Tepes nie chce przyjmować nowych... Ja mu się tam, kurwa, nie dziwię.

– Ja po prostu chciałem pomóc!

– Tak? A ciekawe komu? Coral, prosiłaś tego paniczka o pomoc?

– Nie... Słowem się nie odezwałam.

– I bardzo, kurwa, dobrze... Tak więc, jak łaskawy paniczek raczył zauważyć, nie życzyliśmy sobie jego łaskawej pomocy. Lepiej zmykaj do tej swojej rudej paniusi.

Coral spojrzała na mnie z mieszaniną strachu i smutku w oczach.

– Lepiej niech pan nas zostawi – powiedziała cichym głosem. – Proszę.

Po raz kolejny tego wieczoru oniemiałem. Obróciłem się na pięcie i poszedłem w kierunku Berenice i Teresy. Naszła mnie pewna refleksja. Stephen wspomniał o Zozymie i zaczęło mnie intrygować, czy

aby wcześniej ci panowie nie odbyli ze sobą jakiejś rozmowy. Szybko zakończyłem swoje rozważania, bo doszedłem do wniosku, że wszystko na to wskazuje, a przebieg takowej dyskusji nic nowego dla mnie nie wnosił.

– Przegonili mnie! – powiedziałem, zbliżając się do fontanny.

– Słyszałyśmy – odparła Berenice ze skwaszoną miną.

Wtem zegar zadzwonił po raz kolejny. Było go słychać nawet w najdalszym zakątku zamku. Echo jedenastu uderzeń nawet tutaj wzbudziło we mnie odrętwienie i strach. Ponownie zgrał się z moim sercem, gdy wybijał swój makabryczny, rytualny rytm. Po ostatnim uderzeniu Berenice wstała.

– Teresko, niestety musimy iść. Mamy z Oskarem jeszcze coś do załatwienia.

– Spoko. – Króliczek otarł łezkę. – Poradzę sobie.

– Dasz radę. Poza tym nie przejmuj się tym dupkiem. Skorzystaj z zabawy, póki możesz!

– Musiałabym tamtędy przejść. – Wskazała w kierunku zagięcia.

– Oj, nie bój się. Po prostu musisz być stanowcza.

– Wiem... Ale raczej sobie daruję. Poczekam tu jeszcze trochę... a potem wrócę do domu.

– Jak wolisz. – Berenice pochyliła się nad nią i ją

przytuliła. Miałem wrażenie, że coś jeszcze wyszeptała jej do ucha. – Trzymaj się, my uciekamy.

– Bawcie się dobrze. – Do jej oczu napłynęła kolejna fala łez. – Pa.

Razem z Berenice skierowaliśmy się do czerwonej. Jej głód doznań sprawił, że stała się niepowstrzymana. Miała w sobie tyle energii, że nawet gdybym uczepił się jakiegoś posągu, zaciągnęłaby mnie do czerwonej razem z nim.

– Z sali rozpusty trafić na dziewicę! – przemówiła po chwili. – Co jeszcze mnie dziś czeka?

– Zawsze mogę okazać się impotentem.

– Nawet tak nie żartuj!

– Spokojnie. – Szliśmy przez chwilę w ciszy. W końcu postanowiłem się odezwać: – Jak ci poszło?

– Kiepsko. Miałam mało czasu.

– Moja dyskusja też poszła nie najlepiej.

– Co ty nie powiesz? – Uśmiechnęła się. – A tak na serio, to się nie przejmuj. Ja też mam z nim na pieńku... Choć ja przynajmniej powiedziałam mu, co o nim myślę.

– No trudno. Może następnym razem.

– E! Nawet nie próbuj. Nie ma po co.

Błękit ponownie ustąpił czerwieni, a dewiacjom nie było końca. Nikt nie odpuszczał. Berenice skierowała się ku schodkom na prawej ścianie. Zwróciłem

szczególną uwagę na Nicol, która głośnymi jękami oznajmiała światu swój błogostan. Znajdujący się nad jej wypiętym ciałem Cezar wyglądał na lekko zziąjanego. Jego twarz poczerwieniała, a każdemu mokremu klaśnięciu lędźwi o smagłe pośladki towarzyszyło głośnie sapnięcie.

– Prawdziwy z ciebie ogier! Najprawdziwszy Cezar!
– wykrzyknęła Nicol.

– *Veni... vidi... includi* – odsapnął jej zdyszany Juliusz, wciąż cwałując do celu.

– Ej! – Ona również nas dostrzegła. – Do... łą... czcie się!

Moje spojrzenie ponownie powędrowało ku jej piersiom, tym razem bujającym się w rytm gladiatorских pchnięć rzymianina. Byłem jak zahipnotyzowany. Stałem w miejscu. Nie mogłem się poruszyć ani odezwać.

– Nie, dzięki! – odkrzyknęła jej Berenice.

– Na... pewno? – Uniosła się, odchyliła ramię za siebie i chwyciła swojego kochanka za kark, by lepiej zaprezentować swoje wdzięki. Cezar nie przestał nawet na chwilę drążyć swojego tematu. Jej naprężone smukłe ciało przemawiało do mnie, obiecując niezwykle rozkosze. – Będziemy... się bawić... na... okrągło. – Wolną ręką wskazała nam Casanovę, który zapętłony w wir dewiantów nie mógł

się odezwać, jego usta były zajęte czymś innym.

– Nie i już! – odpowiedziała jej Berenice.

– Nu... dzie... rze...!

W tym momencie dobiegł nas euforyczny ryk.

– Udało się! W końcu!

Był to de Sade, którego minęliśmy wcześniej. Odruchowo spojrzałem w jego kierunku i szybko tego pożałowałem. Markiz wstał z fotela, a widok jego przyrodzenia nie był niczym przyjemnym. Jego oblubienica leżała na podłodze i sprawiała wrażenie nieprzytomnej.

– A... trzeciego... dnia... zmartwychwstał!

De Sade spojrzał w dół. Radośnie otarł swoje przyrodzenie, ale gdy dostrzegł swoją towarzyszkę, mina mu zrzędła.

– O nie! Udusiłem ją... ja... ja... ją udusiłem. – Pochylił się nad nią i mocno uderzył w jej policzek. – Maleńka! Nie opuszczaj mnie w takim momencie. *Show must go on!*

Dziewczyna odkaszlnęła, zaczęła się poruszać i podcierać rękoma. Próbowwała wstać.

– O ty, kurwo, oszukujesz mnie! – Z impetem kopnął ją w brzuch, a dziewczyna zwinęła się i opadła z powrotem na posadzkę. – Wstań, suko!

Już się wyrywałem Berenice, by podejść do niego i samemu sprzedać mu kopniaka, jednak moja

baletnica nie puściła ani na chwilę uścisku i nawet nie ruszyła się z miejsca. Spojrzałem na nią, a ta pokręciła głową i bezdźwięcznie powiedziała „nie”. Ścisnęła mocniej moją dłoń i pociągnęła mnie na schodki.

Gdy przeskoczyliśmy, bo inaczej tego się nie da określić, kilka schodków, dotarliśmy do pierwszego piętra. Przy wejściu do pokoiku stały dwie figurki diabłów, które swoimi szponami skórowały męczenników. Moja wybranka bez chwili wahania otworzyła drzwiczki i zaczęła mnie wciągać do środka.

– Jesteś pewna? To nie wygląda zbyt przyjemnie. – Wskazałem wykrzywione bólem twarze grzeszników.

– Nie bądź taki! – Przewróciła oczami. – Jestem pewna i uwierz mi, że tu będzie nam najprzyjemniej.

Nie zdążyłem jej odpowiedzieć. W następnej chwili byłem już w środku...

Jeżeli mam być szczery, wspomnienia z tego pokoiku najchętniej pozostawiłbym tylko sobie, jednak perwersje Berenice mają spore znaczenie dla dalszego przebiegu historii. Pozwolę sobie zatem, choć niechętnie, wam je przytoczyć.

Stylistyka i barwy pokoiku były jak najbardziej utrzymane w klimacie całej sali, czyli również dominowała czerwień. Nie przytłaczał swoją wielkością, dzięki temu każda parka mogła poczuć

atmosferę intymności. Pomieszczenie składało się z dwóch segmentów. Pierwszy, wyłożony miękkim i przyjemnie gładkim w dotyku aksamitem, zajmował niewielką część pomieszczenia. Znajdowała się tu jeszcze mała szafka. Drugi segment, oddzielony niewielkim stopniem, wyłożono z kolei czterema wielkimi, skórzanymi poduchami. Zamiast sufitu mieliśmy jedno wielkie lustro ze złożonym obramowaniem.

– No oczywiście! – powiedziałem, przyglądając się własnemu odbiciu.

Berenice rzuciła się na sprężyste podwyższenie przed nami.

– Chodź tu do mnie! – Rozłożyła ręce i nogi w ramach zaproszenia.

Zdjąłem buty i podczołgałem się po poduchach do niej. Położyłem swoją głowę między jej piersiami, a ona czule owinęła się wokół mnie, ściskając zarówno udami, jak rękoma. Zaczęła składać pocałunki na mojej twarzy i głowie.

– Wybacz, ale nie mam nastroju – próbowałem jeszcze po raz ostatni zaoponować, choć miałem świadomość, jak bezskuteczna będzie to próba.

– To ci zaraz pomogę – wyszeptała.

Wystarczył jej jeden ruch, by znaleźć się na mnie. Po czym kontynuowała wcześniejsze pieszczoty.

Z każdym kolejnym pocałunkiem kierowała się ku mojej szyi. Najpierw muśnięcie po muśnięciu wędrowała po moim policzku, a potem lekkim ugryzieniem naznaczyła płatek mojego ucha. Następnie jej usta ześlizgnęły się niżej, ku mojej szyi. Drobne dłonie uporczywie walczyły z guzikami mojej koszuli. Powoli odkrywała mnie całego.

– Hmm, a co my tu mamy? – spytała przed dotarciem do jej nadrzędnego celu. – Ponoć ktoś tu nie miał nastroju...

– Ty zołzo! – Wciągnąłem ją do góry. Nasze usta zetknęły się.

Wtedy ja przejąłem inicjatywę. Obróciłem się i położyłem na niej.

– Czyżby ktoś się zdenerwował? – spytała z figlarskim uśmieszkiem.

– A ma się zdenerwować?

– Byłoby miło! – Pocałowała mnie i ugryzła w język.

Po chwili zwolniła swój uścisk. Spojrzałem na nią karcąco. Zrobiła minę jak mała dziewczynka przyłapaną na czymś złym, a jednocześnie przyjemnym. Ucałowałem ją w czoło i sam zabrałem się za odpakowywanie mojego prezenciku.

Odzierałem jej blade ciało z bieli sukienki. W końcu, gdy była już całkiem naga, z powrotem przywarłem do jej ust. Moja dłoń gładziła ją po boku,

ocierała biodra i lędźwie tylko po to, by natychmiast odskoczyć ku górze aż pod same piersi, a potem powoli, ledwo dotykając, zjeżdżać niżej.

- Ale złośliwy jesteś - wymruczała. Jej dłonie, jeszcze przed chwilą gładzące moje policzki, teraz zaczęły mnie powoli drapać, coraz to mocniej i mocniej. - No dalej. Do boju, żołnierzyku!

I znów wybrałem się w wędrówkę po jej ciele, lecz tym razem to nie nowe odkrycia były moim celem, a łechtanie jej wdzięków. Spełnianie jej rozkosznych zachcianek. Opadłem ku jej piersiom i powoli obcałowałem jedną z nich. Kreśliłem zmniejszające się kręgi niczym satelita opadający na matkę Ziemię. Ona się naprężała, podniecenie rosło w niej z każdą chwilą, tym bardziej że jedna z moich dłoni wciąż dryfowała po jej bladym brzuchu. Dotarłem do jej sutka i dręczyłem go, kreśląc kolejne kręgi swoim językiem, a Berenice zaczęła się jeszcze mocniej przeciągać i naprężać swoje ciało.

- Ugryź! - wyrwało się jej między stęknieniami.

Delikatnie zacisnąłem zęby na jej nabrzmiałej od krwi, gorącej brodawce.

- Mocniej! - jęczała, skręcając się z rozkoszy.

Jej dłoń powędrowała ku wzgórkowi i czekała niczym drapieżny łowca przy wodopoju, aż i moja ręka też tam zawędruje. Gdy nadeszła ta chwila,

pochwyciła ją z kocią pewnością i pokierowała niżej. Zagłębialiśmy się w mokrych czeluściach jej ciała razem, niczym turysta i przewodnik schodzący w odmęty ciasnej, górskiej szczeliny, w głąb łona matki Ziemi.

– Mocniej – jęczała, wijąc się pod moim dotykiem. – Ugryź mocniej!

Moje zęby wzmocniły swój ucisk, a ta niemal mi się wyrwała.

– O tak!

Trwaliśmy tak przez chwilę, po czym przeniosłem się na kolejną pierś, na widniejący na moim horyzoncie jeszcze niezdobyty szczyt. Nie byłem oczywiście na tyle samolubny, by już nawykłe do pieszczoty wzgórze nadziei pozostawić odkryte i wystawione na mróz. O nie! Jak się zresztą okazało, jej blade pagórki idealnie się wkomponowały w moją głodną miękkiego oporu dłoń.

Satelita powtórzył swój okrężny manewr, a na końcu uczepił się czerwonej tarczy. Gdy tylko dokowanie dobiegło końca, miałem wrażenie, że moja kochanka oszaleje z rozkoszy. Gdy okrzepła w euforycznych spazmach i zastygła w splątaniu jej rudych włosów i dłoni, nachyliła się nad moją głową.

– Czekaj! – wyszeptała, a potem szybko wyrwała się i sięgnęła do szafki. Grzebała tam przez chwilę,

a ja w tym czasie podziwiałem jej wdzięki.

– Mam! – zwróciła się do mnie, a jej drobny palec wskazujący prawej dłoni zdobił metalowy szpon.

– Co to? – spytałem z lekkim przestraszonym.

– Spokojnie! To nie dla ciebie.

Oparła się o ściankę i ułożyła się najwygodniej, jak mogła. Szarpnęła za mój kark i przycisnęła do prawej piersi. Lewą zaczęła sama ścisnąć. Nie zajęło dużo czasu, nim wstrząsnął nią spazm. Oderwałem się od swojego mlecznego pagórka i spojrzałem na drugi. Stalowy szpon był wbity w jej sutek, a drobna strużka krwi powoli opływała jej pierś.

Spojrzałem na Berenice z nieskrywanym zdziwieniem. Ona złożyła słodki pocałunek na moim czole, po czym ponownie pokierowała moimi ruchami i nakierowała mnie na ranę.

– Ssij! – rozkazała.

Nie miałem innego wyboru. Możecie się dziwić lub mną brzydzić, ale ssanie krwi z piersi Berenice niespodziewanie napełniło mnie animuszem. Tymczasem ona znów zaczęła się wzdrygać i jednocześnie przywierała do mnie jeszcze bliżej.

– Narysowałam ci ścieżkę – wyjęczała między westchnieniami.

I rzeczywiście. Krwawa dróżka nacięć wiła się pomiędzy delikatnymi wzniesieniami. Przecinała jej

brzuch, by zakręcić niżej na jej łonie i pokierować mnie jeszcze bardziej w dół i w głąb jej ciała. Powędrowałem tym szkarłatnym szlakiem. Dotarłem do bezpiecznej przystani, a w Berenice przyjemność z bólem zgrały się w nierozzerwalną jedność. Nie mogła już odróżnić jednego od drugiego. Łechtała się tym zespoleniem, aż doprowadziła się do błogostanu. Gdy go osiągnęła, z dzikością rzuciła się na mnie i wierzgając niby klacz, zaspokajała każdą z moich żądz. Od tamtej pory była już tylko uległa i delikatna.

Po wszystkim leżeliśmy wciąż złączeni. Nasze oddechy się zespoliły. Wpatrywaliśmy się w siebie. Najchętniej trwalibyśmy tak bez końca, zlepieni krwią i potem, połączeni duszami i ciałem, lecz znów zabił zegar. Nastąpiła godzina dwunasta.

~W~

Berenice zaczęła zmywać w pośpiechu rdzawe ślady naszych igraszek i popędzała moje ociągające się przez senną nostalgię ruchy. Gdy byliśmy już w pełni odziani i względnie przywróceniu do stanu pierwotnego, opuściliśmy naszą salkę zabaw.

Okazało się, że w czerwonej panował popłoch na większą skalę. Casanova, wciągając spodnie, wykrzykiwał imię Teresy. Cezar próbował cucić

nieprzytomną z pijaństwa Kleopatrze, a wszystko to we wszechogarniającym zgiełku. Nieznane mi postacie wirowały w szalonym poszukiwaniu zaginionych części garderoby, zlewały się w jedną chaotyczną masę.

Co ciekawe, niektórzy byli nieco spokojniejsi. De Sade nie musiał zrobić nic prócz wstania z fotela i zapięcia rozporka. Nicol uchwyciłem wzrokiem, gdy wciągała swoją czarną suknię i przywdziewała kapelusz.

– Co się dzieje? – Dreszcz niepokoju udzielił się i mnie.

– Co roku o dwunastej odbywa się pewna ceremonia – powiedziała z pewnym cieniem w głosie Berenice. – Ale spokojnie, tobie nic nie grozi.

– Mnie? A coś powinno?

– Jeszcze zobaczysz – powiedziała.

– Zobaczę? Co ty wygadujesz? Co z resztą?

Chwyła mnie za dłoń, a cała lekkość i miękkość jej uścisku uleciała w nieznane. Teraz jej ręka przypomniała zaciśnięte szczypce.

– Przestań już zadawać głupie pytania. Patrz i ucz się. Za rok będziesz w takiej samej sytuacji co ja. – Jej wzrok wwiercał się w moją duszę, szukając zrozumienia. Nie odnalazł go. Westchnęła i dodała: – Pamiętasz rozmowę w zielonej? To ten moment! Po prostu się mnie słuchaj i tyle.

Nie czekała na odpowiedź. Wciągnęła mnie w wir wół ubranych balowiczów. Zaczęliśmy się powoli przedzierać przez słabnący harmider. Czerwona powoli się opróżniała, fala ludzi uderzała z coraz to większą siłą w stronę zielonej. Ten rwący nurt porwał i nas.

W zielonej z kolei spięte w żelaznym uścisku dłoni pary powoli doprowadzały się do nienaruszonego stanu. Zauważyłem pewną zależność. W każdej parze jedna osoba była lekko przestraszona lub zaciekawiona nagłą reakcją otoczenia i swojego towarzysza czy towarzyski na dwunaste uderzenie zegara. Druga część, domyślam się, że członek lub członkini tego dziwaczного klubu, nie okazywała większych emocji. Ta dziwna apatia zdawała się jakoś połączona z niewidzialnym sznurem, który wszystkich ciągnął teraz dalej, ku pomarańczowej.

Rozglądałem się po altankach, lecz dym, którym z taką pasją się raczył Zozym, uleciał i rozwiął się jak sam palacz. Szliśmy dalej.

W czwartej sali od wejścia również panował harmider. Cóż, i tutaj było większe skupisko imprezowiczów, które teraz musiało ulec temu dziwnemu kursowi. Powoli zacząłem się domyślać, że naszym celem jest czarna otchłań na końcu zamku.

W białej zaczęliśmy się już formować w jeden łańcuch. Tym razem ani Engels, ani Rothschild nie musieli nikogo ustawiać. Najprawdopodobniej

hierarchia już straciła swoje znaczenie. W fioletowej stanowiliśmy już jeden zwarty korowód, który zmierzał powoli w przepastną czerń. Otchłań pożarła i mnie, i Berenice.

~W~

Czarny fotel był obrócony do wejścia. Zasiadał na nim szkarłatny pan prezes. Jego postać idealnie wpasowywała się w demoniczny nastrój komnaty. Wyglądał niczym mroczny bóg czy prorok na zjeździe jednego z zakazanych kultów. Obok niego stała Elżbieta Batory z wysoko uniesionym czołem. Omiatała nas wszystkich wzrokiem pełnym pogardy.

Nasz łańcuch przystanął na chwilę. Sala się dopełniła, a prezes powstał i przemówił:

– Od zarania dziejów zbieramy się wszyscy w tę jedną noc, by oddać cześć najwyższemu, najpotężniejszemu z nas. – W tym momencie się roześmiał. Jego rechot niósł się przeraźliwym echem po czarnej. – Czyli mnie... Co roku zbieramy się z całego świata i, prócz tradycyjnego hołdu i daru, rozprawiamy nad planami na rok następny. Komu dopomóc? Komu przeszkodzić? Na co pozwolić ludzkości, a czemu przeciwdziałać? Ten rok nie jest w niczym różny. Nie przedłużając, niech wystąpi

najstarszy z nas i czyni honory. Churchill! Zaczynamy.

Tepes ponownie się rozsiadł na swoim czarnym fotelu, a Zozym wystąpił z czoła korowodu. Wraz z nim szła wyraźnie przestraszona Marilyn. Podeszli pod tron. Ukląkł na jedno kolano, niczym rycerz przed ślubowaniem, a zaskoczona dziewczyna po chwili dołączyła do niego. Uklękła na obu.

– Witaj, panie – wyrecytował donośnym i dostojnym głosem nałogowiec. Łatwo dało się zauważyć, że był to początek formułki, którą palacz musiał być strasznie znudzony.

– Witaj, poddany. – Tepes skinął dłonią, a Elżbieta podała Churchillowi złoty sztylet.

– Oto mój dar dla ciebie – odpowiedział.

Powstał. Marilyn chciała dalej go naśladować, lecz położył dłoń na jej ramieniu i przyszpilił w obecnej pozycji. Spojrzała na niego z lękiem, lecz nie powiedział nic, tylko chwycił jej blond loki. Ta pisnęła w przerażeniu. Elżbieta przyłożyła kielich do jej szyi. Wystarczyło jedno pociągnięcie ostrza.

Jęk ucichł. Zozym nachylił jej opadającą głowę tak, by krwawy dar nie spływał na podłogę, a do kielicha.

W czarnej zapanowała wrzawa. Ludzie po lewej stronie wierzgali, krzyczeli, co poniektórzy zaczęli błagać o litość. Ich towarzysze po prawej stali

nieugięci. Zmienili się w posągi, zimne i niewzruszone, bezduszne istoty.

Krew z gardzieli Marilyn przestała bryzgać. Palacz szarpnął jeszcze kilka razy jej martwą głową, by wytrząsnąć ostatnie krople. Elżbieta podała mu kielich. Upił łyk, po czym zwrócił jej narzędzie zbrodni wraz z naczyniem. Ta również zamoczyła wargi w świeżej krwi, a następnie zwróciła się do prezesa. Szkarłatny pan wychylił zawartość duszkiem. Dwie czerwone strużki spływały z kącików jego ust, a potem łączyły się w karmazynowe krople na jego brodzie i opadały na czerwoną marynarkę. Całe życie dziewczyny nie było teraz warte nic więcej jak te kilka kropel. Resztki jej jestestwa stawały się niewielkimi plamami, które nawet nieszczególnie wyróżniały się na swoim tle.

Zza fotela wyłonili się dwaj kelnerzy. Ich marynarki, tak samo jak wszelka biel w tym pomieszczeniu, skąpane w czerwonej łunie witraża nabrały krwistych odcieni. Chwycili martwe ciało i wciągnęli je za prezesowski tron, by się rozwiać w ciemnościach, tak samo jak się pojawili.

Zozym skierował się pod witraż, skąd oglądał dalszy przebieg całego zajścia ze znudzoną miną. Nie potrafiłem uwierzyć w jego niewzruszenie i spokój. Nie potrafiłem uwierzyć w całe to zajście. Stałem skuty marmurowym uściskiem Berenice z rozwartymi

ustami. Gdy w końcu trochę oprzytomniałem, zacząłem wierzgać jak reszta ludzi. Moją jedyną myślą stało się pragnienie oswobodzenia i ucieczki. Wszelkie moje starania spełzły jednak na niczym.

Jedyne, co mogłem zrobić, to krok w przód, gdy korowód opuszczała kolejna para. Prosiłem Berenice, by mnie wypuściła. Prosiłem ją, byśmy zaczęli uciekać. Lamentowałem i skomlałem o życie. Jej komentarz zerwał klapki z moich oczu:

– Oskar! – syknęła. – Przynosisz mi wstyd!

Rozpłakałem się. Nic więcej nie mogłem zrobić. Moje serce było złamane, a ja miałem wkrótce stać się zwykłym truchłem i to przez kobietę, którą pokochałem całym sobą.

Nie pozostało mi nic prócz obserwowania kolejnych ceremonialnych poświęceń. Po Zozymie przyszła kolej na Lolę i Otto. Nawet ta mała dziewczynka potrafiła okiełznać jednym chwytem swojej rączki większego od niej mężczyznę. Sherlock próbował się szarpać, wyskoczyć z uścisku. Bezskutecznie. Dziewczynka miotła nim na posadzce jak lalką. Trzymając go za kark, wycedziła formułkę i poderżnęła mu gardło. Całość wyglądała niemal identycznie jak ceremonia odprawiona przez Churchilla.

Następny był Edgar i Anna. Ta płakała i całą drogę pod fotel przeszła na klęczkach. Edgar również ze łzami w oczach postępował identycznie jak dwójka

poprzedników. Gdy już mógł odejść ze zwieszoną głową, wykonał kilka kroków w kierunku witraża, Zozyma i Loli, ale po chwili opadł na kolana i zawył. Jego jęk był pełen rozpacz i cierpienia, lecz po kilku uderzeniach serca zaczął się przeistaczać w nerwowy rechot, aż stał się prawdziwym i szczerym śmiechem. Zwijał się i wierzgał, jakby usłyszał najlepszy żart w życiu, a potem znów łkał.

Następny był Cezar. Jego ofiara słała się na nogach, była wciąż odurzona alkoholem. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co ją za chwilę czeka. Cezar ułożył ją sobie na kolanie. Wypowiedział formułkę, złożył na jej ustach płomienny pocałunek i mocnym uderzeniem przeciął mięśnie, tętnice, fałdy skóry i tłuszczu, zatrzymując się dopiero na kręgach w jej karku. Głowa Kleopatry opadła nienaturalnie, utrzymywana jedynie przez nadłupany kręgosłup, wąty skrawek mięśni i skóry. Krew bryznęła z niej niczym z fontanny.

Po dopełnieniu reszty obrządku, Cezar skierował się ku wciąż leżącemu w połowie drogi Edgarowi i podniósł go z podłogi. Razem stanęli u boku Zozyma i Loli. Tymczasem następna osoba zmierzała ku spotkaniu ze śmiercią. Była to Coral. Dziewczyna nie była spokojna, ale daleka od uległości tak, jak to tylko możliwe. Lżyła Stephenowi, jak tylko potrafiła.

– Ty czarny sadysto, puszczaj mnie! – krzyczała,

gdy ten mocnym pociągnięciem za jej ufryzowane włosy odstłonił cel wygłodniałego sztyletu. – Jesteś taki sam jak my! Słyszysz?! Jesteś tak samo czarny jak ja! – Uśmiechnęła się z przekąsem. – Boli co?

– Boli – powiedział, przeciągając ostrze po jej delikatnej skórze. – I dlatego nienawidzę siebie tak samo jak was.

Gdy Elżbieta podała mu kielich, zamoczył tylko usta, tak by jej krew nie zdołała nawet zwilżyć mu gardła, po czym beznamiętnie podreptał pod witraż. Następny z kolei był Herkules. Ten mocarny gigant wierzgał jak dziecko, gdy zapłakana i drżąca Nicol ciągnęła go pod tron szkarłatnego potwora. Wył i próbował ją ogłuszyć zamaszystymi uderzeniami w skroń. Gdy nic nie pomagało, spróbował wczepić swoje paznokcie w przerwę między czarnymi kaflami podłogi. Nicol jednym szarpnięciem wyrwała go, zdzierając mu paznokcie. Stanęli przed tronem, a on zaczął się rzucać jak opętany. Czarownica nie potrafiła nad nim zapanować. Mimo że przydusiła go do ziemi z całą mocą, ten tak kręcił głową, że drżąca dłoń Nicol nie potrafiła dosięgnąć jego gardła. W końcu baronowa przyszła jej z pomocą. Pochwyciła Herkulesa i pociągnięciem za włosy odstłoniła jego tętnice. Dopiero wtedy chwiejna dłoń pociągnęła powoli skrawkiem ostrza po skórze olbrzyma.

Nicol napełniła kielich, spiła łyk i podała go

Elżbiecie.

- Wy, młodzi, jesteście beznadziejni. - Tepes pokręcił głową i grzmiącym głosem gromił dalej dziewczynę: - Jesteś żałosna! Wynoś się! - Machnięciem wskazał jej drogę pod witraż.

Przerażona czarownica z płaczem i na chwiejnych nogach pobiegła do Zozyma. Wtuliła się w jego ramię. Z przestrachu chyba ani razu nie spojrzała prezesowi prosto w twarz.

Po nich przyszedł czas na de Sade i Juliette. Ta kroczyła z pewną dozą majestatu. Miała czoło równie wysoko uniesione co Elżbieta, która srogim spojrzeniem próbowała zbić ją z pantałyku. Z kolei na twarzy prezesa zamajaczyło coś na kształt uśmiechu. Gdy jej towarzysz wymawiał formułkę, sama ułożyła się pod cios. De Sade, trzymając ją na swoim kolanie, wbił jej ostrze w łono i mocnym pociągnięciem przeciągnął aż pod gardło. Gdy dziewczyna odkaszlnęła krwią, zlizął resztkę życia z jej ust. Sam nie zaczerpnął ani kropli z kielicha. Dołączył do towarzyszy pod witrażem z pewną nutą rozżalenia i rozmarzenia na twarzy.

Następni byli Rothschild i jego partnerka. Ta, zapłakana, próbowała go odwieść swoimi wdziękami od nieuchronnego losu. Kokietowała, trzepotała rzęsami pełnymi łez, próbowała się wtulić, jednak jej wszystkie kobiece sztuczki napotkały na mur apatii.

– Moja droga Adelheid – wykrztusił między jednym a drugim kaszlnięciem Carl. – Miejże serce i się uspokój.

Jego zimny spokój również nie spotkał się z akceptacją i przyjęciem, wobec czego musiał odstąpić jej gardło siłą. Po nich do mrocznego rytuału przystąpił Engels z Różą. Ta z kolei nie płakała i nie kokietowała. Zaklinała się na rewolucję i wszelkie socjalistyczne świętości. W swoich wywodach była zaciekle niczym wygłodniały pies walczący o kawałek kości. Jej odniesienia do ideologii zrobiły na Engelsie takie samo wrażenie, jak kobiece sztuczki na Carlu.

Po nich nadeszła kolej na Casanovę. Teresa w kółko wykrzykiwała frazes, jakoby jest zbyt młoda, by umrzeć. Jak się okazało, śmierć wzięła ją do siebie tak samo, jak wszystkich innych przed nią i po niej.

Potem przyszedł czas na mnie.

Dziwi was zapewne spokój, z jakim wypisuję te wszystkie słowa, lecz uwierzcie mi, przeżywałem całe to zajście z jękiem i lamentem. Skleciłem te wszystkie opisy ze wspomnień zamazanych łzami. Muszę się przyznać, że brzydzę się swoim naiwnym podejściem, w którym to skomlenie miało mi utorować drogę do ucieczki. Jedyne, czego pragnąłem, to powrotu do mojego pustego mieszkania, pracy, w której nikogo nie obchodziłem, z wzajemnością zresztą, do beznadziejnego, smętnego życia. Nawet taki pusty

życie było czymś więcej od najpiękniejszej śmierci. Chciałbym powiedzieć, że podszedłem do tronu szkarłatnego księcia ze spokojem, z dumą, rozważąco czy nawet naiwnym, głupim osłupieniem. Chciałbym, ale nie mogę. Byłem jak dziecko miotane atakiem hysterii. Rwałem swoje ubranie, suknię Berenice i wyklinałem wszystko i wszystkich. W naiwności nawet wezwałem na pomoc Zozyma. Ten tylko pokręcił głową.

– Stać!

Moje serce zamarło. Berenice się zatrzymała, a ja z oczyma rozwartymi do granic możliwości szukałem swojego wybawiciela. Nawet przez głowę nie chciało mi przejść, że był nim sam szkarłatny prezes.

Powstał ze swojego tronu i ruszył w naszym kierunku. Każdy jego ruch zdawał się świadczyć o nieokiełznanym gniewie, wręcz furii. Widząc to, zacząłem się kulić, kryć w samym sobie. Gdy spoglądałem w przeszłość, dopada mnie tym większe poczucie zażenowania samym sobą. Czemu? Bo Tepes, gdy tylko do nas podszedł, ścisnął gardło Berenice i uniósł ją jak zabawkę.

– O czym ty myślałaś? Sądziłaś, że nie wyczuję twojej krwi w jego żyłach? – Po tych słowach rzucił nią o podłogę z taką mocą, że czarna, kafłowa płyta ozdobiła pajęczyna pęknięć. – Dobrze znasz nasz regulamin! Raz do roku winna mi jesteś ofiarę

z człowieka... Człowieka! A nie z nieprzemienionego! Kolejna zasada mówi, że zanim zdecydujesz się kogoś przemienić, muszę wyrazić na to zgodę! – Wbił ją kopnięciem jeszcze mocniej w kafle, na których leżała. Berenice nie ruszała się. Skuliła się niczym embrion.

– Zostaw ją! – wykrzyknął Zozym. – Mamy już dość twoich reguł, Tepes! Nasz gatunek wymiera! Po wielkiej nagonce z dziewiętnastego wieku, na całym świecie została z nas tylko garstka! Zamiast odgradzać się od ludzi, powinniśmy dwoić siły na przywrócenie naszej populacji z dawnych czasów! A ty tymczasem gromisz każdą propozycję na nowego członka naszej rodziny! Nie godzisz się na przemienianie nowych ludzi. Najwyższy czas, żebyśmy wszyscy powstałi i wybrali nowego wodza! – I rzucił się na prezesa. – Wypowiadam ci posłuszeństwo. Wypowiadam ci pojedynek o przywództwo!

Nie zauważyłem nawet, jak biegł spod witraża na środek sali. Nie zajęło mu to sekundy, a już obalił szkarłatnego potwora na ziemię.

– *Viva la revolution!* – rzucił Engels i dołączył do buntownika.

Lecz poza nim nikt nie przyłączył się do powstania. Bitwa rozgorzała tuż przed moim nosem, a ja nie jestem w stanie o niej zbyt wiele powiedzieć. Widziałem, jak krwawy wódz unosi Zozyma w jednej ręce, a Engelsa w drugiej i jak chwilę później Berenice

obala go na ziemię. Wiedziałem, że kilka razy ktoś uderzył z hukiem o czarne kafle. Raz tylko Churchill w rozdartej koszuli pozostał na swoim miejscu dłużej niż kilka sekund. Leżał po kolejnym odrzuceniu przez szkarłatnego mocarza, a jeden z jego butów potoczył się pod sam witraż.

– Nicol! – zawołał, zbierając się z ziemi.

Lecz ta nie poruszyła się ani na centymetr. Stała skulona tak samo jak ja. Tepes ją przerażał.

– Cezarze? – próbował dalej.

Ten jednak wyciągnął przed siebie dłoń i skierował swój kciuk w dół. Edgar również trwał w miejscu, a Ebenezer dalej czekał na swoją kolej gdzieś w korowodzie i, choć z pewnością był świadkiem całego zajścia, nie przyłączył się.

Zozym nie miał czasu na dalsze prośby. Znów wirował gdzieś z prezesem, Berenice i Engelsem, a ja nie byłem w stanie nadążyć za ich ruchami.

Bitwa zmierzała ku końcowi. Cała trójka leżała na posadzce, a Tepes zniknął. Dosłownie po sekundzie wyłonił się z krwistej łuny, którą rzucał witraż. W jego dłoniach lśniły łańcuchy. Nie wiadomo skąd wzięły się w jego dłoniach. Zozym jeszcze po raz ostatni powstał z ziemi i rzucił się na oprawcę. Mgnienie oka później siedział pod witrażem splątany srebrzystym sznurem. Taki sam los czekał Engelsa i Berenice. Mi

niespostrzeżenie skuł tylko ręce, nawet nie kłopotał się moimi nogami. Był świadom, że nie jestem w stanie im uciec. Wraz z resztą buntowników wciśnięto mnie pod witraż.

– No proszę, proszę – przemówił, siadając na swoim tronie i gładząc lekko pogięte ubrania. – Tego się nie spodziewałem. Piękna próba buntu, Zozymie, naprawdę znamienita, walczyłeś jak lew. Szczerze mówiąc, prędeż bym się tego spodziewał po Engelsie. – Krwawy książę zwiesił głowę. – A ja miałem cię za przyjaciela... Cóż, po ceremonii się wami zajmę. Tymczasem kontynuujmy.

Wtedy mała Lola podniosła but Zozyma i wcisnęła mu go na stopę.

– Widzisz? Nie uciekniesz z balu, kopciuszku! – przemówiła, lecz palacz nie miał nastroju na żarty.

Korowód zaczął postępować dalej w przód. W mrocznym sercu zamku tętniły jęki i prośby. Był tam tylko płacz i zgrzytanie zębów. Maszyna śmierci dalej wyżywała z ludzi ich życiodajne soki.

~W~

Gdy została złożona ostatnia ofiara, przesunięto Berenice pod tron. Wszyscy klubowicze wpatrywali się z dreszczem ciekawości w Tepesa.

– Tak więc – przemówiła śmierć szkarłatna spod swojej maski – jak sądzisz, co się teraz z tobą stanie?

– Kara? – odpowiedziała rudowłosa baletnica drżącym głosem.

– Tak, moja droga. Teraz czeka cię kara.

– Tylko... mnie?

– Oj, nie udawaj głupiej. Ciebie, oczywiście że ciebie. Złamałaś dwie zasady. Po pierwsze, nie złożyłaś ofiary z człowieka. Po drugie, nie uzgodniłaś wcześniej ze mną przemiany tego tam – machnął dłonią w moim kierunku – twojegokochasia.

– A bunt?

– A bunt... Niestety, w zasadach jest jasno napisane, że każdy może sięgnąć po przywództwo. Musi jedynie pokonać obecnego wodza. Engels i Zozym nie złamali regulaminu. Nie mogę ich nawet osądzić. Nie ja wymyśliłem nasze zasady.

– Czyli, że tylko ja...

– Tak, tylko ty!

Strach rozwarł szeroko oczy Berenice.

– Oszukałeś mnie! – zawyła. – Zozym! Jak mogłeś? Przecież on... on...

– Mówiłem ci, że jest za wcześnie! – Palacz miał skwaszoną minę. Jego słowa najwyraźniej nie do końca były w stanie przekonać jego samego. – Wiedziałem... Wiedziałem, że to się nie uda...

– Cicho tam! – Tepes przerwał dyskusję. – Cóż, wedle tradycji musimy odprawić sąd! Elżbieto, czy mogłabyś rozpocząć?

Baronowa skinęła głową. Wystąpiła kilka kroków przed tron, obróciła się i przemówiła:

– Jaśnie nam panujący! Oskarżam Berenice, córkę Zozimosa, o złamanie dwóch zasad. Mianowicie...

– Pomińmy ten element. Sam przed chwilą je wymieniałem.

– Proszę o sprawiedliwy osąd.

– Pięknie! Według panujących reguł sąd musi się odbywać w obecności co najmniej dziesięciu świadków. Ten warunek jest spełniony... Idziemy dalej. Berenice, zostałaś oskarżona o złamanie naszych praw. Wszyscy wiedzą jakich. Więc czy przyznajesz się do winy?

Milczała. Próbowwała pohamować strumienie łez, które cisnęły się jej do oczu.

– Dobrze, więc... Czy ktoś z tu obecnych może nam potwierdzić winę oskarżonej?

– Potwierdzam! – wykrzyknęli chórem klubowicze.

– Engels, ty też?! – krzyknął Zozym. – Po czyjej ty jesteś stronie?

– Wypowiadam rewolucję w obozie rewolucjonistów!
– odpowiedział.

– Czyli jak zwykle po swojej... chuju.

- Cicho tam! - przerwał im Tepes. - Droga Berenice, bardzo chciałbym wydać korzystny dla ciebie wyrok, lecz większość dowodów przemawia na twoją niekorzyść. Czy jest coś świadczącego o twojej niewinności?

- Zostałam oszukana!

- Moja droga, ustaliliśmy już, że nie mogę postawić zarzutów wobec buntowników. W takim razie nie masz nic, co by świadczyło o twojej niewinności?

- Skończ tę farsę! - przemówił w jej imieniu Zozym.

- Niech będzie. Berenice, nie mam wyboru i muszę cię skazać. Niestety, nie mam dobrej nowiny dla ciebie, bo od kiedy rządzę... - Tu urwał i wykonał ruch dłoni w kierunku zgromadzonych.

- Kara jest tylko jedna! - wykrzyknęli chórem.

- Tak, więc skazuję cię na... nadzianie na pal. - Ostatnie słowa wypowiedział z psychopatycznym uśmiechem.

Berenice zaczęła płakać.

- Co? - wyrwało mi się.

- Otóż to! Młodzieńcze, lepiej przyjrzyj się uważnie. Potraktuj to jak lekcję... Oto co się z tobą stanie, jeżeli nie będziesz przestrzegał praw. Elżbieto! Wiesz, co masz robić.

- Tak jest!

Elżbieta rozmyśla się w czerwonej łunie sali i po chwili pojawiła się z powrotem. Ciągnęła za sobą olbrzymi, ociosany bal drewna. Wyglądało to, jakby była przygotowana już wcześniej.

Dotarliśmy do najbardziej mrocznego wydarzenia tego wieczoru. Wybaczcie mi, lecz... ciężko mi wyciągać te sceny z mojej pamięci. Może was to dziwić, ale nawet oglądanie rzezi na setce ludzi, ponad setce, nie było dla mnie tak druzgocące jak to, co szkarłatna śmierć uczyniła z Berenice. Wiem, że to świadczy o pewnej chwiejności, jaka we mnie istnieje, ale... ja ją wciąż kochałem. W momencie, gdy prezes powstrzymał ją przed złożeniem mnie w ofierze, jeszcze nie rozumiałem fortelu, jaki próbowała przedsięwziąć. Siedząc skuty, miałem czas do namysłu. Mimo że przed moimi oczyma właśnie przelewano morze krwi, ja z udręką przetwarzałem całe wcześniejsze zajście i zrozumiałem, co chciała mi ofiarować. Pojąłem, że kierowało nią uczucie, jakie do mnie żywiła. Na nowo nabrałem pewności, że Berenice mnie kocha. Że mnie kochała.

– Jak by się tak zastanowić – przemówił oprawca Berenice – chyba lepiej będzie, jeżeli twój kochaś popodziwia całą egzekucję z bliska... Lolu, mógłbym cię prosić? Będziesz tak miła?

– No pewnie!

Dziewczynka pochwyciła mnie za mój kubrak

i pociągnęła za sobą po posadzce.

– Na fotel?

– Tak, tak, na fotel. Elżbietko, przynieś jej jakiś sznur albo łańcuch. Jeszcze się wyrwie małej Loli i będzie się nam tu pałętał.

Miałem wrażenie, że Tepes czyta mi w myślach. Właśnie taki miałem zamiar.

– Tak jest! – Po tych słowach rozwiąła się jak dym. Po chwili wróciła z kawałkiem sznura.

Lola posadziła mnie na tronie. Byłem jak lalka w rękach dziewczynki, która właśnie miała ochotę się pobawić.

– Lolu, bądź, proszę, uczynnym dzieckiem i dopilnuj, żeby nasz kochaś nie stracił żadnego szczegółu.

Lola zachichotała, usiadła na ramieniu fotela i złapała mnie za brodę.

– Patrzymy tam – wyszeptała mi na ucho.

– Tak więc, mój drogi, życzę ci miłego seansu – roześmiał się palownik.

– Nie! Nie chcę! Stop! – krzyczała Berenice.

Tepes stanął nad nią i przydusił butem do podłogi.

– Cicho. Spokojnie. Jeżeli się nie będziesz wiercić, pójdzie nam szybko i gładko. No, moja droga? Będziemy współpracować?

– Zostaw mnie! – zapiszczała i, poruszając się jak

gąsienica, próbowała wyczołgać się spod czarnego buta.

– Wypuść ją! – krzyknąłem. Wezbrał we mnie nagle szal i gniew, którego nie potrafiłem okiełznać.

Oprawca nawet nie zwrócił na mnie uwagi.

– No cóż, Elżbieto, będę potrzebował twojej pomocy. Przytrzymasz mi ją?

– Oczywiście – odparła i w sekundę później stopą dogniatała głowę Berenice do ziemi. Jej ramiona zacisnęły się na talii baletnicy i podciągnęły jej tyłek ku górze. Widać było, że ma już w tym doświadczenie.

Tepes wolną ręką zdarł z niej bieliznę i odsłonił nagie wdzięki mojej ukochanej całemu zgromadzeniu. Ta zaczęła wiercić związanymi nogami, wierzcgać, szarpać się i wykrzykiwać wszelkiego rodzaju obelgi.

– No, no, no! Moja droga! Nie wiesz, że młodej panie nie wypada tak mówić? Cóż, nie starczy nam czasu, by nauczyć cię szacunku, więc postaraj się lepiej dobierać słowa, jeśli łąska. I przestań się do cholery ruszać! Jeszcze zrobię ci krzywdę! – zarechotał.

– Pierdol się! Wypuść mnie, stara suko... Puść!

– Ojoj! No trudno, będę pracował na tym, co mi ofiarujesz, moja droga.

Przysunął trzpień pala do jej ciała.

– Zaczynamy na trzy! Raz!

- Wypuść mnie!
- Dwa!
- Zostaw ją!
- Trzy!

Pał zaczął wdzierać się w blade ciało baletnicy. Berenice zareagowała straszliwym okrzykiem.

- Spokojnie! Kruszynko! Ja nawet nie zacząłem, toć to zaledwie dwa centymetry! Jestem pewien, że niejedną rzecz wsadzono ci tam głębiej! Na przykład tak jak teraz! - Pchnął mocniej, a kołek wniknął głębiej w Berenice. Ta krzyknęła jeszcze głośniej. - A teraz to rzeczywiście może troszkę boleć... Ale spokojnie, mamy tego więcej! - Cały trzpień wdarł się w Berenice. Okrzyk, który wydała z siebie, nie można określić nawet mianem ryku. - Och, spokojnie, spokojnie! Przestałaabyś w końcu wierzgać. Naprawdę! Gdybyś się tak nie rzucała, do tego momentu mogło być jeszcze całkiem przyjemnie, a tak to co? Nawet nie skorzystasz z całej tej sytuacji... Ech, gadał dziad do obrazu. To co? Idziemy dalej! - Krew pokryła rdzawą otoczką pał. - I głębiej... No, jeszcze trochę nam zostało. Zobacz! I tyle jeszcze w sobie zmieścisz... Nie wierzysz? No to proszę bardzo! Oj, nie płacz tak. To jeszcze nie koniec świata! I wchodzimy jeszcze głębiej. Oj, coś nam się chyba zaklinowało. Widzisz, moja droga, to wszystko przez to, że się tak kręcisz. Moglibyśmy już kończyć, a tak to co? Musimy

cię trochę rozepchać. – Zaczął wiercić palem. Byłem w stanie zobaczyć, jak drewniany kołek napiera na skórę Berenice od środka. Dziewczyna zaczęła krztusić się krwią. Przez to jej krzyki były nieco cichsze, ale każdemu słowu czy choćby jękowi towarzyszyła kaskada czerwieni wypływająca z ust. – No i możemy jechać dalej. Elżbietko, chyba możesz już puścić. Bądź tak miła i przynieś nam jakiś stelaż. Za chwilę ustawimy naszą przyjaciółkę do pionu.

– Robi się!

– Dobrze, a my kontynuujemy. Na czym to stanęło...? Ach, no tak! – Palownik naparł mocniej na Berenice. – Już prawie koniec. Jeszcze troszkę... No już, już, prawie. Och, czyżby zaparło ci dech w piersiach? Chciałabyś odetchnąć, co? To czekaj. Wujek Tepes ci pomoże. – Obrócił ją na plecy. Podszedł do swojego tronu po sztylet i w przelocie puścił do mnie oko. – Zaraz będzie najlepsze! – Odwrócił się i podleciał do Berenice. Zrobił jej lekkie nacięcie tuż nad mostkiem, w miejscu, gdzie zaczyna się gardło. – No pięknie mi to wyszło, a teraz zakończenie. – Pchnął jeszcze kilka razy pal. Zobaczyłem jak trzpień lekko wysuwa się z nacięcia, które zrobił. – No idealnie. A teraz stawiamy maszt!

Elżbieta podsunęła stelaż, trochę przypominający te na choinki. Tepes pochwycił kołek i powoli podniósł Berenice do góry.

– Prawie jak szaszłyk – wyszeptała mi na ucho Lola.

Gdy pał został już ustawiony, Tepes popodziwiał przez chwilę swoje dzieło, a następnie zwrócił się do setek oczu, które były świadkiem całego zajścia.

– Pięknie, prawda? – Odpowiedziała mu cisza. – Cóż, widzę, że nie udzielił się wam mój nastrój. Nie szkodzi. Zapraszam was teraz do białej. Przedyskutujemy tam wszystkie koncepcje i pomysły, a naszą zakochaną parę zostawimy na osobności. Niech się sobą nacieszą.

Tłum skierował się do fioletowej. W czarnej zapanował szum szeptów i kroków. Tymczasem palownik podszedł do minie.

– Lolu, możesz już iść.

– Chcę zostać! – Ześliznęła się z fotela i tupnęła nóżką.

– Ech, niech ci będzie. Tylko nie hałasuj. – Skierował na mnie swój wzrok i już chciał coś powiedzieć, gdy wtrąciła się hrabina Batory.

– Co robimy z tamtą dwójką? – Wskazała Zozyma i Engelsa.

– Musimy ich trzymać związanych do jutra – odpowiedział jej. – Jeszcze by ją odratowali. – Wskazał za siebie. – Zanieś ich do białej. Później się nimi zajmiemy. A tymczasem zamienię kilka słów z... Oskarem? Dobrze mówię?

Nie odpowiedziałem.

– Oczywiście, że dobrze. Cóż... Oskarże. – Zaczął się do mnie zbliżać. – Chyba już sobie zdałeś sprawę, w co cię wpakowała twoja słodka Berenice? Niestety, nie mogę cię uwolnić od ciężaru klątwy, jaka na ciebie spadła. – Jego spojrzenie wywiercało dziurę w mojej duszy. Odwróciłem wzrok. Nie chciałem na niego patrzeć. – Jeżeli w najbliższym czasie postanowisz odebrać sobie życie, staniesz się jednym z nas. – Zacisnął swoje palce na moich policzkach i wymusił, bym spojrzał mu w oczy. – Ktoś będzie musiał się tobą opiekować. Wprowadzić do naszego grona. Przedstawić i wytłumaczyć wszystkie nasze zasady. W normalnych warunkach poleciłbym to Zozymowi, ale w zaistniałych... Będę musiał ci wymyślić kogoś innego. Być może Cezar zgodzi się wziąć cię pod swoje skrzydła. Zobaczymy... W takim wypadku radziłbym ci stosować się do wszystkich jego zaleceń, bo inaczej... – Odchylił się, bym mógł spojrzeć na pal.

– Bo inaczej kij ci w dupę! – wykrzyknęła mała Lola, która właśnie bujała się na jednej z nóg Berenice.

– Lolu! Bądź tak miła i wysławiaj się! Choć... sam lepiej bym tego nie ujął. Gdybyś jednak postanowił żyć, to cóż... Za kilka lat krew Berenice opuści twoje ciało i być może dożyjesz sędziwej starości. Bądź jednak na tyle miły i nie rozgłaszaaj tego, co tu widziałeś. Bardzo cenimy sobie naszą prywatność.

Jeżeli się nie zastosujesz... Cóż, jesteś tylko człowiekiem... Mogę ci zgotować znacznie gorszą zabawę niż ta z twoją kochanką. Wybór należy do ciebie.

Wierzgnałem i najszybciej jak potrafiłem, wgryzłem się w jego dłoń.

– No proszę. – Tepes wyrwał zakrwawioną rękę z uścisku moich zębów. Ze śmiechem odsunął się ode mnie. – Jakiś ty waleczny... Szkoda, że się mnie nie spytała, czy po prostu nie pozwolę cię przemienić. Kto wie? Może bym się zgodził. No cóż... Na takie gesty jest już stanowczo za późno. Baw się dobrze! Lolule, idziemy.

Obrócił się i zobaczył, jak dziewczynka usiłuje nakreślić sobą aniołka w kałuży krwi.

– Lolule, cała się ubrudziłaś... Ech, co ja mam z tobą zrobić?

– Łubu, dubu! Łubu, dubu! Niech żyje nam! Prezes naszego klubu! Niech żyje, niech żyje nam! – zaśpiewała radośnie.

– Dobrze, już dobrze, nie podlizuj się. Chodź, idziemy.

Wziął ją na ramiona i powolnym krokiem skierował się ku wyjściu. Lola jeszcze pomachała mi na pożegnanie, zanim opuścili czarną. Zostałem sam z wciąż jeszcze żywą Berenice.

~W~

Czerwona łuna odbijała się od białej skóry i sukni baletnicy. Widziałem, jak próbuje jeszcze wierzgać, wspiąć się na palu, lecz brakowało jej sił, by się uwolnić z pułapki dzierzba. Ja... a ja nie mogłem nic zrobić. Też próbowałem wydostać się z krępujących mnie więzów, ale czego bym nie zrobił, nie byłem w stanie ich nawet poluzować.

Do tego jeszcze ten okropny zegar! Jego tykanie doprowadzało mnie do szaleństwa. Zacząłem mówić bez sensu. Próbowałem jakoś podnieść na duchu Berenice i siebie. W pewnym momencie nawet krzyzczeć i wzywać pomocy. Nikt nie przyszedł. Zostaliśmy kompletnie sami. Po jakiejś godzinie się rozplakałem. Patrzyłem na nią i... To było okropne. Jej piękno uleciało.

Jej usta zbladły i pokryły się różową pianą. Jedyne, co mogła wydobyć z siebie, to bulgot. Z kącików wylewały jej się strużki krwi. Piersi poruszały się szybko, każdy wdech i wydech był krótki. Chyba nawet to sprawiało jej ból. Nie wiem. Nie mam pewności. Mijały sekundy, minuty i godziny.

~W~

Tik, tak... Tik, tak... Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Tik, tak... Moja furia zmieniała się w rozpacz, ta w furie i tak na okrągło. Tik, tak. Znowu spróbowałem się wyrwać z zaciśniętej na mnie pętli. Tik, tak. Później, zrezygnowany, patrzyłem na Berenice. Tik, tak. Jej oczy patrzyły się na mnie. Tik, tak. Nie wiem, jak to wszystko opisać. Tik, tak. Jej oczy... Tik, tak. Były rozwarte na oścież przez ból. Tik, tak. Poza cierpieniem byłem w stanie w nich dostrzec w rozpacz, taką jak moja. Tik, tak. I zażenowanie... Tik, tak. Gdybym był żartownisiem, powiedziałbym, że patrzyła na mnie z góry. Tik, tak. Chyba liczyła, że się uwolnię. Tik, tak. Że ją uratuję. Tik, tak. A ja... Tik, tak. Ja ją zawiodłem. Byłem beznadziejny. Tik, tak. Ach, ten cholerny zegar! Od tamtej nocy wiecznie tyka pod moją czaszką! Tik, tak! Tik, tak! Nie mogę się od niego uwolnić! Tik, tak.

~W~

Po paru godzinach zaczęło się przejaśniać. Nadchodził poranek. Wtedy to Berenice po raz ostatni wypowiedziała walkę śmierci. Gdy promienie słońca zaczęły padać na ściany zamku, te powoli zaczęły się rozmazywać.

Berenice zebrała resztkę swoich sił. Podparła się nogami. Z jej ust płynął bulgot. Zaczęła się pieniść. Nawet udało się jej lekko unieść, lecz po chwili opadła na pal. Z jej krtani wydobywało się coś na kształt zduszonego pisku. Do oczu napłynęła resztką łez. Słońce było coraz bliżej.

Cały zamek się rozmazywał. Czarne ściany wyblakły, a potem znikły. Witraż również. W końcu promienie poranka padły i na moją Berenice. Ciało zaczęło się tlić. Piana w ustach wzbila się po raz ostatni. Kilka minut później twarz wypaliła się na popiół.

Tamten wschód odebrał mi moją miłość.

Gdy słońce spopielilo jej piersi, reszta tułowia zsunęła się na dół. Martwe i bezwładne nogi w nieładzie opięły stelaż. Po jakiejś pół godzinie i one zamieniły się w kupkę popiołu.

Wtedy mój fotel też się rozwiął. Gdy tylko się uwolniłem, podskoczyłem do resztek mojej ukochanej. Przygnałem do jej nadpalonych ud. Nie byłem w stanie wstać i spróbować ich nawet skryć. Nie byłem w stanie nic zrobić.

W końcu zostałem sam na łące. Przy sobie miałem tylko kawał sznura, którym byłem wcześniej związany, garść popiołu i olbrzymią chęć, aby skończyć ze sobą. Zawiązałem pętlę i...

Nadszedł poranek. Nadszedł Dzień Zmarłych.

Koniec

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

